

Cyril Gordon spędził przy biurku nie więcej niż dziesięć minut, przeglądając poranną pocztę, gdy szef wezwał go, aby natychmiast stawił się w jego gabinecie.

Szef miał przenikliwe, niebieskie oczy i krzaczaste brwi. Nigdy nie rzucał słów na wiatr, a te nieliczne, które wypowiadał, miały większą wagę niż wypowiedane przez kogokolwiek innego w Waszyngtonie.

Spojrzał na wchodzącego, skinał głową, co można było uznać za powitanie i powiedział:

- Gordon, czy jesteś w stanie wsiąść za 32 minuty do pociągu i pojechać do Nowego Jorku?

Młody człowiek zdążył już przywyknąć do dziwnych pytań szefa; mimo to wstrzymał oddech i przebiegł w myślach plan dnia.

- Wydaje mi się, że tak, sir... o ile to konieczne - zawahał się.

- Absolutnie konieczne - odparł szef krótko, jak gdyby uważał sprawę za zamkniętą.

- Ale to tylko pół godziny! - wykrzyknął Gordon z przerażeniem. - Jak mam zdążyć do domu, a stamtąd na stację? Czy nie ma jakiegoś późniejszego pociągu?

- Późniejszy się nie nadaje. Zawiadom służącego przez telefon, żeby spakował twoje rzeczy i za dwadzieścia minut czekał na stacji. Potrzebne ci wieczorowe ubranie. Czy na twojego służącego można liczyć?

W tonie szefa było coś, co nie pozwoliło Gordonowi wysuwać dalszych obiekcji.

- Naturalnie! - odrzekł zwykłym, rzeczowym tonem i podszedł do telefonu. Powoli otrząsnął się z oszołomienia.

- Wieczorowe ubranie? - zapytał, jak gdyby się przestyszał.

- Tak, wieczorowe ubranie - brzmiała krótka odpowiedź - a na dzień wszystko to, czego potrzebuje szanujący się mężczyzna na urlopie. Rozumiesz, turysta.

Gordon wyczuł, że to ważna, zapewne tajna misja i że obdarzono go zaufaniem. Był nowy w wywiadzie i chciał utrzymać się w łaskach szefa. Pospiesznie wykręcił numer własnego telefonu i wydał służącemu polecenia głosem pełnym energii i zdecydowania, co sprawiło, że zmarszczki wokół ust szefa nieco się wygładziły, a jego wzrok wyrażał zadowolenie.

Spojrzawszy na zegarek, Gordon powiedział służącemu, którym tramwajem ma pojechać na stację. Szef zauważył, że było to dwa kursy wcześniej niż wydawało się konieczne i niemal niedostrzegalnie skinął głową na znak pochwały. Jego spojrzenie było pełne satysfakcji.

- Teraz, sir - rzekł Gordon, odkładając słuchawkę - czekam na rozkazy.

- Pojedziesz do Nowego Jorku i weźmiesz taksówkę do hotelu „Cosmopolis”. Pokój został zarezerwowany telefonicznie. Nazywasz się John Burnham. Nazwę hotelu i numer pokoju masz w tej notatce. Będzie na ciebie czekało zaproszenie na kolację dzisiejszego wieczora u niejakiego Holmana, który jest przekonany, że jesteś specjalistą w łamaniu szyfrów. Nasi ludzie spotkali go godzinę temu w pociągu i załatwili ci to zaproszenie. On naturalnie nie wiedział, dla kogo pracują. Już próbował dodzwonić się do ciebie do hotelu. Wie, że masz przyjechać dziś po południu. Oto list polecający dla ciebie od jego znajomego. Naszym ludziom i to się udało. Oczywiście list jest autentyczny.

Wczorajszej nocy jednemu z naszych agentów ukradziono zaszyfrowaną wiadomość wagi państwowej, zanim jeszcze została odczytana. Obecnie ma ją Holman, który ufa, że będziesz umiał ją odczytać dla niego i kilku innych osób, które będą na kolacji. Chcą ją wykorzystać dla własnych celów. Masz przechwycić tę wiadomość i dostarczyć ją tutaj najszybciej, jak to możliwe. W tej kopercie masz inny zaszyfrowany tekst na

takim samym papierze wraz z tłumaczeniem, na wypadek, gdybyś musiał zamienić kartki. Sam ocenisz sytuację. Najważniejsze jest, żebyś wy dostał papier i jak najszybciej wrócił z nim tutaj. Gdy tylko odkryją jego brak, twoje życie będzie w niebezpieczeństwie. Za wszelką cenę chroń siebie i wiadomość! Pamiętaj, młodzieńcze, i wiadomość! To wiele znaczy dla całego kraju.

W kopercie są też pieniądze - powinny ci wystarczyć. Jeśli będziesz miał kłopoty, dzwoń lub wyślij telegram pod podany adres. Gdybyś potrzebował więcej pieniędzy, kontakt jest ten sam. Bilet jest już kupiony. Wysłałem po niego Clarksona, spotkacie się w pociągu. Gdybyś odkrył, że czegoś zapomniałeś, on się tym zajmie. Swoją pocztę weź ze sobą, a wszystkie zlecenia przekaż sekretarce telegraficznie. To chyba wszystko. Aha, dziś podczas kolacji zostaniesz poproszony do telefonu. Zadzwoń do ciebie ktoś z naszych ludzi. Jeżeli będą jakieś problemy, to może dać ci okazję do wyrwania się z opresji, a nas zorientuje w sytuacji. Przy drzwiach czeka samochód, który zawiezie cię na stację. Gdyby twój służący nie zdażył z bagażem, kup wszystko co trzeba w Nowym Jorku. Nie pozwól, żeby cokolwiek odciągnęło cię od zadania lub zatrzymało! To sprawa życia i śmierci! Życzę ci szczęścia!

Szef wyciągnął dużą dłoń, zadziwiająco ciepłą i miękką. Młody człowiek uściśnął ją, czując, że został wrzucony na głęboką wodę.

Cicho opuścił gabinet, odprowadzany przenikliwym wzrokiem starego szefa, który dobrze rozumiał mieszaninę podniecenia i strachu rozsadzającą serce Gordona. A jednak ten młodzik się nie zawahał, nie zastanawiał, czy przyjąć wyzwanie, gdy już dowiedział się, o co chodzi. Nadaje się. Upora się z tą robotą. Gdy była mowa o niebezpieczeństwie, nawet powieka mu nie drgnęła. Szef czuł, że Gordon nie zdradziłby nawet w obliczu śmierci.

Służący wpadł na stację w chwilę po Gordonie. Clarkson z biletem już czekał. Gordon miał jeszcze czas na napisanie wiadomości dla Julii Bentley, której perfumowany bilecik przeczytał w drodze. Pragnęła się z nim zobaczyć dziś wieczorem. Sam nie wiedział, czy jest zmartwiony, czy zadowolony z konieczności odmowy. Zaczęło mu się wydawać, że mógłby

kiedyś poprosić ją o rękę, o ile przestanie skłócać go z innymi, a on sam zdecyduje się ostatecznie złożyć swoją wolność w ręce kobiety.

Kupił gazetę i rozsiadł się wygodnie w salonce, ale nie potrafił się skupić na czytaniu. Tajemnicze zadanie pochłonięło wszystkie jego myśli. Wyjął kopertę z instrukcjami i kolejny raz wszystko powtórzył, z ciekawością oglądając zaszyfrowaną wiadomość i jej tłumaczenie, które zresztą nic mu nie mówiło. Szef miał zwyczaj zachowywać wszystko dla siebie i wyjaśniać tylko to, co chciał, w chwili, którą uważał za odpowiednią. To, że agent nie był nigdy w pełni świadomy ważności zadania, było bez wątpienia bezpieczniejsze i dla niego samego, i dla przesyłki.

Gordon skrupulatnie notował wszystkie słowa szefa i teraz porównał notatki z instrukcjami z koperty, ułożył plan postępowania w Nowym Jorku i próbował znaleźć sposób na odzyskanie skradzionej wiadomości. Nie wymyślił nic szczególnego, więc postanowił, że zrobi to, co wyda się najodpowiedniejsze w danej chwili. Potem wpadło mu do głowy, że wszystkie listy i inne papiery, które mogłyby go zdradzić, należałoby wyjąć z kieszeni płaszcza i zamknąć w walizce. Być może będzie musiał zostawić gdzieś płaszczy, więc lepiej nie zostawiać wraz z nim żadnych śladów.

W pewnym momencie przypomniał sobie Julię Bentley. Zaczął się zastanawiać, czy chce się jej oświadczyć, czy też nie. Domyślał się, jaka byłaby odpowiedź. Dziewczyna dała mu już wyraźnie do zrozumienia, że woli go od wszystkich swych adoratorów, choć bawiło ją ciągłe ubieganie się o jej względy. W końcu, póki jest panną, ma do tego prawo. Nic w tym złego. Jest piękna i wszystkim się podoba. Do tego pochodzi z dobrej rodziny i ma własny kapitalik. Wszyscy uważali ich za dobraną parę. Chyba już nadszedł czas, żeby się ożenić i mieć prawdziwy dom, cokolwiek by to znaczyło. Gordon nie znał prawdziwego domu, czegoś więcej niż ciche kawalerskie mieszkanie, w którym służący utrzymywał porządek i do którego posiłki przysyłano na zamówienie. Odziedziczył dość pieniędzy, żeby żyć lepiej niż wygodnie, a poza tym mocno zaangażował się w pracę i to mu wystarczało.

Jeżeli jednak kiedykolwiek ma się ożenić, to jest na to najwyższy czas. Ale czy na pewno z Julią? Jakoś myśl o powrocie po męczącym dniu pracy właśnie do niej nie wydawała mu się atrakcyjna. Zawsze chciałyby wychodzić na te nie kończące się przyjęcia, spektakle i tańce, ciągle żądałyby jego uwagi. Była błyskotliwa, ładna i dobrze ubrana, ale nigdy nie byli ze sobą naprawdę blisko.

Kolejne pytania przesuwały się przez jego myśli jak krajobrazy za oknem. Gdyby został w Waszyngtonie, spędziłby wieczór z Julią, jak prosiła w swym bileciku, i prawdopodobnie zostałyby jeszcze na ciche pół godziny po wyjściu pozostałych gości, jak to ostatnio bywało, próbując się przekonać, czy mu na niej zależy.

Przypuśćmy, że są małżeństwem i że ona siedzi teraz u jego boku. Czy jego serce zabiłoby mocniej z radości, że ta piękna dziewczyna należy do niego? Spojrzył w kierunku sąsiedniego fotela, próbując wyobrazić sobie, że zmęczona, gruba, stara kobieta z podwójnym podbródkiem, ubrana w pretensjonalny czerwony kapelusik to Julia. Ale próba się nie powiodła. Odwrócił się i spróbował raz jeszcze, patrząc na puste miejsce. Teraz poszło lepiej, ale mimo to żaden dreszcz radości nie przeszył jego wnętrza. Wciąż przychodziły mu na myśl jakieś denerwujące szczegóły. Na przykład wygląd Julii, gdy się irytuje. Czy to przeszkadza prawdziwie zakochanemu? Sposób, w jaki wydawała polecenia stangretowi. Czy do męża też będzie się zwracać takim tonem? Jej uśmiech był czarujący, ale ze zmarszczonym czołem było jej co najmniej nie do twarzy.

Starał się utrzymać złudzenie jej obecności. Kupił jedno z jej ulubionych czasopism i wyobraził sobie, że przeczytał Julii jakieś opowiadanie. Z łatwością mógł określić, przy których zdaniach przymknęłyby oczy z dezaprobatą. Z góry wiedział, jak skomentowałyby zachowanie bohaterki. Opowiadanie nie było wysokich lotów i poczuł znużenie, więc odłożył gazetę, żeby pójść do wagonu restauracyjnego.

Zanim skończył obiad, doszedł do wniosku, że choć Julia teraz uważa, iż pragnie wyjść za niego, w rzeczywistości nie znosiłaby wspólnego życia lepiej niż on. Czy zazwyczaj tak wygląda małżeństwo? Czy ludzie tracą cały swój urok i po

prostu starają się znosić nawzajem swoje wady i wykorzystywać dobre strony, nie pragnąc niczego więcej? A może to on staje się cyniczny? Czy za długo żył samotnie, jak czasem twierdzili jego przyjaciele, i stracił już zdolność kochania kogokolwiek poza sobą? Zmarszczył brwi i pogwizdując wstał, żeby sprawdzić, dlaczego pociąg zatrzymał się na tak długo w małym przysiółku.

Właśnie minęli Princeton i byli już niedaleko Nowego Jorku. Byłoby denerwujące, gdyby nastąpiło jakieś opóźnienie tak blisko celu podróży. Zdawało się jednak, że jest ono nieuniknione z powodu awarii jadącego przed nimi pociągu towarowego. Wszystko zależało od tego, jak szybko przybędzie pomoc.

Gordon przechadzał się nerwowo tam i z powrotem po trawie wzdłuż toru, wypatrując drezyny. Znów przypomniła mu się panna Bentley, ale zniecierpliwiony odsunął od siebie jej obraz. Wyobrażał sobie, jak źle znosiłaby opóźnienie w podróży, mimo jego towarzystwa. Pewnego razu, gdy jechali na przyjęcie gdzieś w stanie Wirginia, wykoleiła się lokomotywa i Julia okazała się najbardziej niecierpliwą pasażerką, choć reszcie towarzystwa było zupełnie obojętne, czy dobrze się bawią w pociągu, czy też w domu przyjaciela. Jednakże, jeżeli Julia coś dla niego znaczyła, czy nie powinna go cieszyć myśl o jej obecności?

Gdy zamierzał wsiąść z powrotem do pociągu, podbiegł do niego i zaczął się łaścić potężny biały pies. Gordon pogłaskał go po głowie i zobaczył wpatrzony w siebie tęskne ślepie. Pies był piękny i Gordon pieścił go przez chwilę, po czym zniecierpliwiony odwrócił się i ruszył w kierunku swojego wagonu. Na schodkach okazało się, że pies poszedł za nim.

Gordon na pół zdenerwowany, na pół rozbawiony zmarszczył brwi, usiadł na kłodzie przy torach, ujął pysk psa i delikatnie pogładził dłonią białe futro. Pies zapisał z zadowolenia.

Tymczasem Gordon zaczął się zastanawiać, jak długo jeszcze przyjdzie mu tu czekać. Czy zdąży na kolację w Nowym Jorku? Czy nie przepadnie mu okazja zaskarżenia sobie uznania szefa? W razie dużego opóźnienia powinien próbować dostać się na miejsce inną drogą. Tego oczekiwałby od niego szef.

Nagle zobaczył wracającego z pośpiechem konduktora i maszynistów. Najwyraźniej pociąg miał ruszyć. Gordon poklepał biały łeb psa na pożegnanie, wręczył jakiemuś robotnikowi półdolarówkę, aby przytrzymał zwierzaka, i wskoczył do wagonu.

Ledwo zdążył usadowić się w swoim fotelu, gdy pies dostał się do drzwi na drugim końcu wagonu, przebiegł wzdłuż przedziałów i szczekając, i skomląc, wskoczył mu na kolana.

Zakłopotany Gordon pospiesznie zaprowadził psa do drzwi i próbował go odgonić, ale biedne zwierzę wciąż wracało, żałośnie skomląc.

Po chwili z sąsiedniego wagonu wyszedł konduktor.

- Przewożenie psów w wagonach pasażerskich jest niedozwolone - rzucił szorstko.

- Jeżeli pan mi powie, jak wprowadzić ten przepis w życie, będę zobowiązany - odrzekł Gordon. - Naprawdę nie wiem, co z nim zrobić.

- A gdzie go pan trzymał od Waszyngtonu? - zapytał podejrzliwie ponury konduktor.

- Z pewnością nie schowałem go do kieszeni, jest na to za duży - zauważył Gordon sucho. - Poza tym to nie mój pies. Nie widziałem go, póki nie zaczął za mną chodzić po stacji. Chciałbym się go pozbyć równie mocno, jak on chciałby tu zostać.

Konduktor bacznie przyjrzał się rozmówcy i uśmiechnął się niedowierzająco.

- Ma pan łańcuch albo smycz dla niego? - zapytał z odrobiną współczucia.

- Nie - odpowiedział nieszczęśliwy mimowolny właściciel.

- Nie wiedząc, że mam randkę z psem, nie wzięłem smyczy.

- Proszę go zaprowadzić do bagażowego - rzucił konduktor i wszedł do wagonu, zatrząskując za sobą drzwi.

Nie było chyba innego wyjścia, ale Gordona bardzo zdenerwowała ta scena rozgrywająca się na oczach pasażerów, gdy jego zadanie wymagało, aby nikomu nie rzucał się w oczy.

Miał nadzieję, że na dworcu Jersey uda mu się jakoś wymknąć i pozostawić psa na łasce bagażowego, ale ten już na niego czekał.

Od tego zaczęła się seria niepowodzeń. Podejrzliwość i rozczarowanie przyczepiły się do Gordona na stałe, a jakiś głos wciąż szeptał mu ostatnie słowa szefa: „Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało!”.

Gorączkowo próbował różnych rozwiązań, ale bez rezultatu. Nikt nie chciał się zająć białym przybłądą, a pośpiech rodził podejrzania. Młody agent nie potrafił pozbyć się psa, ale przecież nie mógł mu pozwolić iść za sobą! Czyżby jedynym rozwiązaniem było odesłanie go do Waszyngtonu? Nagle uświadomił sobie, że w taki sam sposób już od trzech lat chodził za nim wszędzie cień panny Julii Bentley, a on dziś, właśnie dziś rozważał, czy się z nią nie ożenić tylko dlatego, że tak uparcie starała się wziąć go w swoje posiadanie. Nie chodziło o to, że nie była damą. Wręcz przeciwnie! Była piękna i pełna godności, i nigdy niczym go nie obraziła. Ale zawsze, niezmiennie uważała, że będzie go miała na swoje usługi, gdy tylko tego zapragnie. Zawsze też pojawiała się wtedy, kiedy on miał najmniejszą ochotę na damskie towarzystwo.

Zmarszczył brwi. Co się kryło w jego charakterze, że można było tak łatwo nim kierować? Czy jakikolwiek inny agent, któremu powierzono by taką misję, pozwoliłby sobie na to, by spóźnić się przez psa?

Gordon nie mógł dłużej tracić czasu!

W kasie bagażowej nie chcieli przyjąć psa bez obroży i łańcucha, chyba że byłby w klatce. Spóźnienie wydawało się nieuniknione. W końcu za radą uprzejmego urzędnika zabrał psa do schroniska, w którym, jak mu powiedziano, dobrze dbano o zwierzęta, i tam go zostawił, płacąc za to dziesięć dolarów. Patrząc na zegarek, usadowił się w taksówce i z zadowoleniem stwierdził, że ma jeszcze dość czasu na dotarcie do hotelu i przebranie się w wieczorowe ubranie, zanim będzie musiał stawić się do pracy.

Trzy przecznice przed hotelem taksówka zahamowała tak nagle, że Gordon aż upadł na kolana.



Natychmiast otoczył ich tłum, w którym nietrudno było zauważyć policjantów. Kierowca wydawał się oszołomiony sytuacją.

Na widok leżącej bezwładnie na środku ulicy drobnej, bosej figurki Gordon zrozumiał, co się stało. Zauważył też groźne spojrzenia przechodniów. Usłyszał słowa jakiegoś chłopaka:

- Pewno mu się spieszy. Takim to się zawsze spieszy. Nawet ich nie obejdzie, jak kogo zabiją!

Owładnęło nim przerażenie. Taksówkarz potracił gazeciarza i być może tamten nie żyje. A tu nie ma przecież ani chwili do stracenia. „Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało! To sprawa życia i śmierci!” Wydawało się, że to właśnie śmierć zatrzymała agenta.

Ułożyli jęczącego chłopca w samochodzie i ponieważ nie sposób było przejść przez zbity, obserwujący zdarzenie tłum, Gordon usiadł obok tego brudnego i nieprzytomnego biedaka. Taksówka ruszyła do szpitala, a w uszach Gordona ciągle brzmiały słowa: „Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało! Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało!”. Młody człowiek poczuł, że straci zmysły, jeżeli ten głos natychmiast nie umilknie. Rozważał, czy nie wyskoczyć z samochodu podczas jazdy, ale wizja połamanych nóg i szpitalnego łóżka przytrzymała go na miejscu. Jeden z policjantów wsiadł na przednie siedzenie i od czasu do czasu spoglądał przez ramię, jak gdyby eskortował przestępców do więzienia. To przechodziło wszelkie pojęcie! I wszystko przez tego psa! Czy komuś zdarzyło się coś bardziej idiotycznego?

Złość i zdenerwowanie sprawiły, że niemal zapomniał, iż to jego pośpiech był przyczyną wypadku tego chłopczyzny. Gdy po raz piąty spojrzął na zegarek, gazeciarz otworzył oczy i jęknął, a jego spojrzenie uderzająco przypominało wzrok psa, którego dopiero co Gordon się pozbył.

Mężczyzna zadrżał. Wydało mu się, że pies robi mu wyrzuty przez oczy tego dziecka. Nagle chłopiec się odezwał.

- Zostanie pan ze mną, póki nie wyzdrowieję? - wyszeptał słabnącym głosem.

Serce Gordona znowu zadrżało z przerażenia. Pomyślał, że tego dnia wszystko się sprzysięgło przeciwko niemu. Być może był to rodzaj próby, czy jest dość twardy do takich zadań. Oczy małego gazeciarza zrobiły na nim większe wrażenie niż cokolwiek w życiu, a jednak nie mógł spełnić jego prośby. Obowiązek - sprawa życia i śmierci - wzywał go gdzie indziej. Tajny agent musiał zostawić cierpiącego chłopca, którego krzywdę nieumyślnie spowodował. Niemożność pozostania z małym sprawiła mu dotkliwy ból.

Czy to zmęczenie wywołało nagłą wizję Julii Bentley i jej pięknych ust wykrzywionych w grymasie dezaprobaty? Ona z pewnością nie pochwaliłaby zbaczania z drogi dla odwiezienia do szpitala jakiegoś chłopca, tak samo jak nie pochwaliłaby troski o psa-przybłądę.

- Słuchaj, mały - powiedział Gordon ciepło, nachylając się nad chłopcem. - Zostałbym z tobą, gdybym mógł, ale już jestem spóźniony na spotkanie przez to, że tak daleko z tobą jadę. Wiesz, co znaczy obowiązek?

Chłopiec skinął głową.

- Niech się pan mną nie przejmuj - mruknął. - Proszę iść. Mnie nic nie będzie - i znowu zapadła cisza. Powieki chłopca zamknęły się i mały ponownie stracił przytomność.

Gordon wszedł do szpitala tylko na moment, żeby zostawić pieniądze na opiekę nad dzieckiem i wiadomość, że wróci za tydzień lub dwa, o ile będzie mógł, po czym pospieszył w swoją stronę.

Siedząc ponownie w taksówce, miał uczucie, jak gdyby zabił człowieka i zostawił go leżącego w rowie, zmierzając niezachwianie ku wykonaniu zadania, które z każdą chwilą coraz

mniej mu się podobało. Z chęcią zrezygnowałby z łask szefa, byleby uwolnić się od tej misji. Zamknął oczy i próbował się odprężyć, ale wciąż pojawiała się w jego myślach blada twarz chłopca.

Spojrzał na zegarek. Droga do hotelu zajmie najmniej dziesięć minut. Dzięki służącemu przebranie się nie zabierze dużo czasu, gdyż wszystko jest przygotowane. Toaletę też zrobi szybko. Ale jest jeszcze walizka... Nie powinien zostawiać jej w hotelu, nie może także wziąć jej ze sobą tam, dokąd go zaproszono. Nie pozostawało nic innego, jak pojechać na dworzec i zostawić ją w przechowalni. Oznaczało to dłuższą drogę i większe spóźnienie, ale było konieczne.

W końcu dojechali do hotelu i w momencie, kiedy Gordon wpisywał do książki meldunkowej swoje „nowe” nazwisko, poproszono go do telefonu.

Ujął słuchawkę ręką drżącą z podniecenia. Zabrakło mu oddechu, jak gdyby właśnie wbiegł na piąte piętro.

- Słucham? Halo! Ach, pani Holman. Tak! Burnham. Właśnie przyjechałem. Mieliśmy opóźnienie. Wcześniejszy pociąg się wykoleił. Jestem bardzo wdzięczny za zaproszenie. Tak, będę za chwilę, kiedy tylko odświeżę się po podróży. Dziękuję. Do zobaczenia.

Recepcjoniście, który podliczał rachunki, rozmyślając o tym, że tego wieczora znów nie będzie mógł zabrać swojej dziewczyny do teatru, wydało się to najzwyczajniejszą rozmową, ale Gordon odkładając słuchawkę, rozejrzał się ukradkiem, jak gdyby spodziewał się przyczajonych dokoła dziesięciu prywatnych detektywów. Po raz pierwszy wykonywał zadanie pod fałszywym nazwiskiem i czuł się tak, jakby miał to wypisane na twarzy.

Z toaletą uporał się szybko. Już miał wychodzić, gdy przyniesiono mu telegram od szefa. Telegrafistce musiał się wydać po prostu pilnym wezwaniem do Bostonu, ale on, ekspert, wiedział, że jest to mylny ślad dla ewentualnej pogoni. Był zachwycony szefem, który opracowywał każdą akcję w najdrobniejszych szczegółach i nie zaniedbywał żadnego drobiazgu, który mógłby spowodować trudności.

Wsiadając do taksówki, znowu odczuł falę zdenerwowania.

Zastanawiał się, ile jeszcze zabłąkanych psów i gazeciarzy z połamanymi nogami znajdzie się na jego drodze. Gdziekolwiek kierowca zwalniał lub zatrzymywał się, ustępując pierwszeństwa, serce Gordona zamierało w oczekiwaniu nowych kłopotów. Tym razem jednak szybko i już bez przeszkód zajęchali na stację. Gordon oddał walizkę do przechowalni i inną taksówką dotarł do rezydencji Holmanów.

Goście już na niego czekali i po przedstawieniu się wszyscy natychmiast przeszli do jadalni. Gordon usiadł za stołem z poczuciem, że sfuszerował robotę i przyjechał tak późno, że nie ma już szans na wykonanie powierzonego mu zadania. Przez kilka minut nie mógł się skupić, a rześiste światła w jadalni zupełnie go oślepiły. Nie był w stanie rozróżnić twarzy obecnych. Zdawało mu się, że wszyscy słyszą bicie jego serca, które waliło, jakby za chwilę miało wyskoczyć na sztywno wykrochmalony obrus. Gordon uzmysłowił sobie też, że nie odpowiadał swobodnie, gdy zwracano się do niego „panie Burnham”. W myślach prześladowały go białe psy, poszkodowane dzieci i panny z pogardliwym uśmiechem na ustach.

Siedział po prawej stronie pani domu i dzięki jej doskonałym manierom zdołał się w końcu uspokoić. Odzyskał kontrolę nad sobą i zdało mu się, że widzi z daleka przenikliwe oczy szefa. Całym sercem zapragnął spełnić jego oczekiwania, pokonać przeszkody i zwyciężyć - bez względu na trudności. Musi stanąć na wysokości zadania.

Roztańczone światła odbijane przez polerowane srebro i kryształowe zastawy zaczęły układać się w regularny wzór i powoli w zbiorze twarzy dokoła dały się wyróżnić poszczególne osoby.

Pierwszą była ładna, blada gospodyni o nienagannych manierach. Bardzo różniła się od swego zwalistego męża, który maskował porywczosć dobrym wychowaniem. Jego rysy z daleka zdradzały brak skrupułów i przebiegłość, która cechowała niemal wszystkich w tym otoczeniu.

Dwóch kolejnych gości, mimo ich majątku i ogłady, również nie można było nazwać wytwornymi. Wszystkie inne cechy przysłaniała malująca się na ich twarzach chytrość, której tego wieczora nie musieli ukrywać. Przechytrzyli przeciwnika i otwarcie się z tego cieszyli.

Z pozostałych trzech mężczyzn pierwszy był niezwykle młody i bardzo ugrzeczniony. Drugi wyglądał na starego, zmęczonego i wiecznie przed czymś uciekającego. Ostatni był krępy osobnikiem o małych, blisko osadzonych oczach w nalanej, samolubnej twarzy. Gordon zrozumiał, że ci byli tu na rozkaz. Przysłuchiwali się rozmowie niejako z obowiązku i bez zainteresowania. Byli tu, bo ich potrzebowano, a nie dlatego, że ich tu chciano.

Wszystkich łączyła jedna cecha: pełna gotowość do współpracy dla zachowania własnego bezpieczeństwa. Nie wyrażała się ona niczym konkretnym, ale gość wyczuwał ją wyraźnie i wiedział, że w każdej chwili może być wykorzystana przeciwko niemu.

Stopniowo, po rozpoczęciu posiłku wraz ze wszystkimi związanymi z nim ceremoniami, Gordon zaczął zauważać coraz więcej. Jak dotąd nikt nie wspomniał o sprawie, dla której go zaproszono.

- Czy pan nie napomknął o wykolejeniu się pociągu?  
- zwróciła się do niego pani domu. Rozmowa przy stole natychmiast przycichła i gospodarz zapytał:

- Wykolejenie? Coś poważnego?

Gordon zrozumiał swoją pomyłkę. Zachowując ostrożność, odrzekł z uśmiechem:

- Absolutnie nie. To towarowy przed nami miał awarię i potrzebowano trochę czasu na jej usunięcie. To mi przypomniało... - i śmiało rozpoczął jedną z błyskotliwych historyjek, z których opowiadania słynał wśród przyjaciół. Serce biło mu jak szalone, ale udało się odwrócić uwagę obecnych od tego, skąd i którądy przyjechał. Zdawał sobie sprawę, że każde bardziej osobiste pytanie jest dla niego niebezpieczne. Musi się stąd wydostać, nie zostawiając śladów. Udało mu się jeszcze jedno, o czym sam nie wiedział, ale na co liczył jego szef, wybierając Gordona, a nie kogoś bardziej doświadczonego - wszyscy zgromadzeni przy stole byli nim oczarowani. Z miejsca zaskarbił sobie ich zaufanie i uspił czujność. Sprawiał też wrażenie człowieka, który nigdy nie podejrzewa innych o jakiegokolwiek ukryte zamiary.

Przez jakiś czas rozmowa skrzyła się zabawnymi historyj-

kami i ciętymi ripostami. Gordon zaczął się czuć niemal jak na spotkaniu towarzyskim w gronie znajomych, z Julią Bentley przysłuchującą się wymianie zdań z przyzwalającym uśmiechem. Na chwilę zapomniał o przygodach z psem i małym gazeciarem. Serce wróciło do normalnego rytmu, odzyskał też pełnię władzy nad umysłem. I wtedy zaczęło się najgorsze.

Służba uprzątnęła już naczynia po zupie i rybie, przygotowywano stół do kolejnego dania. Gospodarz rozparł się na krześle i rzucił od niechcenia:

- Zapewne orientuje się pan, panie Burnham, że zaprosiliśmy pana tutaj nie całkiem bezinteresownie. To brzmi niezwykle niegościnnie, prawda? Jednak wdzięczni jesteśmy losowi, że przez tę sprawę dał nam okazję pana poznać. Jesteśmy zachwyceni, żeśmy pana odkryli.

Gordon ukłonił się, uśmiechem dziękując za komplement, a szmer głosów dokoła dawał mu pewność, że zrobił dobre wrażenie. Oby tak dalej! Ale jak, *jak* miał zdobyć tę magiczną kartkę i jeszcze zabrać ją ze sobą?

- Panie Burnham, z wielką przyjemnością dowiedziałem się od przyjaciela, że jest pan ekspertem w odczytywaniu szyfrów. Zastanawiam się, czy pan Burns w bileciku przesłanym panu dziś rano wspomniał, że chciałem prosić pana o przysługę.

Gordon powtórnie się ukłonił.

- Owszem, dano mi do zrozumienia, że jest pan w posiadaniu jakiejś zaszyfrowanej wiadomości. Mam również list polecający od pana Burnsa.

Wyjął list z kieszeni i podał go ponad stołem gospodarzowi. Ten otworzył go od niechcenia, jak gdyby nie potrzebował czytać referencji po tym, jak poznał „pana Burnhama” osobiście. Gdy Gordon poprawiał ubranie, wciąż leżąca w kieszeni kartka z fałszywym szyfrem zaszeleściła, jakby chciała powiedzieć: „Mój czas nadchodzi! Już za-chwilę!”.

Zastanawiał się teraz, w jaki sposób wyjąć ją w razie potrzeby, aby pozostało to nie zauważone, lecz mimo zdenerwowania niezmiennie uśmiechał się do swego rozmówcy.

- Widzi pan - ciągnął Holman - mamy tu ważną wiadomość, której nie jesteśmy w stanie rozszyfrować, a nasz specjalista wyjechał z miasta i nie będzie go przez jakiś czas.

Sprawa jest pilna i musimy jak najszybciej poznać treść tego szyfru.

Mówiąc to, Holman wyjął z wewnętrznej kieszeni podłużny portfel z miękkiej skóry, a z niego złożoną kartkę papieru, która na pierwszy rzut oka wyglądała identycznie jak ta z kieszeni Gordona. Agent niemal dostał zawrotów głowy, gdy sięgnął po dokument. Zrozumiał, że oto nadchodzi jego szansa, ale czy będzie w stanie ją wykorzystać? Opanował go dziwny chłód, jak w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa. Siłą woli powstrzymał palce od drżenia i rozłożył papier beztróskim ruchem, jak gdyby nic mu o nim nie było wiadomo. Usłyszał własny głos mówiący:

- Zrobię, co w mojej mocy.

Nagle zapadła cisza. Gdy rozkładał kartkę, wszystkie oczy były w nim utkwione. Omiótł obecnych szybkim spojrzeniem; wszystkie twarze wyrażały potworne wręcz napięcie, a na każdej, prócz słodkiej twarzy pani domu, malowała się przebiegłość. Ci ludzie dla osiągnięcia własnych celów nie cofnęliby się przed niczym.

Następne spojrzenie Gordon skierował na trzymaną w rękę kartkę i nieomal stracił dech. Wiadomość była napisana szyfrem używanym przez Urząd Spraw Wewnętrznych. Słowa prawie krzyczały, było to bowiem rozwiązanie jednego z najbardziej skomplikowanych dla tajnej służby problemów, nad którym jego departament biedził się już od tygodni. To rozwiązanie trzymał teraz w dłoni, wiedząc, że jeżeli dostanie się ono w niewłaściwe ręce, doprowadzi to do nieuniknionego naruszenia praworządności w kraju. Jak temu zapobiec? Przez moment Gordon czuł, że nie dorasta do tego zadania.

Jednak stary szef wiedział, co robi, wybierając Gordona. Tylko na moment światła przygasły w oczach agenta, a na czoło wystąpił mu zimny pot. Błyskawicznie zebrał siły i podniósł wzrok. Dobro i honor narodu spoczywają w jego rękach, nie może więc zawieść. To sprawa życia i śmierci, więc wygra ją albo zapłaci życiem.

Ponownie przywołał na twarz uśmiech.

- Cieszę się, że mogę się państwu przydać - rzekł. - Naturalnie chciałbym się najpierw przez kilka minut przyjrzeć temu

pismu, zanim podejmę się jego odczytania. Szyfry bywają różne, ale do każdego z nich można znaleźć klucz, jeżeli tylko dołoży się starań. Ten szyfr wydaje się bardzo prosty.

Zakłęcie przestało działać, goście rozluźnili się i powrócili do jedzenia.

Tymczasem Gordon udawał, że je i zarazem studiuje trzymany w jednej ręce papier. Raz spojrzął też na odwrotną stronę kartki. Przy górnym brzegu dostrzegł duży krzyż wyrysowany czerwonym atramentem. Zdziwił się i instynktownie przeniósł wzrok na Holmana.

- To mój znak - wyjaśnił pan domu. - Postawiłem go, aby odróżnić ten papier od innych.

Uśmiechał się uprzejmie, ale równie dobrze mógł powiedzieć: „Zrobiłem to na wypadek kradzieży”, gdyż każda osoba przy stole, wyłączając może jego żonę, rozumiała, że to właśnie miał na myśli. Tajny agent również to wyczuł. Sytuacja zaczynała się komplikować.

Kiedy Gordon wyjeżdżał z Waszyngtonu, szef wręczył mu kopertę, która zawierała między innymi okulary w szylkretowej oprawie, fałszywe wąsy, bródkę i brwi. Roześmiał się wtedy na widok tych teatralnych rekwizytów, ale jednak na wszelki wypadek zabrał je ze sobą. Okulary włożył do kieszeni kamizelki wraz z fałszywym szyfrem. Przyszło mu na myśl, że teraz mógłby zrobić z nich użytek. Może przy okazji wyjmowania ich z kieszeni udałoby mu się zamienić kartki? Ale gdyby się udało, co z czerwonym znakiem na odwrocie? Czy ktoś dostrzeże jego brak? Należało zamienić szyfry jak najszybciej, aby pozostali nie mieli czasu przyjrzeć się pismu. Fałszywa wiadomość, choć generalnie przypominała oryginał, różniła się od niego wystarczająco, żeby zwrócić uwagę wnikliwego obserwatora.

Nie przerywając rozmowy, zdołał ostrożnie i powoli wydość fałszywy szyfr z kieszeni i wsunąć go pod serwetkę, którą miał na kolanach. Zrobił to jedną ręką, w drugiej ostantacyjnie trzymając kartkę zwróconą czerwonym znakiem do gości. Wszystko wyglądało naturalnie. Pani domu coś właśnie szepotała pokojówce, a inni dojadali doskonałe paszteciki. Kartka oznaczona czerwonym krzyżem wciąż była na widoku. Nikt nie miał powodów, żeby dopatrywać się czegoś podejrzanego.



- No, nareszcie! - rzucił Gordon obojętnym tonem i założył okulary, żeby lepiej się przyjrzeć papierowi, który rozłożył na obrusie przed sobą. Zastanawiał się, jak ma go zamienić na ten, który wciąż spoczywał pod serwetką na jego kolanach.

Zebrani z grzeczności powstrzymywali się od rozmowy z Gordonem i półgłosem opowiadali sobie wzajemnie wypadki minionego dnia. Do tej pory nie wydarzyło się nic szczególnego. Najważniejsze było jeszcze przed nimi.

Lokaj zebrał talerze i przystanął ze srebrną tacą przy krześle Gordona, wyczekując, aż pozwoli mu się zmieścić okruchy.

Gordon na to właśnie czekał. Była to jego jedyna szansa. Uprzejmie odsunął się na bok, zabierając papier z obrusa i kładąc go na kolanach, żeby umożliwić lokajowi uprzątnięcie stołu. W tej samej chwili kartka z czerwonym krzyżem znalazła się pod serwetką, a jej miejsce na stole zajęła „zmienniczka”. Brak znaku na odwrocie nie mógł zostać zauważony.

Jak dotąd wszystko w porządku, ale co będzie dalej? Jak przełożyć papier spod serwetki do kieszeni? Dłonie Gordona były zimne jak lód, za to umysł zdawał się wrzeć. Stało się! Jeżeli teraz ktoś podniesie kartkę i odkryje brak czerwonego znaku, sprawa będzie przesądzona. Na moment podniósł wzrok i spotkał się z utkwionymi w siebie sześcioro parami oczu. Czekał na kolejne danie, goście nie mieli nic lepszego do roboty, jak mu się przyglądać. Gordon uświadomił sobie, że jeżeli sprawa się wyda, żaden z nich go nie oszczędzi. Może jedynie ten starszy i zmęczony okazałby miłosierdzie, ale pewnie nie odważyłby się sprzeciwić pozostałym.

Mimo wszystko Gordon wciąż był w stanie się uśmiechać i wymieniać uprzejmości z gospodynią, która częstowała go solonymi migdałami. Jego ręka spoczywała na papierze, strzegąc tajemnicy tak spokojnie i niewinnie, jakby położył ją tam zupełnie przypadkiem. Gdy tak siedział z fałszywym papierem rozłożonym na stole, nagle usłyszał odległy dzwonek telefonu.

Przypomniał sobie słowa szefa i wyprostował się. Zerknął na stojący z boku wysoki zegar, którego złocone wskazówki zbliżały się do siódmej. Szef mówił, że mniej więcej o tej porze ktoś tu zadzwoni. Co teraz zrobić z obydwoma kartkami?

Został mu tylko moment na przemyślenie sytuacji, gdyż zaraz pojawił się lokaj i obwieścił, że ktoś pragnie rozmawiać z panem Burnhamem. Nie było wyjścia. Musiał zostawić fałszywy papier na stole. Zabranie go ze sobą mogło wywołać podejrzenia, a poza tym nie poradziłby sobie z obydwojema tak, aby nikt tego nie spostrzegł. Prawdziwa wiadomość musi zostać stąd zabrana za wszelką cenę i pozostaje tylko mieć nadzieję, że nikt nie zauważy braku czerwonego krzyżyka na rozłożonej kartce.

Rozmyślnie położył na jednym brzegu papieru ciężką srebrną łyżkę, a drugi przycisnął widelczykiem do lodów, jak gdyby chciał po powrocie znaleźć kartkę w tym samym położeniu. Potem, przeprosiwszy, podniósł serwetkę wraz z wiadomością i przycisnął do ubrania, jakby zapomniał, że trzyma ją w ręku, po czym wyszedł do holu, gdzie w niszy stał telefon. Mijając wieszak, wolną ręką zdjął swój płaszcz i kapelusz i zabrał je ze sobą, mając nadzieję, że nikt z jadalni tego nie zauważył. Czy uda mu się dostać prosto od telefonu do frontowych drzwi, tak żeby go nie widziano? Pospiesznie wsunął szyfr do wewnętrznej kieszeni. Serwetkę położył na stoliku przy telefonie i podniósł słuchawkę.

- Halo! Tak! Ach, dobry wieczór! Niemożliwe! Jak to się stało? - starał się mówić tak wyraźnie, aby można go było zrozumieć w jadalni, na wypadek gdyby ktoś słuchał. Nagle ku swemu przerażeniu zobaczył, jak pan domu podnosi papier pozostawiony na stole i wręcza go sąsiadowi z prawej strony.

Łącznik wyrecytował przez telefon umówione hasło, wysłuchał odzewu załączonego w instrukcjach od szefa, pożegnał się i rozłączył, ale głos Gordona wciąż rozbrzmiewał w holu, spokojny i dźwięczny mimo zdenerwowania.

- W porządku. Chwileczkę, muszę to sobie zapisać. Proszę poczekać, wyjmę ołówkę. Już jestem gotów. Ma pan to? Tak, zaczekam... - jego serce biło jak oszalałe, w uszseh słyszał szum krwi. Czy szukają znaku? Ciche pobrzękiwanie talerzy i sztućców oraz szmer rozmów brzmiały ciągle tak samo, ale bez wątplenia za kilkanaście sekund wszystko wyjdzie na jaw. Musi się stąd wymknąć, póki jeszcze może. Ukradkiem, jak cień, nie przestając obserwować jadalni, przekradł się do drzwi

i nacisnął klamkę. W tym samym momencie zobaczył, jak gospodarz zrywa się z krzesła i wrywa swemu sąsiadowi papier. Teraz w pokoju, w którym zaledwie kilka minut temu doświadczał takiej gościnności, wszyscy w podnieceniu wskazywali na niego palcami, zanim udało mu się zniknąć z zasięgu wzroku. Nie trzeba dłużej zachowywać ciszy. Został odkryty, musi walczyć o życie. Zatrzasnął za sobą drzwi. Zbiegł ze schodów, niemal nie dotykając ich stopami. Nie miał na to czasu. Po chwili stanął na jednej z ulic wielkiego, ruchliwego miasta, w świetle lamp, z jedynie kilkusekundową przewagą nad swymi przeciwnikami.

Prawie na wprost drzwi stał dwukonny powóz. Stangret co chwila zerkał niecierpliwie w kierunku sąsiedniego domu. Na odgłos zamykanych drzwi odwrócił się. Zauważył Gordona i chciał zeskoczyć z kozła, żeby pomóc mu przy wsiadaniu. Gordon zrozumiał, że stangret wziął go za człowieka, na którego czekał i postanowił to wykorzystać.

- Nie zsiadaj - zawołał, podejmując ryzyko. - Jest już bardzo późno. Sam sobie otworzę. Ruszaj, pokaż, co potrafisz.

Wskoczył do powozu i zatrzaskał drzwiczki. Konie już galopowały w dół ulicy. Przez tylną szybę zauważył w otwartych drzwiach domu, z którego dopiero co wybiegł, grupę rozgorączkowanych mężczyzn wskazujących sobie powóz i gwałtownie gestykulujących. Prawdopodobnie pan domu dzwoni już po swojego prywatnego detektywa.

Gordon ledwie mógł uwierzyć w to, że udało mu się przejąć wiadomość i uciec tak daleko, ale był też świadomy grożącego mu niebezpieczeństwa. Nie wiedział, dokąd jedzie i wcale go to nie obchodziło. Kiedy upewni się, że jest wystarczająco daleko, zawoła na stangreta i wyda mu dyspozycje, najpierw jednak musi ukryć cenny papier, na wypadek gdyby został złapany i przeszukany. Jeżeli tamci mają motocykle, za minutę lub dwie mogą go dogonić.

Starannie zwinął papier w cienki rulonik i wsunął go do złotego pudełeczka, które znajdowało się w kopercie wręczonej mu przez szefa. Był tam też złoty łańcuszek i całość wyglądała po prostu jak złoty ołówek. Gordon założył łańcu-

szek na szyję i ukrył puderko pod koszulą. Zaczął oddychać swobodniej. Póki żyje, nie pozwoli im przejąć wiadomości!

Pospiesznie przykleił sobie fałszywe brwi, wąsy i bródkę i założył cienkie rękawiczki. Liczył, że pomoże mu to zmylić pościg. Powinien natychmiast wydostać się z miasta.

Właśnie zaczął się zastanawiać, jak powiedzieć stangretowi, żeby odwiózł go na stację, kiedy wyjrzawszy przez okno, aby sprawdzić, w jakiej dzielnicy się znajduje, zauważył jadący za powozem samochód. W środku dostrzegł dwóch mężczyzn, którzy próbowali mu się przyjrzeć. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby się upewnić, że jeden z nich to krępy mężczyzna, który siedział naprzeciw Gordona przy stole. Agent natychmiast ukrył się w głębi powozu, ale zdawał sobie sprawę z tego, że jego szanse na ucieczkę przez obce miasto, w powozie ściganym przez dużo szybszy samochód są praktycznie żadne. Gdyby spróbował wyskoczyć i ukryć się w ciemności, szanse na powodzenie były jak jeden do tysiąca. Poza tym ukrycie się, a potem wydostanie z obcej części miasta było prawie niemożliwe. Trzeba jednak coś przedsięwziąć, gdyż powóz prędzej czy później dokądś dojedzie i wtedy spotkanie twarzą w twarz z pościgiem będzie nieuchronne.

Co gorsza, właśnie w chwili gdy już miał wyskoczyć w najbliższym ciemnym zaułku i z ręką na klamce starał się ocenić odległość, na jezdni pojawił się rozpędzony motocykl. Zbliżył się do powozu tak bardzo, że kierujący - człowiek w mundurze - niemal przyłożył twarz do szyby. Gordon rzucił się na siedzenie, aby nie dać się zobaczyć. Poczuł, że sprawa jest przegrana i że czas jego kłęski zbliża się. Nie pomyślał, że jego prześladowcy raczej nie prosiliby o pomoc policji, obawiając się rozszyfrowania ich planów. Wiedział jedynie, że ma do czynienia z ludźmi, którzy nie cofną się przed niczym, aby odzyskać papier z szyfrem i pozbyć się niewygodnego świadka. Nagle zrozumiał, że dwaj hycle, którzy w tej chwili jechali samochodem z prawej strony powozu, byli na przyjęciu po to, żeby go natychmiast uciszyć, gdyby zaczął sprawiać kłopoty. Nieco dziwne wydawało się to, że Holman i jego przyjaciele odważyli się zatrudnić obcego do sprawy, która w razie niepowodzenia oznaczała dla nich całkowitą ruinę. Prawdopodobnie doszli do

wniosku, że każdy człowiek ma swoją cenę i zamierzali zaofiarować mu udział w zyskach. Możliwe, że z polecenia szefa dano im do zrozumienia, iż jest człowiekiem godnym zaufania. Zachowali jednak ostrożność i teraz już prawie go mają. Wsiadając do tego powozu, sam wpakował się w śmiertelną pułapkę. Wydawało się, że nie ma już najmniejszej szansy na ucieczkę, ale musi walczyć do ostatka.

Sprawdził, czy rewolwer łatwo się wyjmuje i zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej połknąć papier z wiadomością niż pozwolić jej dostać się z powrotem w ręce wroga. Zdecydował, że mimo wszystko musi próbować dostarczyć ją szefowi. Zamierzał też natychmiast ponowić próbę ucieczki.

Nagle powóz skręcił na szeroki podjazd i samochód oraz motocykl zostały z tyłu, jak gdyby kierowcy nie wiedzieli, co dalej robić. Konie stanęły w pobliżu jasno oświetlonych drzwi dużego kamiennego budynku. Po drugiej stronie ciągnął się wysoki kamienny mur. Gordon usłyszał za sobą odgłos nadjeżdżającego samochodu i motocykla. Przeszło mu przez myśl, że powóz zatrzymał się przed domem, żeby uniemożliwić mu ucieczkę i że teraz zostanie schwytany.

Stangret zeskoczył z kozła, żeby otworzyć drzwiczki, więc Gordon położył rękę na rękojeści rewolweru, zamierzając walczyć do ostatka.

Spojrzał przez tylną szybę i oślepiły go światła znajomego samochodu. Krępy mężczyzna właśnie wysiadał, a i motocyklista po ustawieniu maszyny pod murem skierował się w stronę powozu. Za chwilę ucieczka będzie niemożliwa. Gordon rozważał, czy nie udałoby mu się wydostać z drugiej strony powozu, wskoczyć na motocykl i spróbować odjechać. Gdy się nad tym zastanawiał, nagle otwarły się drzwi po lewej i powóz został otoczony przez sześciu mężczyzn w smokingach, którzy mówili coś jeden przez drugiego.

- Jesteś nareszcie! - wykrzyknęli chórem.

- Gdzie jest świadek? - zawołał ktoś od drzwi budynku.

- Też go nie ma? - i jak gdyby w odpowiedzi jeden z mężczyzn przy powozie odwrócił się wołając: - Jest, przyjechał! Powiedźcie mu... powiedźcie Jeffowi... powiedźcie, że przyjechał!

- po czym zwracając się znowu do Gordona, złapał go za ramię

i krzyknął: - Chodźmy, szybko! Nie ma chwili do stracenia. Organista prawie szaleje. Wszyscy są u kresu wytrzymałości. Nie mogliśmy sobie poradzić bez ciebie, sam rozumiesz. Ale już się nie przejmuj. Teraz wszystko będzie w porządku. Zapomnijmy o tym i chodźmy.

Gordon dosłyszał ponad gwarem stłumiony dźwięk organów, które nagle wybuchnęły marszem weselnym. Więc to nie pułapka, a kościół, nie przesłuchanie, a ślub! Ale - co za koszmar - chyba pomyłono go ze świadkiem! Wpadł z deszczu pod rynnę. Jak się wydostać z tej opresji, w dodatku mając na karku pościg?!

- Chciałbym wyjaśnić... - zaczął, zastanawiając się, co mógłby powiedzieć.

- Człowieku, nie ma czasu na wyjaśnienia. Organista już gra marsza weselnego. W tej chwili powinniśmy iść przez kościół, Jeff czeka w kaplicy. Zawiadomiłem narzeczoną i organistę, gdy tylko cię zauważyliśmy. No, już! Wszyscy wiedzą, że twój statek się spóźnił. Wyjaśnisz wszystko po ceremonii.

W tej chwili jeden z mężczyzn odsunął się i jego miejsce zajął krępy prześladowca Gordona. Światło padało wprost na jego twarz, więc Gordon pozbył się wszelkich wątpliwości. To z nim siedział przy stole. W tej sytuacji chyba jedyną drogą ucieczki pozostał kościół. Gordon poddał się sześciu oczekującym, którzy najzwyczajniej odsunęli tego, który im przeszkadzał i dosłownie wnieśli Gordona po schodach do drzwi kościoła.

Muzyka, oślepiające światła, kwiaty, palmy i eleganckie ubrania oszołomiły go. Myślał jedynie o tym, jak uciec swoim prześladowcom. Czy odważą się wejść do kościoła i wywlec go stamtąd na oczach wszystkich, czy też będą musieli poczekać, co może dać mu jeszcze jedną okazję? Gorączkowo rozglądał się za drugim wyjściem, ale otaczający go mężczyźni nie pozwalali na żaden swobodny ruch. Jeden z nich odezwał się szeptem:

- Musiałeś przeżyć straszne chwile, mając tyle kłopotów z dotarciem tutaj, ale teraz już o tym zapomnij. Wszystko pójdzie jak z płatka. Chodźmy, już dają ci znaki. Jefferson czeka trochę dalej. Wchodźcie razem z pastorem, jak wiesz.

Pan młody razem ze świadkiem, pokażą wam kiedy. Jeff ma obrączki, więc tym nie musisz się martwić. Nie masz nic do roboty prócz stania, gdzie cię postawią, i wyjścia razem ze wszystkimi. Nie ma czym się przejmować.

Czy to możliwe, że ci szaleńcy nie zauważyli swojej pomyłki nawet w tak jasnym świetle? Czy nie widzą, że ma przyklejone wąsy, a jedna brew opada? Czy nie znają świadka na tyle, żeby rozpoznać jego głos? Z pewnością za chwilę ktoś się spostrzeże - najprawdopodobniej ten Jeff, który mu się tak uważnie przygląda. Przecież nie może go wziąć za swojego przyjaciela. Jednak każda minuta zwłoki była dla Gordona niezwykle cenna, gdyż mieszała plany pościgu i dawała więcej czasu na przemyślenie tej zaskakującej sytuacji.

Pociągnięto go do przodu. Odwracając się dostrzegł w drzwiach kaplicy krępego łotra, który uparcie się w niego wpatrywał. Oby się udało wyprowadzić go w pole!

- Ale ja nie wiem, co zostało ustalone - wyjąkał Gordon, zdając sobie sprawę, że nie wszyscy muszą znać świadka, do którego może być podobny. Nie po raz pierwszy brano go za kogoś innego. Może przy tej charakteryzacji zdołałby poudawać, póki ceremonia się nie skończy. Potem można by zniknąć. To byłby najlepszy sposób, żeby ten pies gończy w drzwiach stracił trop. Jeżeli tylko prawdziwy świadek nie przyjedzie za szybko, łatwo będzie odegrać tę rolę. Może zjawi się dopiero wtedy, gdy on zdaży zniknąć, dzięki czemu ślub owieje mgłą tajemnicy.

Wszystko to przeszło mu przez myśl, gdy jego towarzysz wciąż coś wyjaśniał grobowym szeptem.

- Ustalenia są najzwyczajniejsze w świecie, nic nowego. Wejście z Jeffem, gdy tylko kościelni otworzą drzwi z tyłu kościoła, i będziecie tam czekać, aż Celia i jej wuj przejdą przez kaplicę. Potem zacznie się ceremonia, bardzo zresztą krótka. Nie martw się, przyjacielu, wszystko dobrze wypadnie. Pospiesz się! Już cię wołają. Kapelusz możesz zostawić tutaj. Ja też muszę już iść. Tylko spokojnie. To nie potrwa długo.

Zasapany mężczyzna pomknął w kierunku drzwi niemal tańczącym krokiem. Brzmiał przepiękny marsz Lohengrina. Gordon odwrócił się, wciąż jeszcze rozmyślając o ucieczce, ale



dostrzegł drapieżny wzrok swego prześladowcy i w tej samej chwili usłyszał głos Jeffersona.

- Nareszcie jesteś! - zawołał tamten, łapiąc kapelusz i płaszcz Gordona i rzucając je na krzesło. - Wszystkiego dopilnowałem. Wystarczy tylko twoja obecność. Już czas, pastor daje nam znaki. Bardzo się cieszę, że cię widzę. Przykro mi, że musiałeś tak się spieszyć. Ile to już lat minęło od naszego ostatniego spotkania? Dziesięć! Trochę się zmieniłeś, ale wciąż wyglądasz świetnie. O nic nie musisz się martwić. Już za chwilę węzeł zostanie zawiązany.

Gordon zajął miejsce u boku Jeffersona, miłego, eleganckiego i przystojnego młodzieńca. Spoglądając ukradkiem na jego delikatną, jaśniejącą szczęściem twarz, zastanawiał się, czy będzie równie zadowolony, gdy on sam będzie szedł do ołtarza na spotkanie swej przyszłej żony. Ajak by się czuł, gdyby teraz właśnie miał się ożenić - gdyby szedł przez ten wystrojony tłum, żeby przed ołtarzem spotkać Julię Bentley i związać się z nią na zawsze? Na tę myśl serce podeszło mu do gardła.

Drzwi otworzyły się szeroko, organy zagrzmiały z całej mocy i Gordon nagle uświadomił sobie, że wszystkie oczy skierowane są na niego. Zastanawiał się, jak długo jego brwi wytrzymają spływający po czole pot. A ten idiotyczny wąsik! Dlaczego go jeszcze nie usunął?! Pewnie jest krzywy. Może podnieść rękę i sprawdzić? Rękawiczki! Czy ktoś zauważy, że nie są tak świeże, jak wymagałaby tego rola świadka? Zrobił pierwszy krok w takt muzyki i poczuł się tak, jakby ktoś prosto z porannej drzemki wepchnął go do wanny z lodowatą wodą.

Nogi nagle zaczęły mu ciążyć jak ołów, a kościół zdawał się długi na mile i w całości wypełniony tłumem gapiów. Próbował sam siebie przekonać, że nikt go tu nie zna, a poza tym wszyscy patrzą na pana młodego u jego boku. On zaś jako świadek nie przyciągnie niczyjej uwagi, o ile będzie zachowywał się spokojnie i o ile nie zjawi się prawdziwy świadek. Po ceremonii spróbuje zniknąć w ciemności i jakąś boczną uliczką dotrze do tramwaju lub postoju taksówek, a potem na stację. Na myśl o papierze w złotym pudełeczku-ołówku napełniło go radosne podniecenie. Jeśli tylko wydostanie się z kościoła, chyba uda mu się wyjść z tego cało. Może nawet ten ślub mu

pomoże, gdyż nikomu nie przyjdzie do głowy szukać go w kościele wśród tłumu weselnych gości.

Jefferson pomagał mu, od czasu do czasu szepcząc jakąś wskazówkę, popychając go i ustawiając na właściwym miejscu. Wydawało się, jakby świadek był najważniejszą osobą w kościele. Gordon stwierdził jednak, że ci ludzie chyba wiedzą, co robią. Ukradkiem zerknął na gości w pierwszej ławce, którzy wyglądali na zupełnie zadowolonych, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Uznał, że musi poddać się losowi.

Ludzie szepotali między sobą, że świetnie wygląda, a niektórzy zauważyli, że jest dużo szczuplejszy niż dziesięć lat temu. Najwyraźniej pobyt za granicą wyszedł mu na dobre. Pewna pani odważyła się nawet powiedzieć, że to wspaniałe, jak zagraniczne wojaże potrafią człowieka zmienić na korzyść.

Muzyka wciąż płynęła, a z nią powoli i z wdziękiem płynął przez kościół orszak panny młodej. W końcu oblubienica przybyła osnuta mgłą welonu, a niosące bukiety kwiatów drużny ustawiły się dookoła.

Starszy pan, na którego ramieniu wspierała się panna młoda, zajął miejsce gdzieś w pierwszych ławkach i Gordon uświadomił sobie, że teraz to on stoi najbliżej narzeczonej. Czuł, że coś tu nie jest w porządku i popatrzawszy na swego młodego przewodnika, spróbował zamienić się z nim miejscami. Jefferson posłał mu takie spojrzenie, że zaniechał tego zamiaru.

- Wszystko w porządku. Stój na swoim miejscu - szepnął, więc Gordon stał, rozmyślając nad dziwnymi zwyczajami ślubnymi i zastanawiając się, dlaczego nigdy dotąd nie zwrócił uwagi, jak wygląda wejście i wyjście nowożeńców oraz porządek ceremonii. Ile by dał, żeby to się już skończyło! Wydaje się, że agent wywiadu musi znać się dokładnie na wszystkim.

Organy przycichły i ich dźwięk brzmiał teraz jak rozczulające łkanie, pełne zarazem radości, smutku i marzeń. Po chwili pastor donośnym głosem rozpoczął uroczystość. Gordon stał posłusznie, zadając sobie pytanie, czy to brew zwisa mu nad okiem, czy tylko kropla potu.

Był potwornie zmęczony tą sytuacją i pomyślał, że o ile w ogóle wyjdzie z tego żywy, nigdy, nigdy, przenigdy się nie ozem.

Czas włókł się niemiłosiernie. Nagle Gordon przypomniał sobie o obecności biało ubranej istoty u swego boku. Ogarnęło go pragnienie spojrzenia na nią i sprawdzenia, czy przypomina Julię Bentley. Bez przerwy prześladowało go koszarne uczucie, że to *jest* Julia jakimś cudem przeniesiona do Nowego Jorku i ni stąd, ni zowąd biorąca z nim ślub. Nie mógł się pozbyć tego wrażenia.

Gdy tak rozmyślał, usłyszał słowa modlitwy, która w jego odczuciu zdawała się nie mieć końca.

Szepty przycichły. Gordon uznał, że pewnie wszyscy skłonili głowy i z desperacją odwrócił się do panny młodej. Musi ją zobaczyć i pozbyć się wreszcie tej okropnej wizji. Odwracając się, mimo ciągłego powtarzania sobie, że jest głupcem, spodziewał się ujrzeć wysoką i postawną Julię i zastanawiał się, dlaczego tak się tego boi. W końcu spojrzął na dziewczynę i zamarł.

Była drobniutka, szczupła, młoda i niezwykle piękna, a jej przeraźliwa bladość jeszcze to podkreślała. Delikatna twarz otoczona ramą złotych włosów i chmurą białego tiulu wyglądała jak kwint we mgle. Ale śliczna główka była opuszczona, koralowe usta wyrażały nieprzebrany smutek, a rzęsy u przymkniętych oczu rzucały cień na policzki. Gordon nie potrafił oderwać od niej wzroku. Jaka śliczna i jak bardzo pasuje do tego przystojnego młodzieńca! Teraz dopiero zauważył, jak bardzo byli do siebie podobni, tyle że dziewczyna była drobniejsza i delikatniejsza. Nagle poczuł w sercu ukłucie zazdrości. Dlaczego on nie mógł poznać i pokochać podobnej panny? Dlaczego na jego drodze stała Julia Bentley, którą mu rzekomo przeznaczył los?

Wpatrywał się w pannę młodą z takim skupieniem, że kilka starszek, które słuchały modlitwy, zaczęło szeptać między sobą:

- Spójrzcie tylko, jak na nią patrzy! Jak on ją musi kochać! Czy to nie wspaniałe? Przyszedł prosto ze statku i zobaczył ją tu, w kościele, po raz pierwszy od dziesięciu długich lat. Jakież to romantyczne!

- Tak - szepnęła druga - i myślę, że to się nie zmieni. Można to wyczytać z jego oczu. Jedyne, co mi się nie podoba, to jego zarost. Pewnie to jakaś zagraniczna moda. Zmieni to, kiedy się zdecyduje osiąść tu na stałe.

Surowa starsza pani w pierwszej ławce odwróciła się i szepty umilkły.

Gordon wciąż wpatrywał się w narzeczoną, która wreszcie poczuła spoczywające na sobie spojrzenie i podniosła oczy... pełne łez!

Popatrzyła na niego z wyrzutem, który zranił jego duszę jak miecz, po czym znów spuściła wzrok. W jakiś tajemniczy sposób przełamując prawo grawitacji, łzy nie popłynęły. Gordon odwrócił się, jednak to spojrzenie pozostawiło swoje piętno; pod jego wpływem stanęły mu przed oczyma wszystkie wydarzenia tego dnia. Przypomniał sobie smutny wzrok białego psa, poczuł nową falę współczucia dla rannego dziecka, ale było to niczym wobec skurczu serca na widok łez tej dziewczyny. Teraz zrozumiał, że pies i chłopiec mieli otworzyć jego serce na jej spojrzenie, które wydarło mu duszę i rzucało pod jej stopy. Gdy ucichła modlitwa, Gordon poczuł, że cały drży.

Ciche szmery wśród zebranych i westchnienie ulgi wydane przez towarzyszących narzeczonej zapowiadały następny etap ceremonii. Gordon rzucił mściwe spojrzenie niewinnemu młodzieńcowi u swego boku. Czy dziewczyna wychodzi za niego wbrew swej woli? Cóż ten chłopak mógł zrobić, że te śliczne oczy pełne były łez? Skłonił do płaczu tę delikatną istotę i wydaje się wcale tego nie zauważać. Czy w przyszłości będzie umiał odpowiednio się o nią zatroszczyć? Gordonowi przyszła ochota kopnąć pana młodego.

Nagle uderzyła go myśl, że to on sam mógł być przyczyną łez dziewczyny; on, świadek, który się spóźnił i kazał wszystkim zwlekać ze ślubem nie wiedzieć jak długo. Naturalnie nie była to jego wina, ale poniekąd można było tak uważać, gdyż teraz występował w zastępstwie tego nieszczęśnika. Pewnie panna młoda miała żal za to, co uważała za jego winę. Słyszała gdzieś, że kobietom zdarza się płakać ze zdenerwowania czy rozczarowania.

W głębi serca jednak nie umiał przypisać tych łez tak drobnej przyczynie. Ugodziły prosto w jego duszę i czuł, że kryje się za nimi coś głębszego niż tylko zdenerwowanie. Był w nich gorzki żal z powodu jakiegoś wielkiego uchybie-

nia. To wyczytał z jej wzroku. Poczł nagły przypływ męstwa, aby bronić dziewczyny przed każdym, kto próbowałby ją zranić. Pragnął raz jeszcze spojrzeć w jej oczy. Jeżeli wciąż będą wołały o pomoc, musi odpowiedzieć na to wezwanie.

Na moment zapomniał o swoim zadaniu, nieprawdopodobnej sytuacji, w jakiej się znalazł, a nawet o niebezpieczeństwie, jakie mu zagrażało.

Jefferson wyjął obrączkę i dał Gordonowi kuksańca, jak gdyby świadek miał tu jeszcze jakąś rolę do spełnienia. Zdawało mu się, że kiedyś słyssał, iż świadek ma w odpowiedniej chwili podać obrączkę panu młodemu, ale absurdem było robienie tego, skoro pan młody trzymał już złote kółeczko w palcach. Dlaczego ten głupi Jefferson nie zachowa się jak mężczyzna? Wciąż wyciąga rękę z obrączką w jego kierunku, niewątpliwie oczekując, że Gordon ją od niego odbierze. Co za absurd! Nie wypadało zrobić nic innego, jak wziąć ją i oddać mu z powrotem. Musi robić, co mu każą i jakoś dotrzeć do końca tej obrzydliwie długiej ceremonii. Wziął obrączkę i wyciągnął dłoń w kierunku młodzieńca, ale ten nie przyjął jej z powrotem. Zamiast tego szepnął:

- Włóż ją na jej palec!

Gordon zmarszczył brwi. Czyżby się przesłyszał? Dlaczego ten facet nie miałby założyć obrączki własnej narzeczonej? Gdyby to on się żenił, nie pozwoliłby nikomu zrobić tego za siebie. Cóż to za idiotyczny zwyczaj, żeby świadek zakładał obrączkę pannie młodej! Kto wpadł na coś takiego? Ale przecież nie można robić tutaj scen.

Mała, delikatna dłoń, niezwykle biała i szczupła, wyciągnęła się w jego kierunku, jakby chcąc ułatwić mu zadanie; palce rozsunęły się.

Gordon spojrział na gładkie złote kółeczko. Zdawało się zbyt małe na czyjkolwiek palec. Niemal z nabożeństwem wsunął je na miejsce z dziwnym, niewytłumaczalnym pragnieniem dotknięcia tej maleńkiej rączki.

Nagle stało się coś dziwnego. Usłyszał jakieś szmery i zauważył, że dają mu znaki, na które wcześniej nie zwrócił uwagi, gdyż myślał, że jego rola w tej niezwykle nieprzyjemnej sprawie już się skończyła. O zgrozo, pastor i Jefferson zaczęli

szukać jego dłoni; zdołali ją jakoś uchwycić i połączyli w pełnym zaskoczenia uścisku z małą rączką, na którą dopiero co założył obrączkę.

Gdy jego palce zamknęły się na palcach panny młodej, uścisk ten wyrażał taki szacunek i czułość, że dziewczyna raz jeszcze podniosła oczy, z których zniknęły już łzy, ale w których pozostały ból i strach. Bezwiednie wzmocnił uścisk, jak gdyby obiecując spełnić wszystko, o cokolwiek zostanie poproszony. Potem, wciąż trzymając ją za rękę, zauważył, że reszta orszaku odsunęła się, pozostawiając ich na centralnym miejscu. Gordon doznał olśnienia i nagle zrozumiał, że to ich ślub!

To jakaś potworna, niewytłumaczalna pomyłka, a on zajął miejsce innego, biorąc na siebie jego zobowiązania! Dotychczasowa przygoda zamieniła się w życiową tragedię, być może tragedię podwójną! Co teraz robić?!

Jako odpowiedź usłyszał słowa: „Ogłaszam was mężem i żoną” i „...tego człowiek niech nie rozdziela”.

Co on zrobił? Czy nie popełnił nieświadomie jakiegoś niesłychanego przestępstwa? Czy ktokolwiek może zrozumieć i wybaczyć tak potworną głupotę? Czy jeszcze kiedykolwiek będzie mógł chodzić z podniesioną głową, chociażby uciekł na koniec świata? Czy nie da się wybrnąć z tej sytuacji? Czy zanim wyjdą z kościoła, nie mógłby wyznać prawdy, odwołać słowa wypowiedziane w obecności wszystkich tych ludzi i posłać kogoś na poszukiwanie prawdziwego narzeczonego? Z pewnością ani prawo, ani Kościół nie uznają za ważny związku zawartego bez świadomości obojga partnerów. Naturalnie dla panny młodej będzie to okropne przeżycie, ale chyba lepiej wyjaśnić to teraz niż później. Poza tym poprzez uścisk dłoni Gordon obiecał jej pomoc i opiekę. Musi się z tego wywiązać!

A jego zadanie? Co z jego misją? „Sprawa życia i śmierci.” Ale to tutaj to więcej niż śmierć i życie!

Podczas tych rozważań usłyszał słowa błogosławieństwa, po którym triumfalnie rozbrzmiały organy. Obecni poruszyli się gwałtownie, chcąc jak najlepiej przyjrzeć się wychodzącemu orszakowi.

Panna młoda odwróciła się do drużyny, aby odebrać od niej swój bukiet, i ten ruch złamał rzucone na Gordona zaklęcie.

Zwrócił się do młodzieńca u swego boku i pospiesznie, półgłosem próbował wyjaśniać:

- Nastąpiła straszna pomyłka - zaczął, ale organy zagłuszyły wszystko, prócz słowa „pomyłka”. - Nie wiem, co zrobić? - na co Jefferson zapewnił go wesoło:

- Ależ skąd, stary, nikt nie zauważył tego nieporozumienia z obrączką. To był tylko moment. Wszystko poszło gładko. Teraz nie masz nic innego do roboty, jak wyprowadzić moją siostrę z kościoła. No, ruszże się! Wygląda, jakby miała zemdleć! Cały dzień źle się czuła. Podtrzymaj ją, szybciej! Na powietrzu poczuje się lepiej, ale pośpiesz się!

Gordon odwrócił się przerażony. Przecież ta delikatna panna ma już prawo czegoś od niego wymagać. Jego obowiązkiem jest uwolnić ją od tego tłumu. A może spostrzegła, że nie jest właściwym mężczyzną i stąd jej łyzy i strach? Jednak bez protestu pozwoliła dokończyć ceremonii i może nie powinien ujawniać wszystkim zebranyemu tego, co ona z pewnością chciała zachować w tajemnicy. Musi poczekać na okazję, żeby z nią porozmawiać. Musi robić wszystko tak, jak mówi ten młody człowiek... ten... jej brat, który naturalnie był świadkiem.

Gordon stwierdził, że okazał się głupcem. Co za ślepotą! Dlaczego nie domyślił się wszystkiego na początku i nie wycofał się, zanim stało się za późno? A co ma zrobić, gdy już dojdą do drzwi? Jak się wytłumaczyć? Jego zadanie! O tym nie może być ani słowa! Jak więc wytłumaczyć to... to... tak, przestępstwo? W całej historii ludzkości nie zdarzył się chyba jeszcze taki przypadek. Od początku do końca to było... to było... - nie mógł znaleźć odpowiedniego określenia.

Tak rozmyślając, próbował mimo wszystko dobrze grać rolę, którą mu przeznaczono. Nie odrywał wzroku od jeszcze bledszej niż przed chwilą i jeszcze piękniejszej twarzy panny młodej.

- Ach, spójrz tylko, jak bardzo jest jej oddany - wyszeptła starsza z dwóch starych panien. Gordon przechodząc dosłyszał te słowa i zadumał się. Nagle w wyobraźni ujrzał Julię Bentley, wpatrującą się w niego wzrokiem pełnym pogardy, ale nie oderwał oczu od słodkiej, smutnej twarzyczki panny młodej wspartej na jego ramieniu. Czuł, że jeżeli uda mu się dojść do drzwi nie podniósłszy oczu, Julia na zawsze straci nad nim swoją moc.

Pusty przedsionek, potem przejście pod baldachimem, moment samotności... Poczul na ramieniu zwiększający się ciężar i zauważył, że panna młoda zwolniła kroku. Póki jeszcze nie



otoczył ich tłum, Gordon zniósł ją z pokrytych dywanem schodów prosto do luksusowej limuzyny czekającej już z otwartymi drzwiami i ułożył na poduszkach. Ktoś zamknął drzwi i samochód ruszył niemal natychmiast.

Dziewczyna opadła na siedzenie z westchnieniem, a Gordon otworzył okno. Zdawała się być wdzięczna, ale nie wyrzekła ani słowa. Zamknęła znużone powieki; wyglądała na wyczerpaną. Mówienie w tej chwili wydawało się świętokradztwem, ale przecież muszą dojść do jakiegoś porozumienia, zanim dotrą do celu.

- Jestem pani winien wyjaśnienie - zaczął, nie wiedząc, co właściwie powiedzieć, ale ona wyciągnęła rękę.

- Nie, proszę! Wiem, statek się spóźnił! To nie ma żadnego znaczenia.

- Ale pani nie rozumie... - zaprotestował.

- Nie szkodzi -jęknęła. - Nie chcę rozumieć. Nic nie może zmienić tego, co zaszło. Pozwól mi tylko dojechać w spokoju do domu, gdyż inaczej nie wytrzymam reszty tego dnia.

Jej słowa zakończyły się niemal łkaniem i Gordon zamilkł, na chwilę poddając się uczuciom, z których najsilniejsza była chęć wzięcia tej delikatnej, bladej dziewczyny w ramiona i pocieszenia jej. „Nic nie może zmienić tego, co zaszło.” Zabrzmiało to tak, jak gdyby znała prawdę, ale uważała, że już za późno, aby naprawić tę wielką pomyłkę.

Musi ją przekonać, że nie zdawał sobie z niczego sprawy aż do końca ceremonii. Kiedy tak siedział, bezradnie wpatrując się w półmroku samochodu w jej drobnutką figurkę, panna młoda otworzyła oczy i raz jeszcze na niego spojrzała. Być może wyczuła, że chce coś powiedzieć. W świetle ulicznych latarni Gordon znowu zobaczył w jej oczach łzy, po czym usłyszał wypowiedziane błagalnym tonem jedno słowo:

- Nie!

Nie wiedzieć dlaczego, odczuł to jak cios nożem, nie mógł się jednak sprzeciwić. Powinność powinnością, ale nie może nie być jej posłusznym.

- Dobrze - powiedział cicho, niemal czule. Może to i lepiej. W jaki sposób miałyby wszystko wytłumaczyć, aby zechciała mu uwierzyć? Nie wolno mu nawet wspomnieć o swoim zada-

niu czy zaszyfrowanej wiadomości. Jaką podać przyczynę tego nieoczekiwanego pojawienia się na jej ślubie zamiast narzeczonego? Musi po prostu milczeć i uważać, czy nie nadarzy się szansa ucieczki, gdy dotrą do celu.

Obietnica w jego głosie najwyraźniej sprawiła dziewczynie ulgę. Westchnęła i ponownie zamknęła oczy.

Samochód mknął nieznanymi ulicami, a oni oboje pogrążeni byli w dziwnych rozważaniach. Panna młoda usiłowała nie poddawać się rozpacz, Gordon starał się znaleźć wyjście z labiryntu, w którym niechcący utknął. Próbował uporządkować jakoś myśli i zdecydować, co dalej robić. Najważniejsza naturalnie jest jego misja, ale w dziwny sposób mała biała figurka wciąż ją przesłaniała. Czy może służyć obu? Co byłoby dobre dla jednej i drugiej? Musiał przyznać, że w takiej sytuacji nie ma miejsca na osobiste interesy.

Musi ze wszystkich sił starać się naprawić to, co już zepsuł przez swoją głupotę. Musi zrobić wszystko, co w jego mocy, dla tej dziewczyny, z którą los tak dziwnie go złączył, a potem wróci do swojej misji. Ale kiedy zaczął uświadamiać sobie wagę swojego zadania i porównywać je ze sprawą swej „narzeczonej”, zupełnie stracił jasność sądów. Co ma zrobić? Nie chciał nawet myśleć o wymknięciu się cichaczem i pozostawieniu dziewczyny bez słowa wyjaśnienia, nawet jeżeli nadarzyłaby się okazja. Może się mylił. Bez wątpienia wielu jego przyjaciół wydałoby taką opinię. Ale on miał zamiar dotransportować tę skołataną duszę w jakieś bezpieczne miejsce, a potem zająć się powierzonym mu zadaniem. Nie zdał sobie jeszcze sprawy z jednego - że przestała go wreszcie prześladować wizja Julii Bentley. Był wolny. Na całym Bożym świecie ważna była dla niego tylko jedna kobieta - ta drobna, smutna istotka u jego boku, z którą dopiero co się ożenił.

Dopiero co się ożenił! On! Za tą myślą przyszedł moment zastanowienia i jakiś dreszcz, który wcale nie był nieprzyjemny. A gdyby to było naprawdę? Naturalnie nie jest. Ale gdyby było? Przez chwilę zastanawiał się, czy byłby zadowolony, czy też nie. Oczywiście wcale jej nie znał, słyszał z jej ust zaledwie kilka słów, otwarcie spojrzął jej w twarz chyba tylko raz, ale przypuścmy, że byłaby jego... Serce Gordona, ku jego zdziwie-

niu, odpowiedziało przyspieszonym biciem, a wszystkie dotychczasowe wyobrażenia miłości nagle uleciały. Wiedział, że choć była mu zupełnie obca, mógłby przyjąć ją do swego serca, dbać o nią i towarzyszyć jej, co nie miało szans powodzenia z Julią Bentley. I nagle zrozumiał, że pozwolił sobie na myślenie o kobiecie, która należała do kogoś innego i że wkrótce sytuacja się zmieni, na co musi być przygotowany. Co więc ma zrobić? Czy uciec z samochodu drugimi drzwiami, gdy ktoś będzie pomagał pannie młodej wysiąść? Nie, to niemożliwe, gdyż to on powinien wysiąść pierwszy i podać jej rękę. Poza tym dokoła będzie zbyt wielu ludzi i prawdopodobnie nie udałoby mu się wydostać. Ale, szczerze mówiąc, w podjęciu takiej decyzji najbardziej przeszkadzało mu jej spojrzenie. Po prostu nie był w stanie jej zostawić, póki się nie upewni, że już nie jest jej potrzebny. A jego zadanie?! Cóż, musi przynajmniej oddać ją w ręce ludzi, którzy się o nią zatroszczą. Tyle zrobił nawet dla białego psa, a ona na pewno była warta poświęcenia co najmniej takiego czasu, jaki oddał zranionemu, małemu gazeciarzowi. Gdyby tylko mógł jej wszystko wyjaśnić!

Przypomniał sobie o dokumencie, który miał przy sobie, i jego ważności. Zadrżał na tę myśl. Przypuśćmy, że z powodu tego nieprawdopodobnego zajścia zostałby złapany i odebrano by mu wiadomość! Co za hańba! Jak pokazałby się szefowi? Czy ktokolwiek byłby w stanie uwierzyć, że człowiek przy zdrowych zmysłach ożenił się z nieznaną kobietą w kościele pełnym ludzi i zdał sobie z tego sprawę dopiero po fakcie, a potem nic z tym nie zrobił? Dokładnie tak wyglądała jego sytuacja. Powinien jakoś to wytłumaczyć temu biedactwu. Może przyniosłoby jej to jakąś ulgę? Gdy jednak spojrzął na nią i spróbował się odezwać, poczuł, że nie może otworzyć ust. Nie wolno mu nic powiedzieć!

W końcu ograniczył najbliższe plany do dwóch czynności: dostarczyć dziewczynę w bezpieczne miejsce i oddać pod opiekę przyjaciół oraz wymknąć się stamtąd tak szybko i cicho, jak to możliwe. Okropne byłoby tak uciec bez słowa i zostawić ją, skoro najwyraźniej uważała go za człowieka, którego obiecała i zamierzała poślubić, ale prawdziwy pan młody musi się

w końcu pojawić i jakoś to rozwiązać. On w każdym razie powinien zejść jej z drogi i natychmiast dostarczyć wiadomość do miejsca przeznaczenia.

Samochód nagle zatrzymał się przed rześcicie oświetlonym dworkiem, którego ganek bronił wchodzących przed wzrokiem ciekawskich, nie dawał jednak możliwości ucieczki. Chodnik i ulica były pełne gapiów. Gordon wysiadł pierwszy, żeby pomóc panie młodej. Zabrał też jej ogromny bukiet, gdyż wyglądała na zbyt słabą, żeby nieść go dalej sama.

Na progu otoczyła ją służba na czele ze starą nianią, która witała ją ze łzami w oczach i ciągłymi okrzykami: „Nasza kochana panienka Celia!”. Gordon przez chwilę stał oszołomiony, widząc, jak blada twarzyczka jego towarzyszki rozjaśniła się miłością. Postanowił, że kiedy tylko uda mu się odłóżć gdzieś kwiaty, zacznie szukać drogi ucieczki. Musi być tu gdzieś jakieś tylne czy boczne wyjście.

Gdy tylko o tym pomyślał, stara niania wycofała się, żeby pozwolić reszcie służby przywitać młodą żonę sztywnymi ukłonami. Gordon poczuł na ramieniu czyjaś dłoń.

Wzdrygnął się i odwrócił, przypomniawszy sobie natychmiast o swojej misji i spodziewając się zobaczyć umundurowanego policjanta. Była to jednak tylko stara niania z oczami wciąż pełnymi łez wzruszenia.

- Chyba mnie pan nie zapomniał, co, paniczu? - zapytała z przejęciem. - Nie lubił mnie panicz za bardzo, ale taki był z panicza urwis, a ja musiałam bronić mojej panienki. Ale teraz to już przeszło i życzę paniczowi wszystkiego najlepszego. Wyrósł panicz na mężczyznę i wiem, że musi być jej wart, bo inaczej by go sobie nie wzięła. Dostała się paniczowi dobra żona i wiem, że będzie z nią panicz najszczęśliwszy na świecie. Nie będzie mi panicz pamiętał, że mówiłam wujowi o jego sprawkach, prawda? To ze względu na panienkę, a oboje byliście wtedy dziećmi.

Zamilkła, jak gdyby spodziewając się odpowiedzi, i zakłopotany Gordon zapewnił ją, że wcale nie pamięta takich drobnostek. Z szacunkiem i czułością spojrział w stronę pięknej dziewczyny, która rozdawała uśmiechy jak łaskawa królowa między poddanymi, mimo własnego bólu próbując dać innym radość.

- Kocha pan ją, prawda, paniczu George? - zapytała niania.  
- Jakże mogłoby być inaczej? Każdy, kto na nią spojrzy, już ją kocha. Jest taka słodka... - w tym momencie łzy okazały się silniejsze od staruszki.

Nagle do Gordona doszedł jego własny głos wypowiadający dziwne słowa, jak gdyby serce nagle zdecydowało się zadziałać bez zgody rozumu.

- Tak, kocham ją - usłyszał i ze zdumieniem uświadomił sobie, że to może być prawda.

To odkrycie jeszcze bardziej skomplikowało sytuację.

- Więc panicz mi coś przyrzeknie, dobrze? - rzekła niania, nie próbując dłużej wstrzymywać płynących po rumianej twarzy łez. - Przyrzeknie mi panicz, że nigdy nie pozwoli jej się smucić? Przez te ostatnie trzy miesiące wiele płakała; tylko ja wiem ile. Mogła to ukryć przed innymi, ale nie przed swą starą nianią, która od tak dawna ją kocha. Była tak nieszczęśliwa, że wystarczy jej na resztę życia. Niech mi panicz przyrzeknie, że ze wszystkich sił postara się dać jej szczęście.

- Ze wszystkich sił postaram się dać jej szczęście - powtórzył uroczyście, jakby składał ślubowanie, i pomyślał, że nie będzie miał zbyt wielu okazji, by dotrzymać przysięgi.

Zjawiała się cała masa gości. Zajeżdżały kolejne powozy i samochody, dom napełnił się wesołym gwarem i śmiechem. Służba wróciła do swoich zajęć, a panna młoda, rzuciwszy Gordonowi tylko jedno ponaglące spojrzenie, poprowadziła go do pięknie przyozdobionej sali. Z sufitu zwieszały się liście paproci i białe goździki umocowane na srebrnych drucikach. Wszystko to było jak sen. Młoda para stanęła pod łukiem z róż, lilii i palm. Gordon nie miał wyjścia, musiał pójść za żoną, a wchodzący goście zablokowali mu drogę odwrotu. Jeżeli w ogóle ma stąd uciec, to tylko bocznymi drzwiami. Gdy wszedł do tajemniczego, przepełnionego wonią kwiatów pokoju, zdawało mu się, że przestąpił próg świata cudów, piękna i przedziwnej radości, wciąż jednak czuł się intruzem, który nie miał prawa tam przebywać.

Mimo to stał niewzruszenie, rozdając ukłony, ściskając czyjeś dłonie i uśmiechając się spod fałszywego wąsa, który w każdej chwili groził zdemaskowaniem.

Goście gratulowali mu i mówili, że świetnie wygląda. Niektórzy wypowiadali się, że sprawia wrażenie męźniejszego niż przed wyjazdem, inni twierdzili, że zeszcupłał. Pytali go o żyjących i zmarłych krewnych i przyjaciół, a to już stawało się niebezpieczne. Ratował się, zbywając ich uśmiechami i półsłówkami, udając, że nie dosłyszał lub odpowiadając innym pytaniem. Gdy już zaczął, okazało się to niezbyt trudne, gdyż ludzi było tak dużo i tak się tłoczyli, że nie starczało czasu na dłuższe pogawędki. Potem jakoś przebrnął przez całą ofi-

cialną kolację, choć z pełnym żołądkiem i odklejającym się wąsem była to dla niego kolejna udranka.

Jeff był wszędzie, doglądał wszystkiego i zjawił się u boku zakłopotanego pana młodego właśnie w chwili, gdy ten miał odpowiadać na trudne pytanie o opóźnienie statku i warunki żeglugi. Gordon odkrył już, że pan młody spędził dziesięć lat za granicą i że jego parowiec przybył do portu z opóźnieniem, ale wciąż nie wiedział, skąd przypłynął ani co tam robił. Ktoś zapytał go, z którego portu wyruszył i jak się tam znalazł, skoro zaledwie tydzień temu miał być w Petersburgu. Sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Poza tym Gordon zdał sobie sprawę, że swój płaszcz i kapelusz ostatnio widział w kościele. Co się z nimi stało i jak ma iść na dworzec bez kapelusza?

- Wasz pociąg odjeżdża trzy po dziesiątej - oznajmił Jefferson cichym, rzeczowym tonem, jakby cieszył-się, że to właśnie jemu powierzono wszystkie przygotowania. - Zgodnie z twoim życzeniem zamówiłem salonkę. Tu są bilety i rachunki. Walizki już czekają. Celia nie życzyła sobie żadnych białych kokard u bagażu, uważa to za głupotę. Wymkniecie się wyjściem przeciwpożarowym i potem przez podwórze sąsiada. Samochód będzie czekać za rogiem. Celia wie gdzie. Nikt z gości nawet nie zauważy, że zniknęliście, póki nie będziecie w drodze. Spodziewają się, że użyjecie przystrojonego auta, które stoi przed frontowymi drzwiami, ale tym nie musicie się już wcale przejmować. Wszystko jest załatwione. Twój płaszcz i kapelusz leżą przy wyjściu i gdy tylko Celia będzie gotowa, zaraz cię tam zaprowadzę.

Gordon nie mógł wypowiedzieć nic prócz podziękowania, ale twarz mu pobladła. Czyżby nie było możliwości ucieczki? Czy naprawdę musi zabrać ze sobą czyjaś narzeczona, żeby się stąd wydostać? A jak się potem jej pozbyć? Gdzie jest prawdziwy pan młody i dlaczego dotąd się nie pojawił? I co to wszystko jeszcze za sobą pociągnie? Zaczął się gorączkowo rozglądać, chcąc natychmiast rzucić się do wyjścia, ale czyż można uciekać, niosąc na rękach pannę młodą? Gdyby ktoś towarzyszył im na stację, Gordon mógłby się wymknąć z czystym sumieniem, pozostawiając Celię w dobrych rękach, ale porzucenie jej, osłabionej i roztrzęsionej, nie wchodziło w ra-

chubę. Pozbył się bezpańskiego psa i cierpiącego dziecka, choć wiele go to kosztowało, ale nie potrafi pozostawić tej pięknej kobiety, za którą, zgodnie ze swoją rolą, miał być odpowiedzialny. Musi się najpierw upewnić, że jego odejście nie będzie dla niej przyczyną jakiegokolwiek krzywdy.

„Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało! Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało!”

Wydawało mu się, że od chwili kiedy usłyszał to zdanie, brzmiało ono nieprzerwanie w jego uszach wraz z muzyką, modlitwami i gwarem przyjęcia i było jak głos sumienia. Musi się jakoś uwolnić i wrócić do Waszyngtonu. Nagle wpadł na pomysł.

- Czy nie chciałbyś towarzyszyć nam na stację? - zapytał Jeffa. - Jestem pewien, że twoja siostra bardzo by się ucieszyła.

Twarz młodzieńca rozjaśniła się.

- Nie masz nic przeciwko temu? Bardzo bym chciał i, o ile nie sprawi ci to różnicy, zabrałbym też mamę. Rozstają się z Celią po raz pierwszy i wiem, że nie chciałaby się z nią żegnać przy wszystkich tych ludziach. Ale naturalnie niczego się nie spodziewa, a zresztą ty też nie miałeś jeszcze okazji być sam na sam z Celią, a to wasza podróż poślubna...

- Będziemy mieć mnóstwo czasu dla siebie - oświadczył przymusowy pan młody, czując się jak krzywoprzysięzca.

- Będę bardzo zadowolony z waszego towarzystwa - dodał gorąco. - Naprawdę. Powiedz to mamie.

Chłopak nagle uściśnął mu rękę.

- Wiesz, naprawdę jesteś w porządku! Przyznaję, że przez te trzy miesiące, od kiedy Celia powiedziała, że przyrzekła wyjść za ciebie, nie chciałem nawet o tym myśleć. Widzisz, niewiele cię znałem, kiedy byłem młodszy, ale nie przepadałem za tobą. Z jakiejś przyczyny byłem do ciebie uprzedzony. Zdaje się, że dzieciom często zdarzają się takie irracjonalne uprzedzenia. Jednak kiedy cię zobaczyłem dzisiaj wieczora, od razu cię polubiłem. Podobają mi się twoje oczy. Myślałem, że dobrze je pamiętam, a jednak są zupełnie inne niż przed laty. Zawsze zdawało mi się, że wyziera z nich oszustwo. Okropne jest to, co mówię, prawda? Ale chciałbym jakoś wyrzucić to z siebie, bo teraz widzę, że całkowicie się my-łem.



Masz najuczciwsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem i stawiam wszystko, co mam, że nie skrzywdziłbyś nawet muchy. Można na tobie polegać i cieszyć się, że zostałeś moim szwagrem. Wiem, że będziesz dobry dla Celii.

Gordon zarumienił się. Jego oczy *były* uczciwe. Były, aż do dzisiaj. W jakim potwornym oszustwie brał udział! Tak bardzo pragnąłby wytłumaczyć wszystko temu miłemu, szczeremu chłopcu, lecz mu nie wolno! Misja! Niewiele brakowało, a powiedziałby Jeffersonowi prawdę i poprosiłby o pomoc, ale rozmowę przerwała im nowa grupa gości, więc Gordon uścisnęła tylko rękę chłopca i wyszeptał zakłopotany:

- Dziękuję! Postaram się zasłużyć na taką opinię!

Nareszcie koniec. Panna młoda wyszła, żeby przygotować się do podróży. Gordon rozejrzał się pospiesznie - to pierwsza możliwość ucieczki. Gdyby gdzieś odkrył otwarte okno, wyskoczyłby, ufając swemu szczęściu i szybkim nogom, ale w tej sali nie było okien, a wszystkie drzwi blokowali goście. Przypomniał sobie o wyjściu przeciwpożarowym, gdzie czekał jego płaszcz i kapelusz.

Z przepaszającym uśmiechem wycofał się, mrużąc, że jest komuś potrzebny, i przedarł się aż do schodów, a stamtąd do tylnych pokoi. Wreszcie natrafił na otwarte okno i z sercem bijącym jak oszalałe zbierał się do skoku. Przez moment myślał, że wyprzedził wszystkich, ale w ciemności zamajaczyła jakaś postać; ktoś wszedł z zewnątrz budynku. Po chwili Gordon rozpoznał swojego nowego szwagra.

- Jesteś niesamowity! - usłyszał. - Jak zdołałeś sam znaleźć drogę? Właśnie szedłem, żeby cię przyprowadzić. Chciałem zostawić cię wśród gości jak najdłużej, ale skoro już tu jesteś, możemy natychmiast ruszać. Sprowadziłem już mamę i Celię. Dla mamy była to raczej trudna eskapada, trochę się bała tych schodów, ale trzymała się dzielnie. I tak się ucieszyła, że może z nami jechać! Obie czekają na podwórzu. Pozwól, że ci pomogę włożyć płaszcz. A teraz zamknę to okno. Już w porządku, ruszajmy! Idź pierwszy. Trzymaj się poręczy i uważaj. Jestem tuż za tobą. Znam te schody na pamięć. Nie raz bawiłem się w pożar. Mógłbym tędy chodzić z zamkniętymi oczami.

Gordon pomyślał, że naprawdę chciałby mieć takiego szwagra. Potem przypomniał sobie o swojej misji i stwierdził, że z pewnością stąd nie uda mu się uciec. Myślał nad szybkim manewrem u dołu schodów i ukryciem się w ciemności. Nie chciał wprawdzie zniknąć w taki sposób, ale wydawało się to jedyną szansą. I ten plan jednak okazał się niemożliwy do wykonania - samochód, którym mieli jechać na stację, czekał niemal pod samymi drzwiami, a szofer stał obok.

- Mama każe się paniczowi spieszyć - rzekł grobowym głosem. - Na progu zbierają się gapie. Wsiadajcie jak najszybciej.

Przysadzisty szofer pomógł Gordonowi wydostać się z ciasnych schodów i prawie wepchnął go do samochodu.

Wszyscy siedzieli cicho, póki nie wyjechali z ciemnego dziedzińca na ulicę. Samochód przyspieszył. Wtedy matka dziewczyny nachyliła się, położyła obie ręce na dłoniach Gordona i rzekła:

- Nigdy ci tego nie zapomnę, synu! Dziękuję, że podarowałeś mi jeszcze tych kilka minut z moją córeczką!

Gordon, wzruszony zbyt głęboko, aby mówić, wymamrotał, że jest bardzo zadowolony z obecności teściowej. Jefferson uratował sytuację, zasypując wszystkich lawiną informacji i pytań, na szczęście nie dając jednak nikomu czasu na odpowiedź. Panna młoda siedziała w milczeniu, z jedną ręką splecioną z dłonią matki. Gordona wciąż prześladowało wspomnienie łez w jej oczach.

Nie mając wiele czasu na zastanowienie się, opracował prowizoryczny plan. Zdecydował, że wszyscy wsiądą do pociągu, po czym on wróci po zostawioną w przechowalni walizkę. Wprawdzie należy się spodziewać, że Jefferson zechce mu ją przynieść, ale będzie nalegał, że rodzeństwo powinno spędzić ostatnie chwile razem. Potem wysiądzie i zniknie w tłumie. Walizkę odbierze później albo pošle po nią bagażowego z własnego pociągu.

Jedyną wadą tego planu było pozostawienie tych ludzi, szczególnie nieszczęśliwej panny młodej, w niezwykle niezręcznej sytuacji. Nie mógł jednak tego uniknąć, a pozostanie na miejscu jeszcze bardziej by wszystko skomplikowało, gdyż

musiałyby wytłumaczyć, kim jest, a to było praktycznie niemożliwe ze względu na tajne zadanie. Nie może ryzykować, póki nie dostarczy wiadomości we właściwe ręce. Później może się do wszystkiego przyznać i wynagrodzić krzywdy najlepiej, jak to możliwe.

Wszystko szło jak po maśle. Brat naturalnie upierał się, że to on pójdzie po walizkę, ale Gordon rzekł cicho z dobrze udawaną troską:

- Twoja siostra będzie chciała побыć z tobą przez chwilę sam na sam.

Oczy chłopca wyrażały czułość. Z uśmiechem odwrócił się w stronę przedziału, w którym matka i córka żegnały się bez słów. Gordon wyskoczył z pociągu i pobiegł wzdłuż peronu, czując się gorzej niż kiedykolwiek dotąd. Serce przygniatał mu dziwny ciężar. Na chwilę zapomniał, że powinien się strzec detektywów Holmana. Teraz, gdy poczuł się wolny, nawet jego zadanie wydawało się mniej istotne. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa i mimo wysiłku woli wciąż zwalniały tempo. Jego serce podpowiadało mu, by zostawił walizkę, wiadomość i wszystko inne własnemu losowi i wrócił do przedziału, w którym zostawił swoją przypadkową oblubienicę. Nie musiał do niej wracać, ale wiedział, że od tej chwili nie będzie już tym samym człowiekiem. Zawsze będzie się zastanawiał, gdzie ona w danej chwili przebywa i będzie żałował, że nie była naprawdę jego narzeczoną.

Wyszedł z budynku dworca, natykając się w drzwiach na przyglądającego mu się bacznie mężczyznę w smokingu. Wydał mu się podobny do jednego z gości Holmana, ale nie odważył się spojrzeć powtórnie, aby samemu nie zostać rozpoznany. Zastanawiał się, jaką drogę obrać i czy lepiej będzie od razu pójść do przechowalni, czy też przeczekać gdzieś, póki się nie upewni, że młody Jefferson przestał już go szukać. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś rękę i usłyszał miły głos:

- Tędy, George! Przechowalnia jest na prawo!

Odwrócił się i zobaczył zadyszanego, lecz uśmiechniętego Jeffersona.

- Widzisz, mama chciała porozmawiać z Celią w cztery oczy. Poczujęm się zbędny i pomyślałem, że lepiej pójdę z tobą  
- wyjaśnił, gdy tylko złapał oddech. - Tylko po co taki

pośpiech? Jeszcze dziesięć minut do odjazdu. Nie mogłem zmarnować całego tego czasu, przyglądając się swoim butom, kiedy mogę pobyc jeszcze chwilę ze swoim nowym szwagrem. Naprawdę macie zamiar zamieszkać na stałe w Chicago? Wolałbym, żebyście wrócili do Nowego Jorku. Mama będzie bardzo tęsknić za Celią. Nie wiem, jak to przetrzyma.

Wędrując beztrzesko u boku Gordona, Jeff tyle mówił, że najwyraźniej nie zauważył nagłego przerażenia, niepewności i ulgi, jakie kolejno odmalowały się na twarzy szwagra. Jakiś krępy mężczyzna przechodząc obok, uważnie się im przyjrzał, szczególnie wpatrując się w twarz Gordona, który był pewien, że widział go u Holmana. Nagle wszystkie inne sprawy odeszły na dalszy plan i pozostała jedynie wiadomość, którą musiał bezpiecznie dostarczyć do miejsca przeznaczenia. Odczuł, że tak naprawdę przez cały czas było to jego największą troską pomimo wszystkich przeszkód, ale jak dotąd okoliczności uniemożliwiały mu jakiegokolwiek działanie. Gdyby napadli go złodzieje czy inne łotry lub gdyby wtrącono go do więzienia, nie byłby w stanie temu zaradzić. Zdarzenia, które go zatrzymywały od wyjazdu do Nowego Jorku, wydawały się dziwne, ale nie zwiastowały klęski. Jak dotąd jedynym prawdziwym niepowodzeniem był ten niezwykle ślub.

Teraz jednak agent znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Mężczyzna, któremu wcześniej nie ośmielił się przyjrzeć, zawrócił i szedł równolegle do nich, co chwila spoglądając w ich stronę. Nie umknął mu najmniejszy ruch Gordona.

On i Jeff spędzili chwilę w przechowalni, gdyż pracownik musiał znaleźć walizkę na półce, i Gordon nabrał przekonania, że ów mężczyzna zatrzymał się o kilka kroków dalej tylko po to, żeby mu się dokładnie przyjrzeć.

Nie odważył się rozejrzeć ani poszukać prześladowcy wzrokiem, ale był pewien, że tamten idzie za nimi do pociągu. Czuł jego obecność tak wyraźnie, jak gdyby miał z tyłu drugą parę oczu.

Mimo wszystko Gordon był spokojny i skupiony. Doskonale wiedział, że odkryto... zdradę? kradzież? - jakkolwiek to nazwać - i że jest poszukiwany. Stawka jest tak wysoka, że ci

ludzie są gotowi na wszystko. Ale wiedział również, że jego charakterystyka i obecne towarzystwo zmyliły nieco pościg.

Tamten mężczyzna nie był zapewne jedynym obserwatorem na dworcu. Prawdopodobnie po kątach kryli się prywatni detektywi, czekając tylko na jakiś podejrzany ruch z jego strony.

Gordon sam się dziwił, że jest w stanie tak spokojnie iść, wymachując walizką. Uśmiechał się i gawędził ze swoim miłym towarzyszem, odpowiadał na jego pytania, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, i składał obietnice, których całym sercem pragnął dotrzymać, choć na razie nie widział ku temu możliwości.

Wsiedli do pociągu i odnaleźli właściwy wagon. Celia odwróciła się do okna, by ukryć płynące po twarzy łzy. Gordon podążył za nią wzrokiem i za podwójną szybą zauważył wpatrzony w siebie oczy mężczyzny, który śledził go na peronie.

Obawiając się rozpoznania, mimo obecności pań nie zdjął kapelusza, gdyż stanowił on dodatkową osłonę. Zarumienił się, myśląc, jak bardzo źle wychowany musiał się wydać. Aby pokryć zdenerwowanie, poprosił, żeby wolno mu było pomóc starszej pani wysiąść, gdyż zbliżał się czas odjazdu. Mógł przy okazji odegrać na oczach swego wroga rolę przykładowego zięcia.

Matka i Gordon na chwilę zatrzymali się w korytarzu, dając Jeffersonowi czas na pożegnanie się z siostrą i złagodzenie jej bólu spowodowanego rozstaniem z matką.

- On jest naprawdę w porządku, Celio - powiedział młodzieniec czule, kładąc dłoń na pochylonej głowie siostry.  
- Będzie dla ciebie bardzo dobry. Bardzo się o ciebie troszczy i wiele mi obiecał. Mówi, że niedługo przywiezie cię z powrotem do domu i że nigdy nie będzie ci przeszkadzał się z nami widywać. Naprawdę! Co ty na to? Czy nie spodziewałaś się czegoś przeciwnego? Poza tym nie sądzi, że spędzi resztę swoich dni w Chicago. Mówi, że w pewnych okolicznościach jest możliwa zmiana planów. Czy to nie wspaniałe?

Celia spróbowała spojrzeć na brata i uśmiechnąć się przez łzy. Mężczyzna na zewnątrz przez chwilę przyglądał się zaskoczony, po czym odszedł, aby nie stracić z oczu Gordona i starszej pani.

- Bądź dobry dla mojej dziewczynki - usłyszał Gordon błagalny głos matki. - Dotąd zawsze jej strzegłam. Będzie tęsknić za domem, choć ma teraz ciebie - odczuł te słowa jak pchnięcie nożem.

Czy jest możliwe wyjście z tej sytuacji bez okazania się łotrem? Ogarnęło go silne wzruszenie. Matka Celi wywarła na nim wrażenie tym większe, że nigdy nie znał swojej własnej rodzicielki i zawsze do niej tęsknił.

Mimo niebezpieczeństwa nie mógł żegnać tej wspaniałej damy z nakrytą głową. Podniósł rękę i lekko unióś kapelusz, starając się osłonić jak największą część twarzy przed wzrokiem mężczyzny, który wciąż przechadzał się tam i z powrotem wzdłuż peronu, często podchodząc na tyle blisko, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają. Pełen nabożnego szacunku Gordon powiedział, jak gdyby wygłaszał rotę przysięgi:

- Będę jej strzegł, jak gdyby była... jak gdybym był... tak jak ty - zamilkł na chwilę, po czym czule i uroczyście zarazem dodał: - ...mamo!

Przeszło mu przez myśl, że wypowiedanie przed matką takich obietnic, kiedy nie jest w stanie ich dotrzymać, jest świętokradztwem. „Oszust!” - zabrzmiało w jego uszach. Ale to serce podyktowało mu tę obietnicę, gdy intelekt i rozsądek były zajęte ocenianiem niebezpiecznej sytuacji. Nie mógł zaprzeczyć własnemu sercu, gdyż czuł, że będzie się ze wszystkich sił troszczył o powierzoną jego opiece dziewczynę, przynajmniej póki nie wymyśli, jak zwrócić ją rodzinie i przyjaciółom.

Zabrzmiał gwizdek dyżurnego ruchu i okrzyk „Proszę wsiadać!”.

Gordon pomógł drobnej starszej pani zejść ze stopni wagonu, a ona odwróciła się, żeby go pocałować. Nachylił się i przyjął pieszczotę, pierwszą, jaką mu ofiarowano od wczesnego dzieciństwa.

- Nie pozwolę jej skrzywdzić, mamó - wyszeptał i w odpowiedzi usłyszał:

- Ufam ci, mój chłopcze.

Pozostawiwszy matkę pod opieką Jeffa, wskoczył do wagonu, gdy koła już zaczynały się poruszać, po czym pobiegł do

przedziału. Wciąż widział idącego wzdłuż pociągu mężczyznę. Znalazłszy płaczącą dziewczynę, Gordon nachylił się nad nią czule, dotknął jej ramienia i zaciągnął żaluzję w oknie. Ostatnią twarzą, jaką widział na peronie, była twarz zaskoczonego mężczyzny, który odwrócił się gwałtownie. Ale po co? Czy miał zamiar zawiadomić policję lub detektywów o rozpoznaniu agenta? Czy była jeszcze jakaś stacja na terenie miasta, gdzie mogliby wsiąść i schwycić uciekającego? Jeżeli tak, to trzeba się przygotować na skok z pociągu i ratowanie własnego życia. Nie było innego wyjścia, jak zapłacić bagażowemu za dogłądanie jego towarzyski i zostawić ją tutaj, choć wydaje się to haniebne! Honor podpowiedział Gordonowi, że nigdy na to nie pozwoli, niezależnie od sytuacji.

Nagle okoliczności znowu się zmieniły. Panna młoda, która wciąż stała tak, jak zostawił ją brat, z pochyłą głową i chusteczką przy oczach, zachwiała się i upadła, bezwładna i blada. Natychmiast rzucił się na pomoc, zapominając o mężczyźnie na peronie i następnym przystanku, wyjaśnieniach, jakie jest winien dziewczynie, a nawet o swoim zadaniu i fakcie, że pociąg jedzie do Chicago, a nie do Waszyngtonu. Zapomniał o wszystkim prócz tego, że najpiękniejsza i najsmutniejsza ze znanych mu dziewcząt leży bez życia.

Tymczasem na peronie wiadomy mężczyzna odwrócił się znowu i biegł teraz jak szalony, próbując zajrzeć w okno Gordona. Mniej więcej dziesięć metrów za nim pojawił się jakiś człowiek w angielskim ubraniu, z bujnym wąsem, małą bródką i krzaczastymi brwiami zdobiącymi zmysłową twarz. Poruszał się najszybciej, jak to było możliwe przy jego tuszy.

Gordon nie widział już żadnego z nich.

Liść godzin wcześniej mężczyzna, który tak szaleńczo rzucał się w pogoń za odjeżdżającym pociągiem, jechał spokojnie przez miasto z nabrzeża White Star Linę do mieszkania spotkanego za granicą znajomego, który udostępnił mu je na czas swojej nieobecności w Nowym Jorku. Mieściło się ono na czwartym piętrze luksusowego budynku. Powracający wygnaniec z zadowoleniem przyglądał się ekskluzywnej dzielnicy. Bez pośpiechu wysiadł z taksówki, zapłacił i wszedł do budynku, podając gospodarzowi list polecający.

Najpierw otworzył okrętowy kufer i wyjął z niego ślubny garnitur. Troskliwie powiesił go na składanym wieszaku w szafie, zupełnie pustej, jeżeli nie liczyć kilku pudełek na górnej półce.

Potem pospieszył do telefonu i zadzwonił do swojego świadka, Jeffersona Hathawaya. Wy tłumaczył mu, że statek przybył z opóźnieniem, ale że wreszcie jest na miejscu, dał mu kilka wskazówek dotyczących spraw, o których załatwienie prosił wcześniej, i zgodził się przyjechać do kościoła na pół godziny przed rozpoczęciem ceremonii, żeby zobaczyć, co przygotowano. Dowiedział się, że narzeczona jest bardzo zmęczona i odpoczywa, więc stwierdził, że nie ma powodu jej przeszkadzać. Po wszystkim będą mieli dość czasu na rozmowy, zresztą nie miał jej nic więcej do powiedzenia ponad to, co pisał w listach, a teraz będzie musiał się spieszyć, żeby w ogóle zdążyć na czas. Zapytał, czy Jefferson odebrał zamówione obrączki i czy przysłał po niego powóz, po czym bez dodatkowych uprzej-



mości uciał rozmowę. Nieszczególnie się lubili, choć Jefferson był ukochanym bratem jego przyszłej żony.

Odłożył słuchawkę i zadzwonił po brandy z wodą sodową, żeby wziąć się w garść przed ceremonią, która miała go na zawsze związać z upragnioną od dawna kobietą. Od lat pragnął ją pojąć. Może i mógłby ją kochać, gdyby nie pogarda, którą mu zawsze okazywała. Nareszcie znalazł sposób, aby nagiąć ją do swej woli i wraz z okazałym majątkiem uznać za swoją własność. Przygotowując się do wyjścia, czuł radość i dumę zdobywcy.

Szybko skończył toaletę z uśmiechem satysfakcji na nalannej twarzy. Był samolubny z natury i doskonale wiedział, jak sprawić, żeby inni zajmowali się za niego kłopotliwymi detalami, podczas gdy on w tym czasie doskonale się bawił. Rozluźniony i pewny siebie przejrzał się w lustrze, żeby przyglądnąć wąsy, i stwierdził, że wygląda świetnie. Potem podszedł do szafy po smoking.

To, co się stało, było nadzwyczaj dziwne. W jakiś sposób, kiedy postawił nogę we wnętrzu głębokiej szafy, żeby sięgnąć po smoking, który wisiał tuż przy tylnej ścianie, rozcięcie przy mankietach koszuli zahaczyło o gałkę u drzwi. Złota spinka wysunęła się z dziurki i rękaw natychmiast był wolny, ale gniewny ruch ramieniem (niecierpliwość była główną cechą charakteru George'a Hayne'a) spowodował, że drzwi szafy zaczęły się bezszelestnie zamykać. Ledwie zdążył położyć dłoń na swoim ślubnym ubraniu, gdy cichy odgłos zatraskującego się zamka i zupełna ciemność dokoła dały mu do zrozumienia, że tym razem przez swoją niecierpliwość wpakował się w pułapkę. Wyciągnął rękę i pchnął drzwi, ale zamek zatrzasnął się na dobre. Był to mocny, choć mały zameczek i jak dotąd dobrze się sprawował.

George był uwięziony. Na początku zdenerwował się tylko i raz czy dwa kopnął w drzwi, jakby spodziewając się, że tak potraktowane potulnie ustąpią. Potem przypomniał sobie o wypolerowanych ślubnych butach i pomyślał, że nie może niszczyć czubków. Spróbował znaleźć jakiś uchwyt i poruszyć drzwi, ale jedyna gałka była zamontowana na zewnątrz, a trudno jest poruszyć gładką pionową powierzchnię. Oparł się więc

o drzwi grubym, ale miękkim ramieniem i napaął na nie całą siłą, gniotąc sobie przy tym koszulę i o mało nie gubiąc kołnierzyka. Szafa była jak sarkofag, masywna jak jej więzień, ale wcale nie miękka. Drzewo, z którego została zrobiona, rosło na świeżym powietrzu, w promieniach słońca, obmywane rosą i hartowane północnym wiatrem. Niczym było dla niego oparcie się temu sflaczałemu ciału znajdującemu jedynie hulanki i wygody miejskiego życia. Drzwi trzymały się świetnie, a gdyby miały twarz, śmiałyby się pewnie do rozpuku w stronę pustego pokoju. Kto wie, czy i pokój nie dzieliłby tej uciechy? Byłoby całkiem naturalne, gdyby pokój nie był zadowolony z nowego gościa podczas nieobecności ukochanego właściciela.

George był więc bezpieczny jak w sejfie. Miał mnóstwo czasu na rozmyślanie w ciszy i ciemności. A było nad czym rozmyślać. Choć w jego życiu wiele rzeczy się już wydarzyło, nigdy jeszcze go tak nie złapano.

Po jakimś czasie, straciwszy oddech i siły na bezskuteczne pchanie i wyczerpawszy cały swój zasób przekleństw, George ... zaryczał. Nie da się opisać innym słowem dźwięku, jaki się wydobył z jego potężnego gardła, ale w zgiełku miasta nikt nie zwrócił nań uwagi.

Poświęcił swoje błyszczące buty i dla wzmocnienia efektu dodał jeszcze kilka kopniaków. Ryczał teraz jak ranny byk, ale wciąż otaczała go ta sama głęboka, monotonna cisza. Spróbował cofnąć się jak najgłębiej i rzucić na drzwi z rozbiegu, ale z wysiłku jedynie rozbolały go mięśnie. W końcu usiadł na dnie szafy.

Tydzień wcześniej żona gospodarza domu, zajmującego małe i cokolwiek zatłoczone mieszkanie, pozwoliła sobie użyć pustej szafy, żeby powiesić swoją niedzielną suknię. Cały przód był pokryty tłustymi plamami posypanymi grubo talkiem. Talk zrobił swoje, usuwając plamy, po czym opadł na dno szafy, o czym uwięziony narzeczony naturalnie nie wiedział, siadając zmęczony tak nadzwyczajnym wysiłkiem.

Przemyślał raz jeszcze swoje położenie. Nie może stracić na wydostanie się stąd więcej niż dziesięć minut. Już powinien ruszać do kościoła. Nie wiadomo, co może wpaść Celi do

głowy, jeżeli on się spóźni. Znali się od dzieciństwa i już wtedy nim gardziła. Więzy, jakie teraz na nią założył, przypominały bicz ukręcony z piasku, ale o tym wiedział tylko on sam. Gdyby tylko udało mu się wyłamać te drzwi! Gdyby nie włożył smokingu do szafy! Gdyby właściciel domu nie zamontował w tym meblu takiego głupiego zamka! Rozprawi się z nim, kiedy już stąd wyjdzie! Gdyby tylko miał trochę więcej miejsca i powietrza! Powietrza! Po czole spływały mu wielkie krople potu, a przemoczony kołnierzyk zmienił się w mokrą obrożę. George zastanawiał się, czy zabrał ze sobą drugi kołnierzyk tego typu. Gdyby mógł się wydostać z tej przeklętej szafy! Gdzie się wszyscy podziali? Dlaczego tu tak cicho? Czy nikt nie przyjdzie, żeby go wypuścić?

Przypomniał sobie, że powiedział gospodarzowi, iż jego bagaż zostanie tu przez jakieś dwa czy trzy tygodnie, ale on sam wyjeżdża w podróż już dzisiejszego wieczora. Gospodarz na pewno się nie zdziwi, jeśli go już dzisiaj nie zobaczy. Jak to będzie umrzeć tutaj? Co za upiorna myśl!

Zerwał się i znowu zaczął krzyczeć, ale wkrótce zrezygnował i usiadł. Pojawiła się przed jego oczyma panorama całego życia. Nareszcie miał w zasięgu ręki tak potężną fortunę i teraz może jeszcze stracić ten majątek przez jakiś idiotyczny zamek u szafy. Sztuczki i oszustwa, dzięki którym osaczył dziedziczkę fortuny, nie martwiły go tak bardzo, jak myśl o jej utracie, a przynajmniej o utracie majątku. Musi go mieć, żeby spłacić długi i... - ale dalej nie chciał nawet myśleć i wstał, aby znów zaatakować drzwi swojego więzienia.

Przesiedział tam cztery godziny w zupełnej ciemności. Jedyne wążutka szparka na samym dole z nadejściem nocy coraz bardziej się rozjaśniała. Zaczynając się ubierać, zapalił lampę gazową, gdyż w pokoju już wtedy było dość ciemno. Teraz wydawało mu się, że ta smużka migoczącego światła jest jedyną rzeczą ratującą go przed utratą zmysłów.

Gdzieś spośród cieni wypełzła twarz, wynędzniała, zdesperowana twarz wpatrująca się w niego przenikliwymi oczyma. Przypomniała mu o występku, o którym od dawna starał się zapomnieć. Skulił się z przerażenia i poczuł na czole zimny pot, gdyż były to oczy człowieka, którego podpis sfałszował

piętnaście lat temu na dokumencie dotyczącym funduszu powierniczego. Cichego, uprzejmego, niczego nie podejrzewającego mężczyznę wtrącono do więzienia, gdzie w jakiś czas później zmarł.

Przez pierwsze lata po tym przestępstwie czasami jego twarz straszyla George'a po nocach. Pojawiała się zwykle wtedy, gdy planował jakieś szczególnie nieczyste sposoby powiększenia swych dochodów, dopóki nie postanowił zacząć wszystkiego od nowa i rzeczywiście zarzucił jeden czy dwa plany jako zbyt niegodziwe. W ten sposób uzyskał poprawiające nastrój poczucie bycia cnotliwym. Od dawna już nie ukazywała mu się ta twarz. Wmówił sobie, że fałszerstwo było tylko głupstwem popełnionym w młodości, czego należy żałować, nie obwiniając się niepotrzebnie. W ten sposób nie tylko sobie wybaczył, ale i uznał, że większą winą jest niedawanie mu przez resztę świata tego, czego chciał, niż wtrącenie do więzienia jakiegoś tam starszka. Nie wiedział, że tamten umarł ze wstydu; nawet nie byłby w stanie tego zrozumieć. Jedyne, co do niego przemawiało, to sama kara. Zawsze uczono go za pomocą różgi i jedynie jej widok był w stanie zmusić go do posłuszeństwa.

Teraz jednak, mimo ciemności, twarz wydawała się bardzo bliska i wyraźna. Wnętrze szafy było jak cela - puste, ciemne i zimne. Tamte oczy zdawały się kłuć go wzrokiem. „Skazałeś mnie na takie właśnie cierpienie. Teraz twoja kolej. **TERAZ TWOJA KOLEJ!**” Wpatrywały się coraz bardziej uporczywie w jego źrenice, dosięgając głębiny duszy, małej, grzesznej duszyczki, i nagle wycofały się przerażone małostką i brzydotą tego, co zobaczyły.

Po raz pierwszy w swoim samolubnym życiu George Hayne poczuł wstyd, gdyż te oczy - czyste i mimo niezasłużonego cierpienia niemal zadowolone - przypomniały mu wszystko, co zobaczyły na dnie jego oczu.

Powietrze robiło się coraz gęstsze. Rosły też wściekłość, przerażenie i wstyd więźnia.

Wyjrzały z cienia i inne pary oczu, które nigdy go dotychczas nie straszyla, oczy ofiar, którym nie poświęcił ani minuty zastanowienia. Oczy kobiet i mężczyzn, których w niezwykle

wyrafinowany sposób pozbawił majątku, niewinnych dziewcząt, których kosztem mógł żyć wygodnie, a nawet wielkie, pełne wyrzutu oczy dzieci, które na próżno szukały u niego współczucia. Jako ostatnie zobaczył oczy swojej ślicznej narzeczonej.

Zawsze kochał Celię Hathaway, bardziej niż był w stanie kochać kogokolwiek czy cokolwiek innego prócz samego siebie, i niezwykle przeszkadzało mu to, że w żaden sposób nie mógł zmusić jej do posłuszeństwa. Nawet tortury nie rzuciłyby jej na kolana. Przez lata doświadczając jej pogardy, znajdował coraz gorsze metody, aż wreszcie zastosował powolne tortury psychiczne, aby złamać wreszcie dumę tej dziewczyny i zapanować nad nią i jej majątkiem. Siła, z jaką wytrzymywała cierpienie aż do momentu ostatecznego poddania, zmieniła jego skrzywioną miłość w nienawiść połączoną z pragnieniem zemsty.

Teraz zobaczył, jak jej płonące pogardą oczy kpią z jego porażki na minutę przed spodziewanym triumfem.

Bez wątpienia to brandy uderzyła mu do głowy. Czyżby tracił zmysły, nie mogąc się uwolnić od wszystkich tych strasznych oczu?

Był już pewien, że umiera, gdy wreszcie gospodarz wszedł na czwarte piętro. Zauważył światło bijące przez szybkę w drzwiach do mieszkania zajmowanego przez obcego, który miał niemal natychmiast wyjechać, i zająrzył, żeby zorientować się, czy wszystko w porządku.

Oczy zniknęły. Więzień w szafie nie tracił czasu. Głośno dawał znać o swojej obecności i gospodarz ostrożnie i rozważnie najpierw wypytał go o przyczynę tego zamieszania, a potem wypuścił. George obiecał mu nagrodę, ale nigdy nie dotrzymał słowa.

Nareszcie wolny, jak szalony pobiegł do telefonu i zamówił rozmowę, wrzeszcząc przy tym na opieszająco jego zdaniem telefonistkę. Gdy w końcu uzyskał połączenie z domem narzeczonej, dowiedział się jedynie, że ani pani Hathaway, ani jej syna nie ma w domu.

- Czy są w kościele?

- Nie - odrzekł służący - z kościoła już dawno wrócili.

W domu jest wesele i mnóstwo gości. Taki tu hałas, że nic nie można usłyszeć. Proszę mówić głośniej.

George wrzeszczał na służącego, żądając odpowiedzi na nieistotne pytania, ale im głośniej krzyczał, tym mniej rozumiał jego rozmówca. W końcu rzucił słuchawkę i jak szalencie zaczął biegać po pokoju, zrywając wilgotny kołnierzyk, wyjmując inny, zakładając pospiesznie smoking, bezowocnie poszukując spinek do mankietów. Złapał w przelocie płaszcz i kapelusz i zbiegł ze schodów tak szybko, że aż zabrakło mu oddechu. Minął gospodarza, ignorując jego żądania nagrody obiecanej za uwolnienie.

Na ulicy przebiegł kilkakrotnie tam i z powrotem, szukając jakiegoś pojazdu. Znalazł w końcu taksówkę i kazał się zawieźć prosto do domu Hathawayów.

Dotarłszy na miejsce, George w pokrytych talkiem spodniach, przypominającym harmonijkę w cylindrze i kołnierzyku, który odpiął się i zachodził mu aż na tłusty policzek, zrobił z siebie dodatkowe przedstawienie dla rozbawionych gości. Mówił tak szybko i tak głośno, że wzięto go za szaleńca i próbowano wyprowadzić, ale on pogroził lokajowi pięścią i zażądał informacji, gdzie jest panna Hathaway. Gdy dowiedział się, że wyszła za mąż i pojechała w podróż poślubną, posiniał z wściekłości i oświadczył, że to niemożliwe, gdyż to on jest jej narzeczonym.

Wszyscy goście zebrali się już w grupki w sali i na schodach, przysłuchując się z ciekawością, a kiedy George przedstawił się jako narzeczony, wybuchnęli śmiechem, myśląc, że albo jest to jakiś kawał, albo ten mężczyzna naprawdę oszalał. W końcu pewien starszy pan, przyjaciel rodziny, podszedł do rozsierzonego gościa i rzekł uspokajającym tonem:

- Chyba zaszła jakaś pomyłka, przyjacielu! Panna Hathaway dzisiejszego wieczora poślubiła pana George'a Hayne'a, który właśnie wrócił z zagranicy, i w tej chwili są w drodze na stację kolejową. Przyszedł pan zbyt późno, żeby się z nią zobaczyć, lub może trafił pan pod zły adres i szuka innej panny Hathaway. To się czasem zdarza.

George w bezradnej wściekłości raz jeszcze spojrzął na zebranych, po czym rzucił się do taksówki i pognął na dworzec.

Udało mu się tam dostać na pół minuty przed odjazdem pociągu do Chicago, a nikt nie znał rozkładu jazdy lepiej niż on. Czyż nie wydał przyszłemu szwagrowi jak najdokładniej-

szych dyspozycji? Zresztą co to wszystko ma znaczyć? Czy Celia w jakiś sposób zdołała przeprowadzić ceremonię bez niego, aby ukryć upokorzenie wywołane jego spóźnieniem? A może uciekła? Był zbyt zdenerwowany, żeby logicznie myśleć. Jedyne, na co mógł się zdobyć, to ciężki galop w stronę uciekającego pociągu. Wpadł na peron z rozwianymi połamami i naciśniętym na czoło cylindrem, o mało nie gubiąc po drodze płaszcz i nie łamiąc sobie nóg. Minął Jeffersona i jego matkę, która, wpatrzona pełnymi łez oczyma w tył pociągu, zdawała się nie zauważać niczego dookoła i powiedziała tylko:

- Myślę, że będzie dla niej dobry. Prawda, Jeff? Ma miłe oczy. Dawniej nie wydawały mi się tak ładne i... pełne szacunku - po czym oboje skierowali się do samochodu. Rozpędzający się coraz bardziej pociąg opuszczał już stację. Za chwilę zniknie w mroku, pozostawiając dwóch goniących go mężczyzn w zupełnym oszołomieniu.

Obaj w tej samej chwili zdali sobie sprawę z sytuacji i krępy gość Holmana z nagłą determinacją zdołał uchwycić się barierki. Na pół z triumfem, na pół z przerażeniem wdrapał się jakoś na platformę ostatniego wagonu. Zobaczył za sobą drugiego mężczyznę, który bezskutecznie próbował dokonać tego samego, po czym padł na peron ku uciechu zebranych kolejarzy.

George Hayne, doszedłszy w ten sposób do nagłego przystanku na drodze do kariery, leżał przez chwilę jak długi. Był wstrząśnięty i oszołomiony. Potem podniósł się powoli i jeszcze przez chwilę stał na peronie, gapiąc się za pociągiem. Co mógłby zrobić, gdyby nawet zdołał wsiąść? Przecież to, że Celia wyszła za męża i udała się w podróż poślubną bez niego, jest zupełnie nieprawdopodobne. A jeżeli uciekła z kimś innym i byli tam oboje, co byliby w stanie zrobić? Zabić tamtego i zmusić Celię do powrotu i do ślubu? Cóż, to dość niezręczna sytuacja, a miał już kilka podobnych w swojej karierze. Trudno uwierzyć, że Celia jest już mężatką. Ci goście musieli zostać jakoś wprowadzeni w błąd, a ona na pewno uciekła, być może z matką i bratem. Pogróżki, które zmusiły ją do posłuchu, powinny jej towarzyszyć wszędzie, gdziekolwiek się uda. I tak w końcu wyjdzie za niego i drogo zapłaci za tę ucieczkę.

Pogroził pięścią pociagowi, który niknął już w ciemnym tunelu ozdobionym łukiem świateł jak festonem z czerwonych jagód, a tylne reflektory blakły, aby w końcu zniknąć jak sen.

George odwrócił się i powlókł do wyjścia, nie zważając na wesołość, jaką jego wygląd budził wśród kolejarzy. Był posiniaczony i zupełnie wyzbył się godności. Żaden z gości weselnych, który by go teraz zobaczył, nie zauważyłby w nim najmniejszego podobieństwa do przystojniaka, który tego wieczora odegrał jego rolę. Nikomu nie przyszyłoby nawet do głowy, że ten obdarty i rozczochrany facet mógłby być narzeczonym Celi Hathaway. Rzadkie włosy opadły mu na czoło, ubranie było pokryte talkiem i kurzem, płaszcz ciągnął się po ziemi.

Niedoszły pan młody właśnie próbował zdecydować, co robić dalej, gdy poczuł na ramieniu czyjąś rękę i usłyszał głos o znajomym brzmieniu.

- Pójdzie pan ze mną.

Podniósł wzrok i zobaczył oczy, które prześladowały go od lat, tym razem ubrane w ciało. Wydawały się młodsze i więcej w nich było wyrzutu. Pały wręcz żądzą ukarania go. Równie wyraźnie jak zaledwie przed godziną tamte oczy w szafie mówiły: „Twój czas się skończył. Nadeszła moja godzina. Zgrzeszyłeś i będziesz cierpieć. Zaraz dostaniesz, na co zasłużyłeś”.

Drgnął z przerażenia. Ręce mu się trzęsły, a w głowie szumiało. Napiłby się czegoś mocniejszego, żeby jakoś stawić czoła tej okropnej sytuacji. Coś musi być nie w porządku z jego nerwami, skoro nie tylko widzi te oczy na jawie, ale jeszcze słyszy głos, głos tamtego staruszka, nakazujący mu iść za sobą. Naturalnie to niemożliwe. To efekt jego ostatnich przeżyć. Ten człowiek musiał go z kimś pomylić - a może to wcale nie jest żywy człowiek. Rozejrzał się szybko dokoła, żeby stwierdzić, czy inni też go widzą, i uświadomił sobie, że zbiera się wokół nich tłum gapiów.

Mężczyzna o dziwnych oczach i znajomym głosie zdawał się pewien swego istnienia na jawie i prawa do stawiania warunków. George Hayne nie mógł strząsnąć jego dłoni z ramienia. Ten zdecydowany uścisk napełnił go jeszcze większym przerażeniem. Omal nie krzyknął, zakrywając oczy. Może to



*delirium tremens*! Ta brandy musiała być niezwykle mocna, skoro działała tak długo. W końcu spróbował się odezwać, ale w jego cichym głosie wyraźnie brzmiał strach. Tamte oczy odebrały mu całą pewność siebie.

- Kim pan jest? - zapytał, chcąc dodać: „i jakim prawem mnie pan zatrzymuje?“, ale słowa uwięzły mu w gardle, gdyż mężczyzna rozchylił płaszcz, ukazując błyszczącą złowieszczyzm blaskiem odznakę.

- Nazywam się Norman Brand - odrzekł - i poszukuję cię za to, co zrobiłeś memu ojcu. Już czas, żebyś za to zapłacił. Byłeś przyczyną jego hańby i śmierci. Śledziłem cię od lat. Teraz zobaczyłem w gazecie zawiadomienie o twoim ślubie i przyszedłem na spotkanie. Po to właśnie wstąpiłem do policji. Proszę pójść za mną.

George z krzykiem wyrwał się z jego rąk i rzucił do ucieczki, ale natychmiast dostrzegł wycelowane w siebie rewolwery i zobaczył z tyłu dwóch umundurowanych policjantów oraz rosnący tłum gapiów. W którąkolwiek stronę by się zwrócił, widział wycelowane w siebie lufy. Nie było mowy o ucieczce.

George Hayne został odprowadzony do policyjnego furgonu, gdzie w miejsce nieskazitelnych mankietów, których tak gorączkowo szukał, założono mu żelazne „bransoletki”. Wtrącono go do celi, gdzie jego jedynym towarzystwem były oczy pewnego staruszka. Doprowadzało to George'a do szału. Dręczyło go pragnienie i błagał o brandy z wodą sodową, ale nikt nie przyszedł mu z pomocą. Teraz był już w rękach sprawiedliwości.

# 7.

**W tym samym czasie mężczyzna na platformie ostatniego wagonu pociągu do Chicago zastanawiał się, czy powinien być do niego wsiąść. Uświadomił sobie, że zrobił to właściwie pod wpływem tęgiego jegomościa, który usiłował dokonać tego samego. Może poszedł fałszywym tropem i straci nagrodę za dostarczenie swemu pracodawcy złodzieja szyfru, żywego lub umarłego. Już prawie zdecydował się wyskoczyć, zanim będzie za późno, ale rozglądając się dokoła zauważył, że pędzą teraz jednym z wielu torów i co chwila mijają ich inne pociągi. Gdy już przejadą, szybkość będzie zbyt duża, żeby skakać. Przy jego posturze nawet teraz byłoby to ryzykowne. Jeżeli chce skakać, musi to zrobić natychmiast.**

Z wahaniem spojrzął w przód, żeby sprawdzić, czy sąsiedni tor jest wolny, i zobaczył nadjeżdżającą lokomotywę. Jeszcze moment i minęła go, oblewając gorącym oddechem. Wycofał się z drżeniem. To nie ma sensu. Nie da się teraz wyskoczyć. Może pociąg zwolni albo się zatrzyma. Poza tym może jednak powinien zostać.

Usiadł na schodkach, żeby lepiej się rozeznać w sytuacji. Może za minutę droga się oczyści, jeżeli rzeczywiście zdecyduje się na skok. Zawahał się, choć niemożność podjęcia decyzji zdarzała mu się bardzo rzadko.

Coś mu się tu wydawało podejrzane, ale może poszedł fałszywym tropem. Pierwszy dobiegł do drzwi po tym, jak Holman odwrócił papier i zauważył brak czerwonego znaku. W tej samej chwili usłyszał szcęk klamki; Jemu udało się

najszybciej przebiec odległość z jadalni do drzwi. Może przysięg, że widział, jak tamten wsiadał do powozu, który stał niemal naprzeciwko domu. Nie tracąc ani chwili, wsiadł do swojego samochodu, który stał w pogotowiu, dając też sygnał policjantowi na motocyklu. Gdy ruszali, powóz niknął za rogiem, a w okolicy nie było jemu podobnego. Nie tracił go z oczu. To musiał być ten właściwy. Ale kiedy tamten facet wysiadł pod kościołem, wyglądał zdecydowanie inaczej. Detektyw dwukrotnie sprawdzał, czy poszukiwany nie ukrywa się w środku, ale powóz był pusty. Potem wszedł do kościoła i zobaczył, jak tamten bierze ślub. Stał w pobliżu, kiedy wsiadł wraz z żoną do wielkiej limuzyny. Pojechał za nimi aż do domu, w którym odbywało się wesele, a potem wmieszał się w tłum gości i obserwował nowożeńców, póki nie odjechali na stację. Czekał na nich w cieniu alei, jako jedyny z gości widząc, w jaki sposób opuścili dom, i towarzyszył im na dworzec.

Na stacji podszedł do pana młodego dość blisko, aby się upewnić, że jego wąsy i brwi są fałszywe, a jednak nie umiał znaleźć w tym wszystkim logiki. Jak to możliwe, żeby mężczyzna, który ma zamiar wziąć ślub w pełnym eleganckich gości kościele, podejmował ryzyko, przyjmując zaproszenie na kolację, która mogła się ciągnąć godzinami? Co by się stało, gdyby nie zdążył na czas? Czy istnieją sobowtóry?

Krępy detektyw miał pełne zaufanie do swojej intuicji, która tym razem nakazywała mu obserwować tego szczególnego pana młodego, ale... ale może w tym czasie daje okazję do ucieczki właściwemu mężczyźnie. Jednakże zabrnął już tak daleko i tyle ryzykował, skacząc do odjeżdżającego pociągu, że może warto dla całkowitej pewności zostać jeszcze jakiś czas. Spróbuje znaleźć miejsce, z którego da się go obserwować i w ciągu godziny powinien się zorientować, czy to rzeczywiście złodziej zaszyfrowanej wiadomości. Jeżeli przez ten czas uda mu się uniknąć spotkania z konduktorem, powie mu potem, że pomylił pociągi i jeżeli okaże się, że śledzi niewłaściwego człowieka, poprosi o wysadzenie na najbliższej stacji. Na razie zostanie w pociągu, tym bardziej że w tej chwili nie można się z niego wydostać bez ryzyka.

Podjąwszy decyzję, spojrzął po raz ostatni na oddalające się, migoczące światła miasta i powoli wszedł do wagonu. Miał dość pieniędzy na bilety, dopłaty i łapówki. Wiedział, dokąd w razie potrzeby wysłać telegram i był pewien, że policjant na motocyklu zawiadomił jego pracodawcę, iż wsiadł do tego pociągu. Zresztą na razie nie miał powodu do zmartwienia. Tropił grubego zwierza, a w takiej sytuacji trzeba się liczyć z wszelkimi ewentualnościami. Idąc za swoją intuicją, wszedł do sypialnego.

Gordon nigdy dotąd nie trzymał w ramionach istoty równie słodkiej, pięknej i delikatnej jak ta dziewczyna. Pragnął przytulić ją do siebie i własnym ciałem ochronić przed wszystkimi problemami.

Ale przecież nie była jego - powierzono ją jedynie jego opiece i powinien strzec jej równie gorliwie, jak wiadomości, którą nosił ukrytą pod koszulą. Dziewczyna należała do innego i musiał nad nią czuwać, póki nie nadarzy się okazja powrotu do prawowitego narzeczonego. Jak dotąd Gordon nie miał czasu pomyśleć, co to wszystko mogło oznaczać dla niego samego, kobiety w jego ramionach i tego, którego miała poślubić. Czuł się, jak gdyby oglądał film, w którym nagle pojawia się cała masa nowych, poplątanych ze sobą okoliczności; tak, jakby ktoś spadał z kolejnych pięter wieżowca, pociągając za sobą meble i współmieszkańców.

Delikatnie położył dziewczynę na łóżku w saloniku i otworzył drzwi do garderoby. Powinna tam być zimna woda.

Niewiele wiedział o chorobach - on sam nigdy nie chorował - ale zwykle omdlałych cucono zimną wodą, to pewne. Nie będzie prosił o pomoc, póki nie stanie się niezbędną. Zatrzasnął drzwi salonu i poszedł po wodę. Przechodząc koło lustra, wystraszył się własnego odbicia. Jedna z brwi odkleiła się i zwiślała luźno nad okiem, a bródka była przekrzywiona. Czy przez cały czas tak wyglądał? Zerwał obie brwi, ale broda i wąsy trzymały się lepiej i pozbycie się ich kosztowałoby go wiele bólu. Nagle przypomniał sobie o Celii. Co za idiota z niego, żeby zajmować się swoim wyglądem, kiedy ona być może umiera. Nie zważając na ból, zerwał fałszywy zarost, wcisnął rekwizyty do kieszeni, napełnił szklanekę wodą i pobiegł z po-

wrotem. Podbródek i górna warga piekły, ale nie zwracał na to uwagi. Nie wiedział też, że na całej twarzy nosi ślady kleju. Wiedział jedynie, że Celia leży przed nim bez życia i że on musi jej to życie przywrócić. Przedziwne i cudowne zarazem było to, jak szybko wyrosło w nim uczucie do dziewczyny, którą po raz pierwszy zobaczył przed trzema godzinami.

Przyłożył szklanekę do bladych warg Celi i próbował nakłonić ją do picia, po czym umoczył swoją chusteczkę i niezgrabnie obmył czoło zemdlonej. Kilka spinek wysunęło się z jej włosów i cała ich złotobrazowa lawina opadła na jego kolana, gdy tak klęczał u jej boku. Drobna ręka zsunęła się z łóżka i dotknęła jego dłoni. Zadrżał, tak wydała się miękka, zimna i martwa.

Winił siebie za to, że nie zabrał żadnych lekarstw. Dlaczego nigdy o tym nie pomyślał - chociażby o czymś na wzmocnienie? Nawet jeżeli on by z nich nie korzystał, mogłyby się przydać komuś innemu. Nikt nie powinien podróżować bez środków pierwszej pomocy.

Z czułością podłożył ramię pod głowę Celi i spróbował unieść ją na tyle, aby mogła pić, ale blade usta wcale się nie poruszyły.

Ogarnęła go panika. A jeżeli ona naprawdę umiera? Dopiero później, gdy miał trochę spokoju i czasu na zastanowienie się, dotarło do niego, jak wielką odpowiedzialność wziął na siebie, pozwalając rodzinie pozostawić ją z nim. Co by zrobił, gdyby naprawdę umarła? W tej chwili odczuwał strach przed jej utratą i chęć ratowania dziewczyny, choć trzeba ją było oddać innemu.

Zapominając o tym, że nie powinien rzucać się w oczy, ułożył ją z powrotem na łóżku i wybiegł z salonki na korytarz wagonu sypialnego. Właśnie natrafił na konduktora i rzucił się w jego kierunku.

- Czy jest tu jakiś lekarz albo przynajmniej apteczka? Pewna pani... - zawahał się i nagle zarumienił - to znaczy moja żona - to słowo z trudem przeszło mu przez gardło, ale uświadomił sobie, że jest to jedyny sposób na zachowanie jej dobrego imienia. Czuł się jak kłamca albo złodziej, ale z formalnego punktu widzenia byli małżeństwem i musiał to przyznać ze względu na nią.

- Moja żona - zaczął od początku - jest chora. Straciła przytomność.

Konduktor przyjrzał mu się wnikliwie. Kiedy zjawili się na peronie, wydali mu się parą nowożeńców. Rumieniec na twarzy mężczyzny potwierdził to przypuszczenie.

- Rozumiem! - rzucił. - Proszę do niej wrócić, zaraz kogoś przyśle.

Właśnie gdy Gordon się odwrócił, w drugim końcu korytarza pojawił się jego krępy znajomy. Spotkali się twarzą w twarz, ale Gordon był zbyt roztrzęsiony, żeby to zauważyć. Zresztą wraz z odjazdem pociągu pozbył się myśli o pościgu.

Jego prześladowca był jednak w pełni przytomny. Małe oczka detektywa w mig zauważyły bladość, zdenerwowanie, ślady kleju nad ustami i oczami i natychmiast zidentyfikowały Gordona. Intuicja go nie zawiodła.

Już wyciągnął śniade ręce, żeby go złapać, gdy nagłe szarpnięcie pociągu i szybkie ruchy Gordona mu to uniemożliwiły. Kiedy odzyskał równowagę, Gordon zniknął już w swoim salonie, a za nim stał konduktor z jeszcze jednym mężczyzną. Przepuścił ich, nie spuszczać z oka. Przynajmniej miał ofiarę w klatce, z której nie może się wydostać przed kolejną stacją. Będzie obserwował drzwi salonki jak kot mysia dziurę i może uda mu się wysłać telegram po pomoc, zanim cokolwiek znacznie się dzieć. Bardzo dobrze, że nie zadziałał od razu. Co pomyśleliby inni pasażerowie? Musi być bardzo ostrożny. O mało nie zrobił głupstwa. Nie powinien działać publicznie. Jego zleceniodawcy i cała sprawa mają pozostać w cieniu.

Spod przymrużonych powiek obserwował drzwi salonu, którymi weszli i wyszli konduktor i lekarz. Od jakiegoś ciekawskiego pasażera dowiedział się, że ktoś jest chory, pewnie ta pani, którą widział zemdloną, gdy tylko pociąg ruszył. Zrozumiał, że to szansa dla niego i gdy konduktor po raz drugi wyszedł z salonu, zapytał, czy nie trzeba w czymś pomóc, dając do zrozumienia, że jest lekarzem (choć współczuć należałoby jego ewentualnym pacjentom). Ten człowiek nie cofał się przed żadnym kłamstwem i zawsze przyznawał się do wykonywania takiego zawodu, jaki w danej sytuacji najlepiej służył jego celom.

Konduktor, zdenerwowany dotychczasowymi problemami, odrzekł szorstko, że nie potrzeba nikogo więcej, a poza tym nie zaszło nic poważnego.

Nie pozostało nic innego jak czekać. Znalazł sobie łóżko, z którego mógł obserwować drzwi salonki. Nie kazał go ścielić, póki wszyscy pozostali pasażerowie nie udali się na spoczynek. Wytrwale trzymał wartę, ale tego wieczora już nie zobaczył swojej ofiary, więc w końcu z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wdrapał się na swoje łóżko, wcześniej odebrawszy od konduktora obietnicę, że na stacji, którą miną niedługo po północy, dopilnuje nadania z ręcznie zredagowanego telegramu do Holmana.

Źle się czuł w eleganckiej koszuli i kołnierzyku - w jego środowisku takie detale zwykle uważano za zbyteczne - i uwolnienie się od nich choć na kilka godzin sprawiło mu ulgę. Nie wpadł jeszcze na to, że pojawienie się rano w wieczorowym smokingu będzie nie na miejscu. Wątpliwe, czy w ogóle zajmowało go to, co miał na sobie. Był pospolitym szpiclem i brakowało mu wykształcenia w wielu dziedzinach. Być może to sposób, w jaki trzymał sztuce przy kolacji, przekonał Gordona, że jest tylko najemnikiem pozostałych.

Kołysany stukotem kół, odprężył się nieco i ułożył się na spoczynek.

Tymczasem Gordon po rozmowie z konduktorem wrócił pośpiesznie do salonu i stał bezradnie, przyglądając się delikatnemu i na pozór martwemu ciału dziewczyny. Gustowna suknia podróżna podkreślała piękno jej twarzy, a wspaniałe włosy wydawały się złotą koroną. Kapelusz spadł na podłogę i kołysał się w przejściu w takt poruszeń pociągu. Gordon podniósł go delikatnie.

Wszedł konduktor w towarzystwie poważnego starszego pana o wyglądzie i manierach lekarza. Ten doświadczonym ruchem ujął bezwładny nadgarstek, przyjrzał się twarzy chorej i wyjąwszy z torby małą buteleczkę, poprosił o szklanekę.

Wlał nieco płynu pomiędzy zaciśnięte wargi. Chora niechętnie przełknęła, jej powieki zadrżały. Dał się słyszeć nieco dłuższy oddech i wreszcie niebieskie oczy się otworzyły.

Oszołomiona, rozejrzała się dookoła, najdłużej zatrzymując

wzrok na Gordonie, po czym zamknęła oczy, jak gdyby żałując, że ją ocucono, i dalej leżała bez ruchu.

Lekarz ukląkł u jej boku, a Gordon, mając nareszcie czas na refleksję, zdał sobie sprawę z możliwych konsekwencji swych poczynań. Obserwował Celię z napięciem, myśląc, że nie może nawet oczekiwać błysku rozpoznania w tych słodkich oczach i całym sercem pragnąc, żeby to małżeństwo było prawdziwe. Przypomniał sobie podróż do Nowego Jorku i wizję towarzysztwa Julii Bentley i popadł w zadumę. Wydawało mu się to tak dawno temu i dziwił się, że mógł kiedykolwiek choć przez chwilę myśleć o ślubie z Julią. Naturalnie była dobrą dziewczyną, dobrze wychowaną, ładną i posiadającą wiele innych zalet, ale... - jego oczy wróciły do smutnej, słodkiej twarzy, a serce ścisnęło się z bólu na widok jej cierpienia. Pomyślał, jaką męką będzie dla niej wyjaśnienie, kim on jest, a raczej kim nie jest. Musi jej to powiedzieć, i to szybko. Nie może sobie pozwolić na dalszą podróż - nie do Chicago! Ale jak może zostawić ją samą w takim stanie?

Tej nocy nic się jednak nie wyjaśniło.

Lekarz raz jeszcze napił ją lekarstwem i kazał wagonowemu natychmiast pościelić łóżko. Potem sam umiejętnie ułożył Celię na poduszkach, a Gordon stał obok ze spuszczonej oczyma i strapioną miną. Bardzo chciał pomóc, ale nie wiedział jak.

- lepiej tej nocy niczym jej nie kłopotać, chyba że to absolutnie konieczne - rzekł lekarz. - Proszę jej nie pozwolić na takie głupstwa jak spinanie włosów czy zdejmowanie sukienki, żeby jej nie pognieść. Ma spokojnie leżeć. To przypadek krańcowego wyczerpania i prawdopodobnie długotrwałego napięcia - strachu czy zdenerwowania - spojrzał wnikliwie na zbitego z tropu pana młodego. - Czy miała jakieś kłopoty?

Gordon popatrzył na niego szczerze.

- Obawiam się, że tak - odpowiedział pełen skruchy, jakby to była jego wina.

- Więc proszę jej nie pozwolić więcej się martwić - rzucił starszy pan krótko. - To niezwykle delikatna kobieta, młody człowieku, i albo będzie się pan z nią obchodził troskliwie, albo się panu wymknie. Proszę ją uczynić szczęśliwą! Szczę-



ście to najlepsze lekarstwo. I nie trzeba się obawiać przedawkowania.

Gordon gorąco podziękował, pragnąc, aby w jego mocy było spełnienie zalecenia doktora.

Lekarz, chętny do pomocy wagonowy i szorstki, ale poczciwy konduktor w końcu zostawili Gordona sam na sam z jego podopieczną, która zdawała się spokojnie spać. Lampa była przykręcona, zasłonki wokół łóżka lekko rozsunięte. Można było dostrzec niewyraźne linie owijającego chorą koca i jedną rękę leżącą bezwładnie na skraju pościelenia.

Na górnym, dotąd jeszcze nie pościelonym łóżku, leżał duży czerwono-czarny kapelusz z piórami i bukietik konwalii wyjętych ze ślubnej wiązanki.

Gordon zamknął drzwi na klucz, aby nikt nie przeszkodził śpiącej, i powoli wszedł do garderoby. Przez minutę stał wpatrzony w lustrzane odbicie swej zmęczonej i brudnej twarzy, zastanawiając się, czy on, Cyril Gordon, dotąd szanujący się i szanowany mężczyzna, naprawdę dokonał w ciągu ostatnich dwunastu godzin wszystkich tych rzeczy, które podpowiadała mu pamięć. Jak to się stało? Postradał zmysły, czy też górę wzięły okoliczności? Czyżby stracił zdolność odróżniania dobra od zła? Czy nie mógł uniknąć żadnego z tych wydarzeń? Co powinien był zrobić? I co ma zrobić teraz? Czy to przestępstwo jest wybaczone? Czy zupełnie zniszczył życie tej słodkiej dziewczynie, czy też uda się jeszcze cokolwiek naprawić? I czy naprawdę jego wina jest tak wielka, jak mu się wydaje?

Po minucie otrząsnął się, spostrzegłszy, jak bardzo jest brudny. Zmył resztki kleju, po czym, wciąż niezadowolony, wyjął z walizki przybory i gładko się ogolił. Po tych zabiegach poczuł się bardziej sobą. Wśliznął się z powrotem do ciemnego saloniku i wyciągnął się na sofie.

W nocnej ciszy każde stuknięcie kół ekspresu mknącego w stronę Chicago rozbrzmiewało w jego uszach starym refrenem: „Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało! Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało!”.

Z pewnością nie była to najprostsza droga z Nowego Jorku do Waszyngtonu, chociaż ze względu na bezpieczeństwo najdłuższa droga mogła się okazać najlepsza.

Gdy tak leżał w ciszy na sofie, pojawiło się w jego umyśle kilka problemów. Udało mu się wprawdzie bez przeszkód opuścić Nowy Jork, ale do rana na pewno zaczął go szukać. Wykpiony Holman nie cofnie się przed niczym. Gordon bał się też spotkania z oszalałym panem młodym. Za wszelką cenę musi je odciągnąć do czasu, kiedy szyfr będzie już bezpiecznie spoczywał u szefa. Jeżeli będzie musiał przypłacić życiem uprowadzenie czyjejs narzeczonej, będzie miał przynajmniej poczucie spełnionego obowiązku wobec kraju. Jego sytuacja była teraz podwójnie niebezpieczna, gdyż pan młody z ła-twością może się dowiedzieć, do którego pociągu wsiedli, a je-den z ludzi Holmana prawie na pewno go rozpoznał. Na-leżałoby przy pierwszej okazji opuścić ten pociąg i w jakiś sposób dotrzeć do innej linii kolejowej. Ale jak tego dokonać, niosąc na rękach chorą kobietę? Naturalnie mógłby zostawić ją samą. Z pewnością nie jest to jej pierwsza podróż i poradziłyby sobie jakoś. Wysłałaby telegram, żeby ktoś po nią przyjechał i wróciłaby do domu. Mógłby jej zostawić pieniądze i list z wyjaśnieniami, a gniew byłby dla niej wystarczającym bodź-cem, aby pokonać słabość. Jednak każda cząstka jego człowie-czeństwa sprzeciwiała się temu planowi! Jakie to tchórzliwe, niemęskie, okropne! Niewątpliwie pod wieloma względami byłoby to roztropne, ale... Nie, nigdy! Nie mógł jej tak porzu-cić, tak samo jak nie mógł ratować swojego życia, zostawiając gdzieś wiadomy szyfr. Zaufano mu. Sam się w to wplątał i jakoś musi się wyplątać, ale nie może pozostawić tej dziew-czyny ani zaniedbać swoich obowiązków.

Nad ranem, kiedy jego umysł nie był już tak trzeźwy z po-wodu zmęczenia, pomyślał, że powinien był wyskoczyć z tego pociągu podczas krótkiego przystanku, zaraz po tym, jak ze-mdlona Celia wpadła w jego ramiona. Ktoś by się nią zajął, odkryto by jego nieobecność i natychmiast wysadzono by dzie-wczynę, posyłając po przyjaciół czy rodzinę. Ale pozostawie-nie jej przez kogoś, od kogo mogła się spodziewać choć przejściowej opieki, byłoby podłością.

Co za potworna łamigłówka. Dobro i zło było w niej prze-dziwnie wymieszane. Nie pamiętał, żeby wcześniej miał prob-lemy z rozróżnieniem, które z dwóch rozwiązań jest lepsze.

Zawsze granice były jasne. Dotąd przypuszczał, że ludzie, którzy twierdzili, że nie wiedzieli, co jest dobre, chcieli po prostu zamydlić innym oczy i czynić zło, nazywając je dobrem. W tej chwili zrozumiał, że osądził ich zbyt surowo.

Być może jego umysł, przemęczony wydarzeniami minionego dnia, nie był w stanie wydać jednoznacznego osądu. Powinien się zdrzemnąć, a potem wszystko się rozjaśni. Musi coś zrobić i to możliwie szybko. Nie może ryzykować wjazdu do wielkiego miasta, gdzie już mogą na niego czekać detektywi i policjanci z pełnym rysopisem. Zbyt dobrze znał współczesne procedury śledcze, żeby nie być świadomym grożącego mu niebezpieczeństwa. Mimo to musi się przespać.

W końcu dał sobą ować senności. Tylko na chwilę - pomyślał, a koła wciąż wystukiwały tę samą monotonną melodię: „Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało! Nie pozwól, żeby... Nie pozwól...! Nie...! Zatrz-rz-rz...”

Gordon spał, a pociąg pędził szybko i nieprzerwanie. Noc minęła. Na wschodzie zajaśniał purpurowy, potem złoty świt. Słońce ukazało ciemnoczerwony rąbek i zaraz skryło go za zasłoną z chmur. Salonik przepełniony był delikatnym zapachem konwalii, a oboje połączeni przez los pasażerowie śnili przedziwne sny.

Smutna panna młoda rzuciła się na łóżku, ale zmęczony Gordon niczego nie słyszał. Śniła mu się strzelanina, z której wynosił narzeczoną ukrytą w złotym ołówku i w końcu sam został zastrzelony za kradzież kanapki z kieszeni kamizelki pana Holmana.

Rozjaśniało się. Niebo na wschodzie stało się złote, a purpurowe słońce odbijało się miękko w oknach wagonu.

Dziewczyna śpiąca za grubymi zielonymi zasłonkami poruszyła się i przypomniała sobie o swoim smutnym brzemieniu, które dźwigała już od tak wielu dni. Ta pierwsza myśl po przebudzeniu o mało nie wyгнаła życia z jej ciała. Leżała cicho, wstrzymując oddech i próbując ponownie zapaść w sen, choć od trzech miesięcy wiedziała, że to beznadziejny wysiłek.

Promienie słońca zabłysnęły karminem, jak klejnot na sukni pięknej kobiety będący ukoronowaniem jej stroju. Płasząc i mieniając się spoczęły na bladej twarzy, dotknęły ust i zupełnie otrzeźwiły zbolałą duszę Celii.

Dziewczyna leżała cicho, pozwalając przepłynąć przez siebie nawałnicy uczuć. Oto jest mężatka! Wszystko ma już za sobą, także bolesne rozstanie z rodziną. Jest już daleko. Zaczę-

ło się nowe życie, które ją przerażało i któremu musiała stawić czoło, życie z kimś, kogo się bała i kim gardziła. Czy kiedykolwiek zrobiłaby coś takiego, gdyby nie chodziło o tych, których kochała?

Stopniowo przypominała sobie miniony wieczór i rozstanie z matką i bratem. Reszta była ciemnością. Musiała chyba zemdleć. Nie zdarzało się to często, ale tym razem... tak, pamięta, jak otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą twarze kilku mężczyzn i George'a - czy to mógł być on? - patrzącego na nią milej niż się kiedykolwiek spodziewała. Potem chyba powtórnie zemdląca... a może nie? Nie, ktoś ułożył ją na łóżku, wypiła coś i zasnęła. Teraz czuła coś w rodzaju wdzięczności dla męża za to, że nie próbował z nią rozmawiać. W drodze na stację odniosła wrażenie, że miał ochotę rozpocząć jakąś kłótnię. Miała tego dość. Napisała już na ten temat całe tomy, a i on powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Nie może czuć się oszukany. Wiedział, że ona go nie kocha i że nigdy nie wyszłaby za niego, gdyby nie chodziło o matkę i pamięć ukochanego ojca. Na co się zda więcej słów? Trzeba to tak zostawić. Wzięli ślub. Niech teraz robi, co chce, niech bawi się jej cierpieniem. Jeżeli tylko pozwoli jej cierpieć w milczeniu i nie będzie używał swojego ostrego języka, ona postara się jakoś to znieść. A może... a może nie będzie żyła zbyt długo i wszystko to wkrótce się skończy.

Kiedy zrobiło się jaśniej, dziewczyna zapragnęła sprawdzić, czy mąż jest w pobliżu. Ostrożnie uniosła głowę i odsunawszy róg zasłonki, wyrzała na zewnątrz.

Leżał spokojnie na sofie z jedną ręką pod głową, drugą na piersiach, jak gdyby czegoś strzegł. Spał ciężkim snem człowieka przemęczonego. Zdawało się, że prawie nie oddycha.

Celia opuściła zasłonę i podniosła dłoń do gardła. Cicho i ostrożnie ułożyła się z powrotem i zamknęła oczy. Nie wolno jej go obudzić. Będzie miała trochę czasu dla siebie, żeby pomyśleć o kochanej mamie i o bracie. Och, gdyby odjeżdżała od nich sama, o ile łatwiej byłoby to znieść! Ale z człowiekiem, którego zawsze niemal nienawidziła...

Przypomniała sobie opinię brata o George'u. Jeffersonowi się spodobał. Cóż, kochany chłopiec o niczym nie wiedział.

Nie czytał żadnego z tych potwornych listów. Nie wiedział o pogroźkach... jedynym języku, jakim tamten się posługiwał. Zadrzała na samo wspomnienie. Mimo to była zadowolona, że brat dał się zwieść. Wolała, żeby tak było. Jej ukochani nigdy nie powinni się dowiedzieć, przez co przeszła, aby uratować ich od hańby i utraty majątku - najważniejsze oczywiście było ich dobre imię. Bała się, że George da im to do zrozumienia swoimi manierami i pozostawi ich w rozterce, ale zachowywał się lepiej niż miała na to nadzieję. Przez te lata zmienił się bardzo. Nie był aż taki zły, jak sobie wyobrażała.

Nagle znowu zapragnęła na niego spojrzeć i raz na zawsze zdecydować, jaki naprawdę jest. Gdy nie spał, nie chciała ani nie śmiała patrzeć na niego częściej niż to było konieczne, aby jej rzekome zainteresowanie nie dało mu poczucia bezkarności. Teraz jednak mogła przyrzeć się lepiej jego twarzy i określić, czego mogła po nim oczekiwać.

Próbowała zwalczyć ten kaprys, ale w końcu chęć spojrzenia na niego wzięła górę i Celia raz jeszcze uniosła zasłonę.

Leżał równie cicho jak przedtem. Gęste włosy rozrzucone na poduszce nadawały mu szlachetny i pociągający wygląd. Nie wyglądał na człowieka, którego należałoby się bać. Trudno było uwierzyć, że to on napisał te listy.

Próbowała znaleźć w jego rysach podobieństwo do chłopaka sprzed dziesięciu lat, którego znała, będąc jeszcze dzieckiem, który przywiązywał jej warkocze do krzesła, wrzucał surowe ostrygi i gaśienice za sukienkę i rozciągał w ciemnych przejściach żyłkę, żeby się potknęła. Sprawiał, że każda z jej wizyt u ukochanego wuja - którego także miał prawo tak nazywać, choć z nią nie był spokrewniony - kończyła się katastrofą i łzami. Nigdy nie zmarnował okazji, aby ją upokorzyć, a raz... nie, te wspomnienia zebrane razem były zbyt okropne! Niech przepadną!

Dokładnie i krytycznie przyjrzała się jego twarzy, ale nie znalazła żadnych śladów charakteru, jaki według niej miał mieć dorosły już George, czego wystarczającym dowodem były jego listy. Ta twarz była delikatna i wrażliwa, w rysach nie było nic pospolitego ani samolubnego. Długie, ciemne rzęsy u podkrążonych oczu nadawały mu chłopięcy wygląd, który

byłby w stanie rozbudzić uczucia macierzyńskie w każdej kobiecie. George, którego znała, nawet jako chłopiec był napuszony i pewny siebie. Na ostatnim zdjęciu wyglądał na dużo tępszego i jeszcze bardziej napuszonego, ale może podczas snu takie cechy gdzieś znikają.

Próbowała odwrócić się obojętnie, ale jakiś szczegół jego twarzy ją zatrzymał. Przyjrzała się raz jeszcze. Gdyby to był inny mężczyzna, ktokolwiek obcy, powiedziałaaby, że ma wypisane na twarzy dobroć, hojność, szacunek dla kobiet i siebie samego. Miał ładnie wykrojone, stanowcze usta i czysto wygolony podbródek, a patrząc na jego czoło, można by go wziąć za naukowca. Ona jednak wiedziała, że to wszystko złudzenia. Jak zwodniczy może być wygląd! Prawdopodobnie ludzie, którzy będą ich widzieć razem, będą jej raczej zazdrościć niż współczuć. Może to i lepiej. Łatwiej jej będzie zatrzymać troski dla siebie. Ale zaraz, co jej się wydało tak inne? Gładka twarz? Tak. Zdawało jej się, że wczoraj nosił wąsy. Musiało jej się chyba coś pomylić. Minionego wieczora patrzyła na niego tylko wtedy, gdy musiała, a w głowie miała zupełny zamęt. Wciąż jednak czuła jakąś różnicę.

Przeniosła wzrok na jego spoczywającą na piersiach rękę. Miał ładne, białe dłonie. Nie było na nich ani grama zbędnego tłuszczu. W dzieciństwie George miał grube, niezgrabne palce i paznokcie obgryzione niemal do ciała. Pamiętała, jak bardzo nie znosiła tego widoku, a jednak jakoś nie potrafiła odwrócić oczu. Teraz z ulgą zauważyła, że jego paznokcie były opiłowane i zadbane.

Był bardzo przystojny i atrakcyjny. Gdy pociąg skręcał, kilka śmielszych promieni słońca padło prosto na włosy Gordona i przez moment wędrowało po nich jak miniaturowa latarka, oświetlając każdy lok i fale. Ten rodzaj włosów w każdej kobiecie budzi instynktowne pragnienie ich dotknięcia.

Celię zastanowiły kłębiące się w jej głowie dziwne myśli, gdyż wciąż miała świadomość, że gdy tylko ten mężczyzna się obudzi, nie będzie mogła myśleć o niczym prócz jego nienawistnego charakteru, który znała od lat. I do tego była jego żoną! Jakie to dziwne! Jakie potworne! To niemożliwe żyć z tą myślą przez ileś tam nie kończących się lat! Och, gdyby mogła umrzeć już teraz, zanim zabraknie jej sił!

Ponownie ułożyła się na poduszkach i starała się pozbiierać myśli, ale wciąż trwał w jej pamięci nowy, przyjemniejszy obraz męża. Czy to możliwe, że w ogóle dostrzegła w nim coś miłego? Że jakoś zniosła jego towarzystwo? Czy kiedykolwiek będzie w stanie zapomnieć o jego okrutnym postępowaniu względem niej, wybaczyć czy nawet zacząć go tolerować? Znowu opadły ją wspomnienia i myśli o czekających ją latach męczarni. W sercu zabrzmiało: „Nie, nie, po tysiakkroć nie”. Zapłaciła cenę, jakiej żądał, poświęciła się, ale zapomnieć o tym, co zrobić? Nigdy!

Napięcie, zmęczenie i monotony stuk kół sprawiły, że znów zapadła w sen, za to obudził się mężczyzna na sofie.

Zerwał się nagle w pełnej gotowości, gdyż pociąg stanął, a jednostajny łoskot kół zastąpiła cisza wiejskiego poranka, od czasu do czasu przerywana przybliżającymi się i oddalającymi głosami. Usłyszał strzępek rozmowy jakichś kolejarzy:

- Jest spóźniony o pół godziny, może więcej. Musimy poczekać, to wszystko. Hej, Jim, weź chorągiewkę i biegnij na zwrotnicę... - głos oddalał się stopniowo, po czym rozbrzmiało uderzenie młotka w podwozie wagonu.

Gordon usiadł, wciąż trzymając jedną rękę na piersi, gdyż jego pierwszą myślą po przebudzeniu było sprawdzenie, czy oprawka od ołówka jest na swoim miejscu.

Spojrzał ukradkiem na zasłonki nad łóżkiem i nie zauważwszy żadnego ruchu, uznał, że Celia jeszcze śpi.

Wsunął stopy do butów i wstał, wciąż patrząc w stronę łóżka. Chciał wyjść i sprawdzić, gdzie się zatrzymali, ale czy mógł to zrobić, nie zobaczywszy, jak ona się czuje?

Cicho, wręcz nabożnie nachylił się i przyłożył twarz do szpary między zasłonkami. Celia poczuła jego wzrok. Leżała z zamkniętymi oczyma i starała się oddychać tak powoli i lekko, jakby spała.

Przyglądał się jej długą chwilę, oczarowany delikatnym pięknem uśpionej twarzy i przepełniony radością, że jej usta znów nabrały koloru. Potem odwrócił się, odsunął zasuwkę i wyszedł z przedziału.

Pozostali pasażerowie wciąż spoczywali w objęciach snu, o czym świadczyło rozlegające się zewsząd chrapanie. Światło



dzienne wpadające szerokim strumieniem z zewnątrz wypierało mrok z korytarza i wkradało się nawet do przedziałów.

Gordon bezszelestnie zamknął drzwi i doszedł do końca wagonu.

Drzwi były otwarte i z zewnątrz słychać było rozmowę konduktora z dwoma hamulcowymi. Padło stwierdzenie: „Trzy kwadransy”, po czym mężczyźni szybko odeszli w stronę lokomotywy.

Gordon rozejrzał się po okolicy i po raz pierwszy od początku tej podróży przypomniał sobie, że to maj, środek wiosny.

Poprzedniego wieczora wiał ostry wiatr i zanosilo się na deszcz. Kiedy jechał do szpitala ze zranionym chłopcem, właściwie dość mocno padało, ale on był tak przejęty, że prawie tego nie zauważył. Ten ranek jednak był wspaniały.

Słońce nadawało blask każdej rzeczy zmęczonej długą i ciemną zimą. Każdy pień drzewa w oddali był doskonale widoczny, na każdym źdźble trawy spoczywała roziskrzona kropla rosy, a kręty strumień w dolince wręcz raził swoim blaskiem. Droga z głębokimi koleinami wyglądała jak z artystycznej fotografii.

Powietrze było niezwykle łagodne, choć trwał w nim lekki posmak zimy. Chciało się wyjść w świat dla samej radości przebywania na zewnątrz. Nie wiadomo skąd wyfrunął skowronek, przysiadł na słupie telegraficznym, wydał jeden wesoły dźwięk i poleciał dalej. To było cudowne. Gordon poczuł rozpierającą go radość.

Wreszcie nadeszła okazja do wymknięcia się z pociągu przed stacją docelową, gdzie mógł zostać zdemaskowany. Tak bardzo czekał na ten moment! Gdyby pomyślał o zabraniu walizki! Może teraz wśliznąć się po nią do przedziału... A może ją zostawić? Ale... nie wolno mu zostawić tak Celii. A może powinien? Może powinien... ale musiałyby zabrać walizkę, gdyż są w niej listy na jego prawdziwe nazwisko. Zażądają wyjaśnień, a nigdy nie będzie w stanie wyjaśnić kochającej matce i bratu, dlaczego zostawił samą bezradną dziewczynę... nawet jeżeli nie przeszkadzałyby mu wyrzuty sumienia, a to nie jest możliwe. Po prostu nie może jej zostawić, a jednak musi jak

najszybciej opuścić pociąg. To może być jedyna okazja przed Buffalo, a wjechanie tam było wielce ryzykowne. Prawdopodobnie prywatni detektywi z jego rysopisem tylko czekają, żeby w Buffalo wsiąść do tego pociągu. Nerwowo spojrzął na drzwi wagonu. Czy odważy się obudzić dziewczynę i powiedzieć, że się pomylił i muszą się przesiaść? Czy Celia dość dobrze się czuje? I dokąd pójda?

Wyjrzał na zewnątrz, szukając tam odpowiedzi.

Byli na wsi. Pociąg stał na wysokim, żuźlowym nasypie, wzdłuż którego biegła gładka polna droga. Nieco dalej dochodziła do niej druga, prostopadła, prowadząca między zielonymi wzgórzami do miło wyglądającej wioski. Wspaniałe strumień dostrzeżony wcześniej płynął bliżej niż się przedtem wydawało. Przy brzegach rosły chyba niezapominajki i rżesa wodna. Strumyk przepływał pod mostem, skręcał w stronę wsi i ginął w gęstwinie wierzb.

Zejście z nasypu i przejście drogą do wsi nie powinno być trudne. Tam będzie można wynająć jakiś pojazd do najbliższej stacji kolejowej, a stamtąd do... być może Pittsburgha, skąd już bez trudu Gordon dostanie się do Waszyngtonu. Nie byłoby to żadnym problemem, gdyby jakieś niewidzialne ręce nie związały go ze śpiącą słodko w przedziale dziewczyną! Mimo to, ze względu na swoje i jej bezpieczeństwo, musi coś zrobić i to szybko.

Pograżony w myślach stał, wpatrując się w wioskę, która wydawała się być tak niedaleko. Dla Celi byłyby to jednak długi spacer. Nagle poczuł czyjaś bliską obecność. Przez moment oparł się pokusie spojrzenia w tył, aby udowodnić sobie, że wciąż nikogo nie ma tam, gdzie przed minutą nikogo nie było. Potem złoszcząc się na siebie, odwrócił głowę.

Stała tam, świeża i piękna, z delikatnym rumieńcem na policzkach i głębokim smutkiem w wielkich oczach, którymi wpatrywała się w niego lekko zaskoczona. Była kompletnie ubrana, nawet w kapeluszu i rękawiczkach. Jej złote włosy były starannie ułożone, jakby dziewczyna poświęciła godzinę lub dwie fryzurze, którą w rzeczywistości pospiesznie upięła drżącymi palcami, chcąc skończyć, zanim wróci jej mąż.

Celia wyskoczyła z łóżka w chwili, gdy Gordon zamknął za

sobą drzwi i natychmiast zasunęła zasuwkę. Zbryzgała twarz zimną wodą, szybko poprawiła ubranie i kilkoma ruchami upięła włosy. Włożyła kapelusz, płaszcz i rękawiczki i wyszła zaczerpnąć powietrza. Czuła, że musi to zrobić, albo się udusi. Nagle ogarnęło ją dzikie pragnienie ucieczki w nieznanne. Och, gdyby tylko miała na to dość odwagi! Ale nie wolno jej zrobić niczego takiego, gdyż wtedy George z pewnością spełniłby swoje groźby. Nie, musi cierpliwie znieść do końca wszystko, co było jej przeznaczone. Przynajmniej wyjdzie odetchnąć świeżym powietrzem, zanim George wróci. Pewnie poszedł do wagonu dla palących. Pamiętała, że dawniej był nałogowym palaczem. Kiedy on będzie się zaciagał papierosem, ona zakosztuje poranka. A nawet jeśli wróci i jej nie zastanie, co z tego? Przynajmniej odwlecze się rozmowa, której tak się bała.

Nigdy by nie przypuściła, że zastanie go tak, samego, wpatrzonego w piękno poranka, jakby robiło to na nim wrażenie. Jego widok zatrzymał jej wzrok, jak przedtem uśpiona twarz. Jakże był różny od tego, czego się spodziewała! Niemal można by było przypuścić, że i jego charakter się zmienił... gdyby nie listy... te potworne listy! Autor tych listów nie był w stanie się zmienić, chyba że na gorsze.

Mimo to był przystojny, uprzejmy, miał wygląd intelektualisty, doceniał otaczające go piękno... Temu nie mogła zaprzeczyć. Już to bardzo ją zaskoczyło. Znikły też worki pod jego oczyma i okrutna, samolubna linia ust, które tak dobrze pamiętała.

W tej chwili odwrócił się, a jego twarz zajaśniała ciepłym, choć pełnym zaskoczenia uśmiechem. Bezwiednie odpowiedziała tym samym.

- Jak to? Już wstałaś? - zapytał, podchodząc bliżej. - Jak się dzisiaj czujesz? Na pewno lepiej, w przeciwnym razie nie zerwałabyś się tak wcześnie.

- Musiałam pooddychać świeżym powietrzem - odparła. - Nie mogłam dłużej znieść tego przedziału. Szkoda, że nie możemy reszty drogi przejść piechotą.

- Naprawdę? - rzucił zaskoczony, ale i zadowolony. - Właśnie myślałem o czymś takim. Widzisz tę piękną, prostą drogę? Chciałem zbiec z nasypu i przejść się do wsi na śniada-

nie. Tam moglibyśmy wynająć samochód albo bryczkę i dojechać do następnej stacji. Zaproponowałbym to, gdybyś wczoraj nie była taka chora.

- Czy to możliwe? - zapytała z niedowierzaniem. - Bardzo bym chciała - zapewniła gorąco. - Jaki śliczny poranek! - jej oczy były pełne tęsknoty, jak oczy tych, którzy płaczą, rozmyślając, dlaczego nie mogą się cieszyć, skoro słońce wciąż łśni jasnym blaskiem.

- Oczywiście - zapewnił - o ile możesz.

- Och, czuję się wystarczająco dobrze. Wolę to niż ten duszny przedział. Ale czy nikt nie uzna takiej ucieczki z pociągu za niezwykle dziwaczną?

- Nikt nie musi o tym wiedzieć - oświadczył jak chłopiec planujący wagiary. - Wejść z powrotem i wyniosę walizki. Czy nie zostawiłaś niczego na wierzchu?

- Nie, przed wyjściem wszystko spakowałam - odpowiedziała obojętnie, jak gdyby już odeszła jej ochota.

- Zdaje mi się, że nie czujesz się dobrze - zauważył ze współczuciem, zatrzymując się na stopniach.

Była wyraźnie zdziwiona tą troską o jej zdrowie.

- Naturalnie, że dobrze - odrzekła z naciskiem. - Często chodziłam na dłuższe spacery niż ten, a świeże powietrze dobrze mi zrobi. Naprawdę nie zniosłabym dłużej tego wagonu.

- Świetnie! W takim razie spróbujmy!

Szybko wrócił po bagaż, zostawiwszy Celię na nasypie obok wagonu, wpatrzoną w rozkwitający poranek.

**w tej chwili krępy wysłannik Holmana zdał sobie sprawę** z niezwyklej ciszy i bezruchu pociagu, którego turkot ukołysał go do snu. Dobiegło go także ciche szczęknięcie drzwi, co go zupełnie otrzeźwiło. Być może był to odgłos zasuwki u drzwi salonki Gordona.

Żaluzje w oknie i zasłonki wokół łóżka były zaciągnięte. Jeszcze nie przebiło się przez nie światło dnia. Mimo to jego zmysły od razu stanęły w pogotowiu. Ziewnął, przeciągnął się i powstrzymał kolejne ziewnięcie, aby zbadać przyczynę panującej dokoła ciszy, czasem podkreślanej przez dochodzące skądś chrapnięcia uspiomych pasażerów. Szybko przypomniał sobie wypadki minionej nocy i czekające go obowiązki.

Kolejne ciche szczęknięcie zaostrzyło jego słuch. Natychmiast wystawił głowę na korytarz, spoglądając ku drzwiom salonki, i zauważył, że ktoś cichaczem przekrada się do drzwi w końcu wagonu z dwiema walizkami i parasolem w ręku. To był *jego* człowiek. Był tego pewien i ledwie nie oszalał. O mały włos przespałby swoją szansę.

Wyskoczywszy z łóżka, przypomniał sobie, że jest tylko na pół ubrany i rzucił się z powrotem, żeby coś na siebie włożyć. Niecierpliwym ruchem podciągnął żaluzję i przykleił twarz do szyby.

Tak, wysiedli oboje wraz z bagażem i o mało nie wymknęli mu się, gdy spokojnie spał! Nie umiał sformułować ani jednej myśli, nie używając przekleństw.

Gordon zdołał wrócić do dziewczyny, nie natykając się po

drodze na nikogo z obsługi ani z pasażerów, dosłyszał jednak jakiś daleki hałas. Nadjeżdżał oczekiwany ekspres. Jeżeli mają się stąd wymknąć, muszą to zrobić natychmiast, albo ich ucieczka zostanie odkryta czy wręcz uniemożliwiona. Byłoby lepiej, gdyby miejsce opuszczenia przez nich pociągu nie było nikomu znane. Gordon nie zapomniał o zamknięciu za sobą drzwi salonki, więc odkrycie ich nieobecności może zająć jakiś czas. A jeżeli pociąg zatrzyma się jeszcze gdzieś przed Buffalo, nie znajdą ich tak łatwo. Nie miał pojęcia, że nawet w tym momencie ktoś go obserwował.

Celia stała już na nasypie, patrząc tęsknie w stronę wioski. Nie potrafiła sobie wyjaśnić, dlaczego opuszczenie pociągu i ucieczka do nieznanej miejscowości miałyby poprawić jej los, ale był to jakiś upust dla jej tłumionych uczuć. Bała się, że George może nagle zmienić zdanie.

Gordon zeskoczył na żwirową ścieżkę, sprawdzając tor po obu stronach. W pobliżu nie było żadnego kolejarza. W oddali widać było przybliżający się czarny punkt. Pomagając Celi przejść, postawił stopę na szynie drugiego toru i wyczuł drżenie. Za moment przejedzie pociąg. Powinni być wtedy pod nasypem, niewidoczni. Czy tak delikatna dziewczyna nie będzie się bała stromego zejścia?

Na sekundę zawahała się na szczycie, gdyż nasyp był rzeczywiście bardzo stromy. Potem, spojrzawszy na towarzysza, uświadomiła sobie, że on naprawdę chce, żeby zesza. Wstrzymała oddech, zacisnęła usta i ruszyła.

Trzymał ją tak mocno, jak tylko mógł, niosąc jednocześnie dwie walizki i parasol. Gdy w końcu zejście stało się zbyt strome, wypuścił z rąk bagaże, które potoczyły się na dół, i rzucił się, żeby przytrzymać spadającą Celię.

Styl podróżowania „na grawitację” nie jest może idealny, ale za to szybko znaleźli się na dole, rozczochrani, podrapani i pozbawieni krzty godności. Zachowanie powagi w tej sytuacji okazało się niemożliwe i Celia roześmiała się wesoło, dowodząc, że i to potrafi.

- Czy nic ci się nie stało? - zapytał przejęty Gordon, trzymając dziewczynę za rękę i spoglądając na nią z czułością.

Głosy i śmiech utonęły w łoskocie przejeżdżającego ekspres-

su. Zaraz potem ich pociąg podjął przerwana podróż i szybko zniknął za horyzontem. Gdyby pasażerowie obu pociągów nie byli pogrążeni w głębokim śnie, zdziwiliby się zapewne na widok dwojga trzymających się za ręce, modnie ubranych młodych ludzi w przekrzywionych kapeluszach, którzy śmiali się do rozpuku na polnej drodze o godzinie piątej majowego poranka. Jednak jeden z podróżnych nie spał, a zajęta sobą para na drodze wcale go nie zauważyła.

Celia była pod wielkim wrażeniem troskliwości George'a, która zupełnie nie przystawała do treści jego listów. Nigdy dotąd nie przejmował się jej cierpieniem. Zawsze mówił, czego *on* chce, z ukrytą groźbą, na wypadek gdyby ośmieliła się sprzeciwić. W najmniejszym stopniu nie interesowało go jej szczęście, dlatego była tak zaskoczona tą nagłą delikatnością i troską. Może, mimo wszystko, życie z nim nie będzie aż tak okropne, jak sobie wyobrażała. Ale... jak autor takich listów mógł w ogóle posiadać jakieś dobre cechy? To po prostu niemożliwe. Musi być twarda. Oczywiście będzie jej jednak dużo łatwiej, jeśli George będzie się zachowywał przyzwoicie.

Bieg jej myśli przerwała samokrytyka Gordona.

- Nie powinienem był na to pozwolić - oświadczył. - Ten upadek był okropny, zwłaszcza po tym, co przeszłaś wczorajszej nocy. Nie zdawałem sobie sprawy, że nasyp jest tak stromy i nierówny. Uwierz mi, proszę. Boję się, że mi tego nie wybaczysz.

- Ależ nic mi się nie stało - odrzekła łagodnie, zdumiona jego przejęciem. Coś ścisnęło ją w gardle i z wysiłkiem powstrzymała płacz. Dlaczego dobroć tam, gdzie się jej nie spodziewamy, zawsze przynosi łązy?

- Jestem tylko trochę potargana - ciągnęła, zobaczywszy rzeczywisty strach w jego brązowych oczach - ale wcale mi to nie przeszkadza. Myślę, że to była niezła zabawa. A ty?

Kąciki jej ust uniosły się w półuśmiechu i Gordon zapragnął nagle wziąć ją w ramiona i ucałować. To uczucie było dla niego nowe i dziwne. Z Julią Bentley nigdy nie przydarzyło mu się nic podobnego.

- Tak... tak, chyba tak, o ile na pewno nic ci nie jest.

- Ależ nie - zaprzeczyła, po czym z jakichś niewyjaśnio-

nych przyczyn oboje wybuchnęli śmiechem. Zaraz poczuli się lepiej.

- Jeżeli masz w butach tyle kamyków, co ja w moich, trzeba się jakoś z nimi rozprawić - oświadczył Gordon, potrząsając najpierw jedną nogą w eleganckim półbutcie, a potem drugą i ze skrucną spoglądając na aksamitne pantofelki swojej towarzyski.

- Może usiądziesz - rozejrzał się za odpowiednim miejscem, ale dokoła była tylko mokra od rosy trawa, podniósł więc walizki i skonstruował z nich coś na kształt fotela. - Teraz usiądź i pozwól mi się nimi zająć.

Nie zważając na oświadczenia, że może zrobić to sama, ukląkł na drodze u jej stóp i zaczął niezgrabnie odpinać małe guziczki, mocno, ale zarazem delikatnie opierając zgrabną nóżkę o swoje kolano.

Zdjął pantofel i odwracając go, wytrząsnął kamyki, po czym sprawdził palcem, czy jakiś uparciuch nie pozostał w środku. Nieśmiało i czule przesunął dłonią po podszewie spoczywającej na jego kolanie stopki w jedwabnej pończosze, aby się upewnić, że i ona jest wolna od kamyków. Próbował przy tym zabawić Celię rozmową o pogodzie, pociągu, złośliwych kamykach; czymkolwiek, żeby ta niezwykła sytuacja wydawała się naturalna i niewymuszona. Czuł głębokie zażenowanie z powodu swej podwójnej roli w tej maskaradzie.

Celia obserwowała go dziwnie poruszona. Coraz bardziej dziwiła się jego dobroci, a jej uprzedzenia już niemal zniknęły. Sama nie mogła tego zrozumieć. Podejrzewała, że chciał od niej czegoś więcej, bo jak dotąd George Hayne nigdy nie był miły bezinteresownie. Bała się, że niedługo wszystko się okaże. Z drugiej strony nie wyglądało na to, by ją oszukiwał. Westchnęła głęboko. Gdyby było prawdą, że jest dobry i uprzejmy i że nigdy nie pisał tych potwornych listów! Jak wspaniale mieć kogoś, kto potrafi tak się troszczyć! Wzdychając przymknęła oczy, a Gordon spojrział na nią przerażony.

- Jesteś zmęczona! - rzekł, na chwilę zaprzestając zapinania perłowych guziczków. - Okazałem się okrutnikiem, pozwalając ci wysiąść z pociągu.



- Wcale nie - zaprzeczyła, zbierając siły. Nie zepsuje tej chwili, póki trwa. Było z pewnością lepiej niż w jej wyobrażeniach. - Nigdy sobie nie poradzisz z tymi guzikami - zaśmiała się, gdy podwoił wysiłki, aby uchwycić maleńkie perłowe kółeczko i przełożyć je przez aksamitną pętelkę. - Mam w torebce haczyk do guzików. Spróbuj.

Wyjęła z torebki mały srebrny przyrząd. Gordon wypróbował najpierw jeden koniec, potem drugi, jednak bez rezultatów.

- Pozwól, że ci pokażę - zaśmiała się powtórnie, zdejmując rękawiczki. Uchwyciła srebrny haczyk, który błysnął jak przełatująca przez dziurki błyskawica, w mgnieniu oka radząc sobie z guziczkami. Gordon obserwował ją z niemym podziwem, który pochlebiłby każdej dziewczynie. Na minutę Celia zapomniała o swoim losie i roześmiała się radośnie. Gordon nieśmiało zabrał się do drugiego pantofelka.

Kiedy wreszcie pozbiali bagaże i ruszyli drogą do wsi, czuli się jak dobrzy znajomi wybierający się razem na piknik. Gordon wyteżył dowcip i intelekt, aby zapewnić Celi rozrywkę, choć bez przerwy gryzł się w język, gdy zaczynał wspominać życie w Waszyngtonie albo jakieś sprawy osobiste, co mogło sprowokować pytania. Zdecydował, że nie powinien wyjawiać jej, kim jest, póki nie znajdą się w takich warunkach, by Celia mogła swobodnie odejść, jeśli taka będzie jej wola. Musi się o nią troszczyć, dopóki nie będzie mógł jej oddać w dobre ręce albo przynajmniej dopóki ona nie będzie w stanie zatroszczyć się sama o siebie. Na pewno lepiej grać dalej tę farsę, pozwalając jej na domysły aż do momentu, kiedy będzie mógł wyjaśnić wszystko od początku do końca. Jeżeli będą mieli szczęście, może uda im się złapać wieczorny pociąg do Pittsburgha, a wtedy następnego dnia będą w Waszyngtonie. Gdy dostarczy wiadomość, wszystko jej wyzna. Do tego czasu musi być ostrożny.

Wesoło wędrowali dalej. Dzięki porannemu powietrzu i wysiłkowi twarz Celi nabrała rumieńców. Dziewczyna nie była wydelikacaną pannicą, a omdlenie poprzedniego wieczora było wynikiem ogromnego napięcia i przerażenia. Piękno poranka i dobroć Gordona sprawiły, że na chwilę zapomniała, iż wkacza w świat strachu i poświęceń.

*Pora roku - wiosna,  
Wiosną wczesny dzionek;*

- zacytował Gordon.

*O siódmej poranek;  
Pagórek zroszony -*

- machnął parasolem w stronę wzgórza mieniącego się tysiącami kropel rosy jak tysiącem świateł.

*Ślimak w igłach sosny;  
W trzepocie skowronek;*

-zawtórowała Celia, nagle wpadając w jego nastrój, i wskazała wzbijającego się w niebo skowronka, który wyśpiewywał swą poranną melodię.

Gordon spojrział na nią z zadowoleniem. Cieszył się, że cytuje jego ulubionego poetę tonem, który wskazywał, że też znała i lubiła Browninga.

*Bóg w niebie schowany —  
Świat jest urządzony!"*

- cichym głosem zakończył Gordon, patrząc jej prosto w oczy.  
- Dzisiaj to wydaje się prawdą, czyż nie?

Przez niebieskie oczy Celi przy spotkaniu z brązowymi Gordona przebiegł jakiś cień.

- Prawie - wyjąkała niepewnie.

Gordon zaprzagnął wyjść poza to „prawie” i dowiedzieć się, co miała na myśli, ale zdecydował, że lepiej będzie przywrócić jej uśmiech i choć na chwilę pozwolić zapomnieć o kłopotach.

Przystanęli na odpoczynek przy strumyku, w cieniu wierzby płaczącej, której srebrzyste gałęzie dotykały wody. Gordon ułożył walizki tak, żeby żona mogła usiąść, po czym zszedł

zob. R. Browning, *Piosenka Pippy*, w: *Poezje wybrane*, tłum. J. Żuławski, Warszawa 1969

na sam brzeg strumyka, zerwał wielki bukiet niezapominajek, niebieskich jak oczy Celi, i ofiarował go jej.

Spojrzała zaskoczona. Tylko pomyśleć, że rosły sobie tam tak po prostu, bez niczyjej opieki. Wcześniej widziała takie kwiaty jedynie na wystawie w kwiaciarni. Musnęła je czubkami palców, jakby były zbyt wiotkie, żeby być prawdziwe, po czym przypięła wiązanekę do sukni.

- Są koloru twoich oczu! - wykrzyknął Gordon i natychmiast tego pożałował, gdyż Celia zarumieniła się i zaraz zbladła pod jego wzrokiem, a on pomyślał, że był zbyt śmiały. Zastanowił się, dlaczego to powiedział. Nie miał w zwyczaju prawienia dziewczętom komplementów, ale ona niejako go sprowokowała. Naprawdę. Przez chwilę siedział zmieszany jak nieśmiały chłopczyk, nie wiedząc, co powiedzieć. Celia mu nie pomogła. Być może i ona sama nie potrafiła sobie poradzić z sytuacją. Nie był pewien, czy jest zadowolona, czy przeciwnie.

Gdy się odezwał, serce Celi drgnęło, za co sama była na siebie zła. Mężczyzna, który przez trzy potworne miesiące groził jej i szantażem zmusił ją do małżeństwa, nie miał prawa ani do drgnięcia serca, ani nawet do spojrzenia, chociaż przez chwilę był miły. Na pewno to potrafił, jeśli mu na tym z jakichś względów zależało. Ale ona musi uważać i nigdy, przenigdy nie może pozwolić na zażyłość. Przecież dobrze go zna. To zachowanie musi mieć jakieś przyczyny, co się na pewno niedługo okaże.

Zacisnęła usta i spróbowała odwrócić wzrok w stronę purpurowo-zielonych wzgórz, ale w jej sercu znowu rozbrzmiało echo jego słów i zmusiło je do drżenia. Co by było... och, co by było, gdyby naprawdę okazał się dobrym człowiekiem i mogłaby przyjąć uwielbienie w jego głosie? Ale jak to możliwe? Jej policzki znowu się zarumieniły, a do oczu napływały łzy. Nie ośmieliła się odwrócić ku niemu.

Siedzieli tak w ciszy, póki skowronek w wierzbowym zagajniku nie rozpoczął swej piosenki, łamiąc rzucone na nich zaklęcie.

- Czy się obraziłaś? - zapytał z przejęciem. - Przepraszam, jeśli ci się to nie spodobało. Słowa wymknęły mi się same, zanim miałem czas nad nimi pomyśleć. Wybaczysz mi?

- Och, wcale się nie obraziłam - rzekła, podnosząc swoje niezapominajkowe oczy. - Nie masz za co przepraszać. To było... piękne!

Jego wzrok powtórzył komplement jeszcze raz, co sprawiło, że przez serce Celi przebiegł kolejny dreszcz. Na jej policzki znów wystąpiły rumieńce, więc ukryła twarz w chłodnych kwiatuśkach, aby nie ujawniać zmieszania.

- To najszczerza prawda - powiedział Gordon cichym, pełnym miłości głosem, który zdawał się pieszczotą.

- Czy nie powinniśmy się pospieszyć, by złapać jakiś pociąg? - zapytała dziewczyna, nagle zrywając się na równe nogi.

- Już wypoczęłam - czuła, że jeszcze moment i podda się rzuconemu na nią urokowi.

Gordon również wstał i przypomniał sobie, że ta kobieta jest przyrzeczona komu innemu.

„Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało! Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało!” - zabulgotała nagle woda w potoku. Gordon chwycił walizki i ruszył w drogę.

- Wezmę moją walizkę - oświadczył pełen determinacji głos za jego plecami, a na uchwycie pojawiła się drobna dłoń.

- Wybacz, ale nie pozwolę na to! - oświadczył Gordon jeszcze bardziej zdecydowanie.

- Ale to za dużo dla ciebie... obydwie walizki... i na dodatek parasol - protestowała. - Daj mi przynajmniej parasol.

Nawet i na to się nie zgodził, ciesząc się, że starcza mu sił, by ją chronić i jej pomagać. Idąc obok, Celia przypomniała sobie ze szczegółami pewien ranek, kiedy George Hayne zmusił ją do niesienia dwóch ciężkich koszyków, gdyż on chciał strzelać do ptaków i musiał mieć wolne ręce. Czy to może być ten sam człowiek?

Był to miły spacer, dużo zresztą krótszy niż się spodziewali. Mimo to, zanim doszli do pierwszych zabudowań, Gordon z troskany o swoją towarzyszkę prosił, żeby usiadła i odpoczęła. Lecz ona nie posłuchała. Była bardzo podekscytowana wizytą w nieznannej miejscowości. Domy były takie czyste i białe. We frontowych oknach zaciągnięte były zielone żaluzje, ale tylne drzwi stały otworem. Krowy pasły się spokojnie, a psy szczekały przyjaźnie.

Przeszli częściowo zacienioną ulicą, na której igrały przesiane przez liście promienie światła. Gdyby ktokolwiek powiedział wczoraj Celi Hathaway, że dzisiaj będzie tak wędrować i gawędzić ze swoim mężem, wyśmiałaby go. Teraz niemal się zaprzyjaźniła z człowiekiem, którego miała do końca życia nienawidzić.

Wszystkie domy w wiosce stały wzdłuż jednej prostej, obsadzonej klonami ulicy. Dotarli do „centrum”, ale wciąż nie napotkali żadnej gospody. Była tam poczta i piekarnia, było też kilka sklepów, ale okazało się, że jedyny zajazd został tydzień temu zlicytowany z powodu śmierci właściciela. Wcześni przechodnie obojętnie potraktowali tajemnicze pojawienie się pośrodku wsi miejskiej pary z ciężkim bagażem, bez żadnego widocznego środka transportu prócz wykwintnie obutych nóg.

Mężczyzna, który poinformował ich, że we wsi nie ma zajazdu, ośmielił się zapytać:

- Konie poniosły?

- Och, nie! - zaśmiał się Gordon. - Nie podróżujemy konno.

- Pewnie poszła wam dętka - oświadczył wioskowy mądrała, przestępując z nogi na nogę.

- Poszliście w złą stronę - odezwał się jeszcze ktoś. - Nie ma tam warsztatu. Koleś, który go prowadził, miesiąc temu zwiął z żoną Sama Galta. Trzeba było wrócić do Asłwille. Tam mają dobrego kowala, może by co poradził.

- Naprawdę? - zainteresował się Gordon. - To fatalnie, ale skoro nie da się nic poradzić, trzeba znaleźć inne wyjście. Jak nazywa się najbliższe miasto i jak to daleko stąd?

- Do Sugar Grove są dwie mile, do Milton pięć. W Milton mają warsztat i restaurację, od kiedy zrobili tam rozjazd kolei.

- Czy mógłbym wynająć kogoś, żeby zawiózł nas do Milton? - zapytał Gordon, spoglądając niepewnie na rozleniwionych rozmówców.

- Za mniej niż pięć dolców mowy nie ma - oświadczył po stosownej przerwie jakiś młodzik.

- W porządku. Jak szybko będziesz gotów i co to za pojazd? Czy będzie dość wygodny dla pani?

Młodzieniec pogardliwie przyjrzał się uroczej dziewczynie

w miastowej sukni. Jego wiejska przyjaciółka dużo ładniej się ubierała, ale oczy tamtej, niebieskie jak niezapominajki, które miała przy sukni, zrobiły na nim wrażenie. Ugryzł się w język.

- Jest w porządku! Nie dostaniecie nic lepszego! - odezwał się nagle jakiś ponurak wsparty o baryłkę cukru. Był z tych, którzy woła, żeby miejskim damulkom nie było wygodnie.

Chłopak poszedł po swój „zaprzęg”, a Gordon dowiedział się, że może właściciel małego, białego sklepika kolonialnego znajdującego się po drugiej stronie ulicy przygotowuje dla nich jakąś przekąskę. Weszli więc i odczekali kwadrans w wilgotnym saloniku przystrojonym pogrzebowymi wieńcami i szydełkowymi serwetkami. Tam podano im wspaniałe śniadanie - jajka, kawę, chleb domowego wypieku, doskonałe masło i plaster bursztynowego miodu. Dla obojwojga było to nowe doświadczenie i cieszyli się jak dzieci. Mówili do siebie oczywiście, gdyż gospodyni nie dała im dojść do słowa. Podświadomie oboje sobie współczuli.

Gdy „powóz” zarumienionego młodzieńca zajechał pod drzwi, okazał się po prostu zwykłym wozem z dwoma siedzeniami na sprężynach. Chłopak umieścił się na przednim, nawet nie myśląc o pomocy pasażerom. Gordon wrzucił bagaż na wóz i posadził Celię na tylnym siedzeniu, po czym usiadł za nią, czyniąc ze swego ramienia rodzaj oparcia, aby mogła się czuć bezpieczniej.

Ta przejażdżka z jego ramieniem zamiast oparcia była kolejnym ogniwem w łańcuchu, który coraz ściślej ich oplatał. Celia nieświadomie coraz bardziej się pochylała. Gdy była już zmęczona, Gordon wyczuł to od razu.

- Oprzyj się o moją rękę. Musisz być bardzo zmęczona - mówił o swojej ręce, jakby była z drewna czy żelaza i należała do niego w taki sposób, jak walizka lub parasol. Uważał za oczywiste, że Celia powinna skorzystać z tej propozycji. Gdyby powiedział, że jest to prawem i przywilejem żony, odsunęłaby się natychmiast i siedziałyby przez resztę drogi sztywno jak tyczka, ale ujęta jego taktem skorzystała i stwierdziła, że tak jest o wiele lepiej. W sercu była mu wdzięczna za umożliwienie jej odpoczynku bez konieczności całkowitej zmiany stosunku do niego. Nie było przecież w jego zachowaniu miłości; tylko uprzejmość.

Jednak to silne ramię omal nie zadrżało, czując na sobie tak słodki ciężar, i Gordon zapragnął, żeby droga była dwa razy dłuższa. Raz, gdy Celia pochyliła się w przód, aby wskazać mu szczególnie piękny widok, jaki się roztoczył za zakrętem, wóz wjechał na kamień i nagle podskoczył. Gordon wyciągnął rękę, żeby chwycić dziewczynę, a ona wsparła się na nim z przyjemnym poczuciem bezpieczeństwa. Nieśmiało podniosła oczy i napotkała wzrok Gordona, pełen uwielbienia i... czegoś więcej. Znowu przebiegł ją ten dziwny dreszcz, jak wtedy, kiedy wręczył jej niezapominajki. Przypomniała sobie o listach i poczuła się niemal jak grzesznica. Ale radość tego dnia i szczęście, choć przelotne, po tak długim okresie smutku były tak wielkie, że postanowiła na razie nie myśleć źle o mężu i cieszyć się życiem.

Minęli Sugar Grove i wjechali do Milton, pożegnali się z woźnicą i nagrodzili go szeleszczącą pięciodolarówką. Chłopak wrócił do domu, wspominając uśmiech w oczach jak niezapominajki.

# 10.

Wróćmy teraz do mężczyzny będącego na usługach Holmana, zaskoczonego i szalejącego z wściekłości w swoim przedziale. Rękoma drżącymi z pośpiechu starał się odszukać w kłębowisku pościeli swoje buty i poszczególne części ubrania, co chwila wyglądając na zewnątrz, żeby wiedzieć, w jakim kierunku się udać. Musi odkryć, co tych dwoje zamierza. Co za szczęście, że obudził się na czas. Przynajmniej zostaną ślady. Co to właściwie jest? Stacja?

Na chwilę zaprzestał poszukiwań, aby przyjrzeć się okolicy, która dla jego oczu mieszcza zdawała się pustynią. Ani żadnego domu, ani stacji. Dachy wioski w oddali wydawały się złudzeniem. To nie może być stacja. Więc co tamci robią na zewnątrz? Czy powinien zawołać konduktora i kazać ich zatrzymać? Nie, trzeba działać dyskretnie. Pan Holman powiedział, że ujawnienie sprawy jest gorsze niż śmierć dla wszystkich zainteresowanych. Musi po prostu wysiąść tak szybko jak się da i pójść za nimi. Może uda mu się dopaść mężczyznę w jakimś odludnym miejscu - znalezienie okazji, żeby uciszyć kobietę, nie powinno być trudne. Przy takiej perspektywie czuł się dużo lepiej niż minionego wieczora na kolacji u Holmana. Szkoda, że nie ma żadnego towarzysza. Dla dwóch załatwienie tej parki mięczaków byłoby drobnostką. Był jednak przekonany, że sam poradzi sobie równie dobrze.

Zasapany z pośpiechu pomylił nogawki spodni i musiał zacząć od początku, w czym jeszcze przeszkadzało mu ciągle wyglądanie przez okno.



Potem dał się słyszeć łoskot przejeżdżającego pociągu i sygnał ich własnej lokomotywy. Para uciekinierów szybko przeszła przez drugi tor i spoglądała na strome zbocze nasypu. Czyżby zamierzaali zejść? Co za pech, że nie mógł od razu wyjść za nimi! Kiedy nadjeżdżający pociąg ich minie, ten ruszy, a on wciąż nie jest gotów. Jego szansa ucieka, a on nie może jej gonić bez butów!

Co z tego? Pójdzie boso! Cóż w takiej chwili znaczą buty? Może przecież pójść bez nich, a potem poprosi o coś we wsi albo kupi nowe w jakimś sklepiku. Chwycił płaszcz i wyskoczył z przedziału prosto w ramiona wagonowego, który skończywszy rozmowę z pomocnikiem na temat opóźnienia, spieszył na swoje miejsce.

- Czy coś się stało, proszę pana? - zapytał zaskoczony, szybko jednak się otrząsając i odzyskując właściwe maniere.

- Moje buty! - ryknął rozwścieczony podróżny. - Co zrobiłeś z moimi butami?

- Proszę się uspokoić, obudzi pan cały wagon. Położyłem pana buty pod łóżkiem. Zawsze je tam wkładam po pastowaniu, proszę pana.

Wagonowy nachylił się i wyjął buty zza zastłonki. Pasażer, któremu rzadko zdarzało się podróżować wagonem tej klasy, wyrwał mu je i z butami w ręku rzucił się do drzwi, gdyż odgłosy i szarpnięcia lokomotywy zapowiadały wznowienie podróży, a rozlegający się łoskot świadczył, że ekspres właśnie ich mija.

Niesprawiedliwie potraktowany wagonowy przez chwilę przyglądał się dziwnemu podróżnemu oczyma pełnymi żalu, po czym podszedł, aby mu powiedzieć, że umywalnia jest na drugim końcu wagonu.

Znalazł go stojącego w samych skarpetkach na zimnej żelaznej platformie, z głową wysuniętą przez małe okienko. Drzwi były zamknięte, a schodki wciągnięte, co uniemożliwiło wyjście z wagonu. Pozostało jedynie okienko ponad kratą zabezpieczającą i bosy mężczyzna sprawiał wrażenie, jak gdyby chciał przez nie wyskoczyć, ale zabrakło mu odwagi. Spoglądał na tor z okropnym wyrazem twarzy.

Niemal rzucił się na wagonowego.

- Chcę, żebyś zatrzymał ten pociąg i natychmiast mnie wy-

puścił - wrzasnął. - Zgubiłem na tym torze coś cennego. Pospiesz się, albo zaskarżę koleje do sądu.

- Co pan zgubił? - zapytał kolejarz z szacunkiem. Wydawało mu się, że tamten jeszcze na dobre się nie obudził.

- Mój... mój... bardzo ważne pismo. Dla mnie i kilku innych osób jest ważne majątek. Muszę wrócić i je odnaleźć. Mówię ci, zatrzymaj natychmiast ten pociąg, albo wyskoczę.

- Nie mogę tego zrobić, proszę pana. Musi pan porozmawiać z konduktorem, ale obawiam się, że nie możemy się zatrzymać przed stacją docelową. Mamy godzinę opóźnienia i musimy je nadrobić przed Buffalo.

Mężczyzna szalał i awanturował się, póki nie zobaczył w drzwiach przedziałów zaspanych twarzy innych podróżnych. Wagonowy był jednak nieugięty i nie zgodził się zatrzymać pociągu ani nawet zawołać konduktora, zanim kłopotliwy pasażer nie wróci na swoje miejsce.

Choć nie był przyzwyczajony do posłuszeństwa komukolwiek, zrozumiał, że sam wszystko komplikuje i w końcu pobiegł do przedziału. Pospiesznie rozsunął zasłony i zaczął obserwować tor oraz znikającą w oddali zieloną dolinę. Ledwie dostrzegł dwie poruszające się plamki na białej wstążce drogi. Był pewien, że wie, w jakim kierunku się udadzą. Gdyby tylko zdołał wysiąść z pociągu, odnajdzie ich bez trudu, gdyż nie wiedząc o jego obecności, nie będą dość ostrożni. Gdyby obudził się kilka minut wcześniej, nie straciłby ich z oczu nawet na moment.

Kłócił się z konduktorem całe dziesięć minut, używając języka zupełnie nie idącego w parze z eleganckim ubraniem, nie osiągnął jednak nic prócz obietnicy, że będzie mógł wysiąść przy oddalonej o dziesięć mil wieży ciśnień, gdyż będą musieli nabrać wody. Kolejarz stwierdził, że ma swoje rozkazy, a ten podróżny nie budził ani zaufania, ani współczucia. Niech sobie idzie do sądu, jeśli chce. On dość długo już pracuje na kolei, żeby wiedzieć, kiedy zatrzymać pociąg.

Nagle krępy pasażer zgodził się na wszystko i zaczął się przygotowywać do wyjścia przy wieży ciśnień. Kończąc pośpiesznie toaletę, obserwował okolicę, szukając charakterystycznych miejsc.

Ponieważ poprzedniej nocy ominęło go wiele przyjemności, do których był przyzwyczajony, a i teraz nie czekały go ani przyjemności, ani nawet zwykłe śniadanie, nie był najlepiej usposobiony. Już na samą myśl o dziesięciomilowym spacerze po kamieniach bolały go wszystkie mięśnie. Ale przecież nie będzie musiał iść aż tak daleko, żeby znaleźć jakiś samochód czy powóz. Wyrzął przez okno, próbując zlokalizować jakiś warsztat czy stajnię, ale zobaczył tylko rzekę okoloną szarozielonymi wierzbowymi frędzlami wśród szmaragdowej trawy. Jedynymi żywymi istotami były pasące się gdzieś krowy. Ani jednego konia, którego mógłby „pożyczyć” bez wiedzy właściciela. Co za dziwne, przekłete miejsce! Dziesięć mil i ani żywej duszy! W obu kierunkach widać było wioski, ale wszystkie zbyt oddalone, żeby szukać w nich pomocy. Zaczynało mu się wydawać, że będzie musiał przejść tych dziesięć mil piechotą.

Przyszło mu do głowy, żeby zjeść śniadanie w wagonie restauracyjnym, ale w tej samej chwili konduktor zapowiedział, że za dwie minuty dojadą do przystanku i musi być gotów, gdyż nie będą długo czekać.

Stojąc samotnie na nasypie i obserwując okolicę, musiał wyglądać zupełnie niegroźnie. Oddalony o dziesięć mil od swojej ofiary, sam wśród nie kończących się torów i zwrotnic, miał wrażenie, że połyskująca rzeka w dolinie drwi z niego, a niebo nad głową aż drży ze śmiechu. Ruszył, wściekły na cały świat, nie umiając pozbierać myśli. Najgorsze, że to wszystko z jego winy. Nie powinien był zasnąć. Przeraził się, że stracił swoją szansę. Mimo to zacisnął zęby i szedł dalej.

Poranne słońce stawało się coraz gorętsze. Kolejne pociągi mijały go, pędząc niemiłosiernie. Zmęczony, blady i potwornie spragniony dotarł w końcu do miejsca, z którego uciekła jego ofiara. Wciąż było widać ślady zejścia młodej pary ze żwirowego nasypu. Ześlizgując się z niego, natknął się na zahaczony o gałązkę płózających się jeżyn strzępek purpurowego jedwabiu.

Sapiąc i dysząc posiniaczony i obolały wędrowiec usiadł na tym samym miejscu, gdzie Gordon zajmował się pantofelkami Celi. Mimo zmęczenia odczuwał triumf i po kilku chwilach odpoczynku dzielnie ruszył dalej. W najbliższej wiosce powi-

nien znaleźć transport, jedzenie i informacje o tych, których szuka. Złapie ich jeszcze. Nie uda im się go zgubić. Choć nieco spóźniony, znowu jest na tropie. Jeszcze dostanie i ich, i nagrodę.

Prawie u kresu sił dotarł w końcu do wioski i posilił się dużą porcją zupy jarzynowej i wołowiny w dziwnym domku, w którym wcześniej Gordon i Celia jedli śniadanie. Jednak starsza pani, która je im podała, teraz nie odzywała się wiele i choć przyznała, że rano gościła u niej pewna para, nie powiedziała ani słowa o ich wyglądzie. Może byli młodzi, eleganccy i mieli kapelusze z piórami, a może i nie. Nigdy nie zajmował jej wygląd klientów, o ile zachowywali się przyzwoicie i płacili rachunki. Może jeszcze filiżankę kawy? Wypił kawę i zjadł jeszcze dwa kawałki ciasta, ale nie dowiedział się niczego więcej.

W końcu w poszukiwaniu czegoś mocniejszego niż kawa dotarł do sklepu za rogiem i tam szczęście się do niego uśmiechnęło.

Wszyscy wioskowi próźniacy byli na swoich miejscach. Było to ich jedyne, opanowane do perfekcji zajęcie. Z zainteresowaniem przyjrzeni się obcemu i usadowili się z powrotem na baryłkach i pudłach, ciesząc się tą rozrywką, jaką niebo zesłało w ich monotonne życie.

Po długim spacerze w kurzu i upale detektyw nie wyglądał najlepiej. Pognieciony cylinder zsunął mu się na tył głowy. Co więcej, nosił wyraźne ślady spotkania ze zwirowym nasypem. Kołnierzyk był przepocony, biały krawat zwisał smętnie, płaszcz był odwrócony na lewą stronę, a pokryte kurzem lakiery tak mu dokuczały, że kulał jak prawdziwy włóczęga.

- Może który z was widział, czy szedł tędy młody facet z kobietą? - zapytał, zapalając cygaro, które miało mu dodać sił na dalszą drogę.

Ktoś mruknął, że może i byli tu tacy. Nie wydawał się chętny do współpracy, ale inny łaskawie dodał, że „Joe, ten tam, zabrał rano jakąś parkę do Milton. Ledwo co wrócił. Może on coś wie”.

Joe zmarszczył brwi. Wciąż miał w pamięci oczy jak niezapominajki, a ten człowiek mu się nie podobał.

Obcy natychmiast poprosił o odwiezienie do Milton, a gdy dowiedział się, że jest tam stacja kolejowa, zaoferował niechętnemu woźnicy dziesięć dolarów. Kilka kolejnych pytań upewniło go, że ten, którego szuka, udał się właśnie do Milton.

Joe targował się, mówiąc, że koń jest zmęczony i że nie będzie robił drugi raz tego dnia tej samej drogi, ale w końcu zgodził się pojechać za piętnaście dolarów i odszedł, żeby poszukać innego konia. Nie miał zamiaru się spieszyć. Właśnie wymyślił, jak pozwolić tamtej „parce” spokojnie odjechać, nie tracąc piętnastu dolarów. Powinno wystarczyć na pierścionek, który przyrzekł swojej dziewczynie.

Po jakimś czasie Joe spokojnie podjechał pod sklep i niecierpliwymi podróżnymi wdrapał się na wysokie siedzenie. Pożegnali ich apatyczne spojrzenia zebranych, którzy nawet nie mrugnęli okiem, widząc, że Joe kieruje się do Ashville. Tą trasą do Milton było jakieś trzydzieści mil. Przynajmniej będzie to przejażdżka warta takich pieniędzy. Gdy wóz zniknął za rogiem, na twarzach zebranych wykwitły uśmiechy. Po chwili ciszy jeden ze starych wyjadaczy zaczął:

- Myślicie, że to ich szofer?

- E tam! - wykrzyknął jakiś młodzik. - Taki lalusz? To pewnie bogaty tatuś goni panienkę, co uciekła z domu. Joe zdaje się nie dać ich szybko złapać. Zanim ojczulek zdąży się wtrącić, już będzie po wszystkim - chłopak co drugi tydzień jeździł do Milton do „kinematografu” i był uważany za eksperta w sprawach sercowych. Cisza wskazywała, że jego teoria zrobiła wrażenie na słuchaczach.

- Joe zdaje się myśleć, że czasem najdłuższa droga najwięcej daje - stwierdził stary. - Nigdy nie lubił takich nadzianych facetów... A jaka wam się zdała ta panienka? Wcale nie była podobna do ojca.

- Pewnie była na pensji - oświadczył chłopak. - Wszystkiego tego ich tam uczą.

- A dobrze mu tak. Wysłała dziewczynę na jakąś głupią pensję, kiedy powinna się uczyć gospodarzyć w domu. Chyba się jej jakoś ułoży z tym jej - rzucił ponuro stary i reszta zaśmiała się półgębkiem, a potem rozeszła. Po tak pełnym

napięcia dniu potrzebowali odpoczynku, a poza tym chcieli opowiedzieć nowiny w domach, zanim ubiegną ich sąsiedzi.

W tym czasie Gordon i Celia zwiedzali Milton, nie zdając sobie sprawy ani z bliskiego niebezpieczeństwa, ani z istnienia anioła stróża o imieniu Joe.

Okazało się, że pociąg do Pittsburgha odchodzi około trzeciej po południu. Gordon wysłał zaszyfrowany telegram do szefa, zapewniając go, że wiadomość jest bezpieczna i że dotrze do Waszyngtonu najszybciej, jak to możliwe. Potem zabrał Celię do restauracji, gdzie usiedli na wysokich barowych stołkach i z niezwykłym apetytem zabrali się niemal do wszystkiego, co było w menu - zupy z kukurydzy, rostbefu, pieczonego pstrąga, duszonych pomidorów, sałatki, kremu, jabłek i ciastek z bakaliami wraz z filiżanką dobrej kawy i domową śmietanką.

Zjedli obiad w bardzo przyjemnej atmosferze. Celia czuła, że w jakiś dziwny sposób wszystkie wspomnienia na razie zniknęły i mogła cieszyć się teraźniejszością bez konieczności rozwiązywania problemów i podejmowania trudnych decyzji. Do przyjazdu pociągu byli po prostu dobrze się bawiącą parą młodych ludzi.

Po posiłku wybrali się na krótki spacer do malutkiego parku ze stawem siedem na dziewięć metrów i dwoma kaczkami oraz drewnianym mostkiem, na którym zakochani wycinali swoje inicjały. Gordon wyjął scyzoryk i od niechcienia wyciął C.H. w grubej korze pnia, który służył za poręcz. Celia obserwowała go, siedząc na ławce. Rozważała fakt, że wyciął jej inicjały zamiast swoich. Dawniej George nawet by o tym nie pomyślał. I umieścił tylko jedno H. Pewnie myślał o niej już tylko jako o Celii Hayne, bez Hathaway, albo był tak jeszcze przyzwyczajony do jej panińskiego nazwiska, że zrobił to bezmyślnie.

Te listy! Wciąż ją prześladowały, psując każdą miłą chwilę, którą chciała choć na krótko się cieszyć.

Oboje milczeli, on zajęty inicjałami, ona pogrążona w myślach. Gordon skończył C.H. i zaczął wycinać drugie C, ale zamiast postawić następne H, uważnie wyciął w drzewie G. Dlaczego? CG.? Kim jest CG.? Och, co za głupota! George, naturalnie. Zaczął C przez pomyłkę. Nie dodał jednak spodzie-

wanego H, złożył scyzoryk, przykrył litery dłonią i przechylił się przez poręcz.

- Może kiedyś tu wrócimy i przypomnimy to sobie - powiedział, po czym pomyślał, że nie ma prawa do takich wspomnień.

- Och! - spojrzała mu w oczy zaskoczona i zakłopotana. W jej wzroku wciąż czaił się strach.

Gordon zauważył to; zauważył i zrozumiał. Teraz jego oczy wyrażały głębokie pragnienie pocieszenia jej.

Wzrok Gordona mówił więcej niż on sam chciał powiedzieć. Po raz trzeci tego dnia Celia odczuła dreszcz dziwnej radości, której się obawiała i chciała jakoś pozbyć.

Trwało to tylko chwilę, ale obie twarze się ożywiły i Gordon poczuł, że musi natychmiast zmienić temat.

- Spójrz na te rybki w dole - rzekł, wskazując na staw.

Przez łzy Celia zdołała dojrzeć w smudze słonecznych promieni jak w świetle latarki chmurę drobnych rybek ze spiczastymi płetwami.

Przesunęła dłoń wzdłuż poręczy, żeby móc się bardziej pochylić, i jej palce dotknęły ręki Gordona. Nie może szybko się odsunąć, bo go urazi; nie wiedziała dlaczego, ale nie mogła... nie chciała sprawić mu przykrości. Nie teraz! Dwie dłonie przez całą minutę leżały obok siebie i Gordon miał wrażenie, że obsypują go różane płatki. Nigdy nie było mu tak słodko. Pragnął chwycić tę rękę i poczuć jej puls, jak poprzedniego wieczora w kościele, ale przecież Celia nie była jego. Nie wolno mu jej tknąć. I tak, gdy dowie się, jak ją oszukał, już nigdy więcej na niego nie spojrzy.

Przez tę jedną chwilę czuli doskonale, że ich dusze skłaniają się ku sobie, że nie ma nic słodszego nad wzajemne dotknięcie i że oboje pragną poznać się i zrozumieć.

Potem rozległ się ostry gwizd i na drodze na most pojawił się parobek z grabiami i workiem siana na ramieniu. Natychmiast odsunęli się od siebie i Celia poczuła, że niewiele brakowało, a zaparłaby się swego prawdziwego „ja”.

W ciszy wrócili na stację, oboje pogrążeni w myślach i rozpamiętywaniu tej jedynej chwili spędzonej w prawdziwej bliskości.

Stacja była pełna ludzi. Z ich rozmów można było wywnioskować, że wracają z jakiegoś rodzinnego spotkania, a mówili dużo i głośno. Nasi podróżni stali, gdyż wszystkie miejsca były zajęte, i nie byli w stanie dosłyszeć się nawzajem. Wymieniali jedynie uśmiechy i krótkie uwagi na temat tego, co działo się dokoła.

Coś ich od siebie oddzielało. Każde zamknęło się w swojej skorupie. Gordon pragnął jakoś temu zapobiec, ale okazał się bezsilny. Celia uśmiechała się, gdy się do niej zwracał, ale ten uśmiech zdawał się dochodzić z daleka, tak jak wczesnym rankiem. Wróciła na swą dawną, ogrodzoną uprzedzeniami pozycję i naprawiała teraz szczeliny, przez które wyciągnęła rękę do wroga. Podtrzymywała swoją wolę gorzkimi wspomnieniami i urywkami listów, które miała głęboko wyryte w pamięci. Nigdy, przenigdy nie będzie się przejmować człowiekiem, który zrobił coś takiego. Jakże mogła zapomnieć o wszystkich potwornościach, które napisał o jej kochanym ojcu? Jak mogła pozwolić, żeby jej dłoń leżała obok dłoni zbrukanej taką podłością!

Zanim wsiedli do pociągu, Celia zachowywała się tak oziębło, że Gordon myślał tylko o tym, czym mógł ją obrazić. Przecież ich dłonie nie spotkały się na poręczu z jego winy. Sama położyła tam swoją. Może spodziewała się, że ją uściśnie, aby pokazać, że mu na niej zależy jak prawdziwemu mężowi - co było zresztą prawdą, ale do czego nie miał prawa. Może uraziło ją, że zachował się tak chłodno i nawet nie odezwał. Nie mógł się przecież zdobyć na więcej.



Na szczęście w składzie pociągu była salonka, prawie pusta, jeżeli nie liczyć głuchego staruszka, który chrapał w przeciwnym końcu przedziału. Gordon posadził Celię wygodnie, pozbył się bagażu i usiadł obok, ale dziewczyna nawet nie zwróciła na niego uwagi. Z zaciętymi ustami wyglądała przez okno, zdając się niczego nie zauważać. Spędziła tak dwie godziny, zbywając krótko jego uwagi lub wcale nie odpowiadając, póki nie zamilkł, przejęty jej stanem. W końcu, kiedy już wjeżdżali na przedmieścia Pittsburga, pochylił się i dotknął jej rękawa, aby zechciała wreszcie poświęcić mu nieco uwagi.

- Czy zrobiłem ci jakąś przykrość? - zapytał cicho. Celia zwróciła na niego pełne łez oczy.

- Nie - odrzekła drżącymi wargami. - Nie, byłeś bardzo... miły... ale... nie mogę zapomnieć tamtych listów! - zakończyła z płaczem i szybko zakryła usta chusteczką, żeby go stłumić.

- Listów? - zapytał nie rozumiejąc. - Jakich listów?

- Listów, które do mnie pisałeś przez ostatnie pięć miesięcy. Nie mogę ich zapomnieć! *Nigdy* nie będę w stanie! Jak możesz w ogóle się tego spodziewać?

Popatrzył na nią z niepokojem, nie wiedząc, co powiedzieć, choć coś musiało zostać powiedziane. Nadszedł wreszcie czas na jakieś zrozumienie, wyjaśnienie faktów. Najpierw musi ostrożnie wy badać, o co chodzi. Nie może dłużej patrzeć, jak ona się męczy. Jakoś musi ją przekonać, że nie chce, by cierpiała z jego powodu i że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby zachować jej dobre imię i pozycję w świecie.

Ale listy? Nie pisał żadnych listów. Nagle zrozumiał coś, o czym nawet nie ośmielał się myśleć - Celia wciąż uważa go za mężczyznę, którego zamierzała poślubić. Było to dziwne, niemal niewiarygodne, ale najwyraźniej prawdziwe. To nie on sam był przyczyną chmury na jej czole. Nie wiadomo, jak będzie się czuła, gdy już dowie się wszystkiego, ale na razie Gordon odczuł wielką ulgę. Mimo to pewne rzeczy trzeba wyjaśnić.

- Listy! - powtórzył bezmyślnie, po czym dodał jak gdyby zaskoczony:

- Czy mogłabyś mi wyjaśnić, co w tych listach tak cię uraziło?

Oczy Celi wyrażały niemal osłupienie.

- Jak możesz pytać? - powiedziała z wyrzutem. - Musisz wiedzieć, jakie to było dla mnie potworne! Nie możesz być taki, jaki mi się dzisiaj wydałeś, jeżeli nie zdawałeś sobie sprawy z tego, jaką krzywdę mi wyrządzasz swymi pogroźkami. To było okrucieństwo.

- Wybacz, ale nie rozumiem - zapewnił gorąco, a jego oczy wyrażały coraz większe zakłopotanie. - Czy nie możesz mówić bardziej otwarcie? Co właściwie takiego napisałem, co wydało ci się pogroźką?

Zadając to pytanie, zawahał się, gdyż nie był pewien, czy wolno mu uzyskiwać prywatne informacje, udając kogoś innego, ale poczuł, że aby pomóc, musi się dowiedzieć przyczyny jej smutku. Wiedział już, że nikomu obcemu nie wyznałaby swoich sekretów nawet na torturach. Teraz może mu wszystko wyznać z czystym sumieniem, biorąc go za człowieka, który i tak o tym wiedział.

Wahanie nadało jego twarzy wyraz zakłopotania, a chęć dowiedzenia się o jego własnych przewinieniach zaintrygowała Celię bardziej niż wszystkie poprzednie wydarzenia.

- Nie rozumiem, jak możesz o to pytać, skoro nasze listy nie dotyczyły niczego innego! - odpowiedziała ostrym tonem i otarła łzy. Jeszcze chwila, a wpadnie w gniew z powodu tego rzekomego nieporozumienia. Była pewna, że on doskonale wie, o co chodzi.

- Bardzo cię proszę - rzekł cicho - uwierz, mam swoje powody.

Spojrzała na niego zaskoczona. Nie można się było gniewać na kogoś z tak miłymi oczyma, nawet jeżeli głupio się przy czymś upierał.

- Cóż, skoro chcesz, żebym ci to wytłumaczyła jeszcze raz, mogę to zrobić - oświadczyła, czując napływającą pod powieki nową falę łez. - Najpierw zażądałeś, żebym za ciebie wyszła - zażądałeś, nawet nie udając, że ci na mnie zależy - z ukrytą groźbą, że ciężko pożałuję odmowy. Wzięłeś mnie za tę samą głupiotką dziewczynkę, z którą się zawsze droczyłeś przed wyjazdem za granicę. Kiedy odmówiłam, napisałeś, że nie tylko jesteś w stanie odebrać mojej matce cały odziedziczony

po bracie majątek, na podstawie testamentu sporządzonego przez niego przed samą śmiercią, a znanego tylko notariuszowi i tobie, ale także okryć hańbą pamięć mojego ojca i dowieść, że wszystko, co należy do naszej rodziny, pochodzi z kradzieży i spekulacji. Kiedy oświadczyłam, że nigdy nie zdołasz udowodnić memu kochanemu ojcu czegoś takiego, posunąłeś się dalej i napisałeś, że wyjawisz wszystko i przedstawiś zaprzysiężonych świadków. Dobrze wiedziałeś, że mój ojciec był człowiekiem honoru i że wszystkie twoje oskarżenia to stek bzdur, a mimo to ośmieliłeś się przesłać mi list od jakiejś kobiety, która utrzymywała, że była pierwszą żoną mojego ojca i że może udowodnić, iż większą część swojego czasu spędzał w jej towarzystwie. Wiedziałeś, że i to jest kłamstwem, ale oświadczyłeś, że prześlesz ów list do gazety, jeśli za ciebie nie wyjdę. Byłeś świadomy, że taka notatka w prasie, choć niewiele by w nią uwierzyło, a na pewno nikt spośród przyjaciół, złamałaby życie mojej matce. Wiedziałeś, że poświęcę wszystko dla jej ratowania i w ten sposób trzymałeś mnie w ciągłym szachu. Dopiąłeś swego. Zawsze chciałeś zmusić mnie do posłuszeństwa dla samej przyjemności sprawiania mi bólu. Teraz mnie masz, ale nie możesz wymazać swoich czynów z mojej pamięci. Oddałam ci życie, ale nie dam już nic więcej. Jeżeli to ci nie wystarczy, będziesz musiał uciec się do najgorszego.

Zakryła twarz mokrą chusteczką. Blady jak ściana Gordon siedział z zaciśniętymi dłońmi. Cały aż trząsał się z pogardy dla szubrawca, który ośmielił się tak dręczyć tę delikatną kobietę. Pragnął go odnaleźć, choćby na końcu świata, i oddać, co mu się należy.

A co on powinien teraz zrobić czy powiedzieć? Czy ośmieli się od razu wyjaśnić, kim jest, ufając, że jej dobre serce wybaczy to straszliwe głupstwo i zechce zachować tajemnicę, dopóki misja nie zostanie wypełniona? Czy się odważy? I czy ma do tego prawo? Nie, to nie jest jego tajemnica i nie ma prawa jej wyjawić ani dla własnego, ani czyjegoś dobra. Musi zachować wszystko dla siebie. Ale przecież musi też jej pomóc.

W końcu zaczął, sam nie wiedząc, co powiedzieć:

- To, co usłyszałem, jest potworne, po prostu potworne. Napisanie ci czegoś podobnego - właściwie napisanie tego komukolwiek - jest niewybaczalne. Nigdy dotąd nie słyszałem o takim okrucieństwie. W pełni rozumiem twoją nienawiść i pogardę dla człowieka, który był do tego zdolny.

- Więc dlaczego to zrobiłeś? - wybuchnęła. - I jak możesz siedzieć tu tak spokojnie i mówić o całej sprawie w taki sposób, jak gdybyś nie miał z nią nic wspólnego?.

- Ponieważ nie napisałem tych listów - zapewnił, patrząc jej prosto w oczy.

- Nie napisałeś! Ośmielasz się zaprzeczyć? - zawołała rozgorączkowana.

- Ośmielam się zaprzeczyć - oświadczył spokojnie, szczerze i przekonująco.

Spojrzała na niego oszołomiona, zarazem oburzona i pełna żalu.

- Przecież nie możesz zaprzeczyć - powiedziała, drżąc ze zdenerwowania. - Mam przy sobie wszystkie listy. Są w walizce. To twoje pismo. A ostatni, ten najgorszy, w którym groziłeś zbezczeszczeniem pamięci ojca, noszę w torebce. Nie odważyłam się odłożyć go z pozostałymi, a nie miałam okazji, żeby go zniszczyć przed wyjazdem z domu. Zdawało mi się, że muszę zawsze mieć go przy sobie, bo inaczej potworna tajemnica jakimś sposobem wyjdzie na jaw. Oto on. Przeczytaj go sobie. Pod słowami, których podobno nie napisałeś, widnieje twój podpis!

Mówiąc to, drżącymi palcami wyjęła z torebki złożony na pół i pomięty list, który położyła na poręczy fotela Gordona.

- Czytaj - rzekła. - Czytaj, a sam zobaczysz, że nie możesz się tego wyprzeć!

- Wolałbym nie. Nie muszę go czytać, żeby stwierdzić, że nigdy czegoś takiego nie napisałem.

- Nalegam, żebyś przeczytał.

- Jeżeli tego chcesz - powiedział, niechętnie otwierając kopertę.

Celia ukradkiem spoglądała na niego przez łzy i zauważyła, jak czerwieni się z gniewu nad nikkzemnością autora tego krótkiego, ordynarnego i okrutnego listu. Uznała ten rumieniec za oznakę wstydu.

Po chwili szczere brązowe oczy Gordona napotkały jej płonący oburzeniem wzrok.

- I ty myślisz, że ja to napisałem? - w tym pytaniu zabrzmiało coś, czego nie rozumiała.

- Co innego mogłabym myśleć? Podpisałeś się przecież - odparła zimno.

- Ten list jest ohydny, a jego autor to łotr zasługujący na najwyższą karę, jaką prawo przewiduje w takich przypadkach. Jeżeli pozwolisz, dopilnuję, żeby dostał, co mu się słusznie należy.

- Co to znaczy? - spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma. - Jak możesz ukarać samego siebie? Nie możesz wciąż zaprzeczać, że to nie ty napisałeś ten list.

- Twierdzę, że nie tylko go nie napisałem, ale i nie widziałem do chwili, kiedy mi go dałaś.

Celia przyjrzała mu się zakłopotana i na przekór rozsądkowi prawie przekonana, że mówi prawdę.

- A twoje pismo?

- Nie jest moje. Spójrz!

Wyjął wieczne pióro i rozłożywszy list, napisał szybko jej nazwisko i adres pod adresem na kopercie.

- Czy są podobne?

Dwa charaktery pisma różniły się diametralnie - pierwszy adres trudno było odczytać, z drugiego można było wywnioskować silny charakter autora i zdolność do interesów. Nawet dziecko powiedziałyby, że nie mogły być napisane tą samą ręką - choć, naturalnie, oszust mógł to specjalnie wyćwiczyć. Ta myśl nasunęła się obojgu, gdy tylko Gordon pokazał Celi kopertę.

Dziewczyna przenosiła wzrok z listu na jego oczy i z powrotem, zaskoczona i zdezorientowana.

Zanim jednak którekolwiek z nich zdążyło się odezwać, przez wagon pospiesznie przeszli konduktor, bagażowy i kilkorok pasażerów. Dopiero teraz zauważyli, że pociąg stoi już na wielkim i rzęsiście oświetlonym dworcu.

- Chyba dojechaliśmy do Pittsburgha - zdziwił się Gordon.

- Czy to Pittsburgh? - zawołał za znikającym bagażowym.

- Tak, proszę pana! - odrzyknął tamten, wysuwając głowę

zza zakrętu korytarza. - Lepiej niech się pan pospieszy, bo zaraz odjeżdżamy do Cincinnati. Już mamy spóźnienie.

Żadne z nich nie dostrzegło mężczyzny w codziennym ubraniu i zdefasonowanym kapeluszu, z rękoma w kieszeniach; wsiadł on kilka mil przed Pittsburghiem i co jakiś czas przechodził przez wagon, pilnie się im przyglądając. Teraz ukradkiem wysunął głowę przez drzwi i za moment znowu zniknął z pola widzenia.

Gordon szybko pozbierał bagaże. Kiedy doszli do drzwi wagonu, pojawił się bagażowy, mając nadzieję na ostatni napiwek. Zagubieni w tłumie, nie mogli dalej rozmawiać, póki bagażowy nie ustawił ich walizek w wielkiej hali dworca. Mężczyzna w nieeleganckim kapeluszu trzymał się z tyłu, wciąż nie zauważony.

Gordon spojrział na bladą, mizerną twarzyczkę dziewczyny i serce zabiło mu współczuciem. Musi natychmiast wyjaśnić jej sytuację i zapewnić spokój. Niestety, wszystkie miejsca dookoła były zajęte, a sąsiedzi rozprawiali głośno, nachylił się więc tylko i wyszeptał czule:

- Nie martw się, kochanie! Spróbuj mi zaufać, a wszystko ci wytłumaczę.

- Możesz to wytłumaczyć? - zapytała z nadzieją, jak gdyby łąpała się liny ratowniczej.

- Każdy szczegół - zapewnił - o ile będziesz cierpliwa i zaufasz mi. Ale nie możemy tu rozmawiać. Poczekaj tutaj, a ja sprawdzę, czy uda nam się dostać przedział w sypialnym.

Odchodząc ukłonił się wytwornie. Celia z mieszanymi uczuciami obserwowała jego wysoką, zgrabną sylwetkę, gdy zmierzzał wśród tłumu do okienka linii kolejowych Pullmana. Wbrew rozsądkowi w jej sercu budziła się nadzieja lepszej przyszłości. Mimo woli zaufała Gordonowi. Zresztą w tej chwili nie miała innego wyjścia.

# 12.

Godzinę wcześniej, kiedy właśnie zapadał zmrok i nad horyzontem zawisł cienki łuk księżyca, do Milton doczłapał koń zaprzęgnięty do wozu z dwoma siedzeniami. Po objechaniu prawie całej okolicy zatrzymał się wreszcie przed stacją kolejową.

Słońce przez cały dzień paliło, droga nie była najlepsza, a urozmaicały ją jeszcze wyboje i kamienie. Wszystko to „uprzyjemniało” podróż krępego najemnika Holmana, już przedtem dostatecznie zmęczonego i posiniaczonego. Joe gadał niezmordowanie. Omówił już wiele zagadnień, rozwodząc się nad uprawą gryki i rdzą, która prawdopodobnie zniszczy drzewa czereśniowe. Wskazywał miejsca, w których gnieźdzą się grzechotniki i opowiadał mrożące krew w żyłach historie o niedźwiedziach-samotnikach i dzikich kotach zabłąkanych w klonowym zagajniku, przez który przejeżdżali, aż pasażer zaczął ukradkiem oglądać się za siebie i prosić, żeby nieco przyspieszyli.

Widząc jego łatwowierność, Joe zaczął wymyślać jeszcze smakowitsze opowiadki, gdyż podróżny, w mieście odważny jak lew, w tym obcym mu świecie czuł się zupełnie zagubiony.

Kiedy spojrzawszy na zegarek, kazał Joemu pognać konia i zapytał, jak daleko jeszcze do Milton, woźnica tak pokierował wozem, że koń potknął się na jakimś szczególnie kamienistym odcinku. Wtedy chłopak zsiadł z kozła, z poważną miną obejrzawszy każde kopyto i pokiwał głową nad lewą przednią nogą.

- Takem się spodziewał - stwierdził sennym głosem. - Od-

bite! Koń mi okulał! Nie powinniśmy jechać dalej. Przykro mi, ale szkapa całkiem by się zmarnowała. Mam nadzieję, że się panu nie spieszy.

Wzburzony pasażer obiecał podwoić stawkę, jeśli Joe znajdzie innego konia i szybko pojedzie dalej, aż w końcu po długiej dyskusji chłopak poddał się i oświadczył, że spróbuje jeszcze ze swoim, ale nie można zbyt wiele od niego wymagać. Trzeba pozwolić mu iść własnym tempem. Pod żadnym pozorem nie mógłby wynająć innego konia i zostawić gdzieś tego, który należy do jego najlepszego przyjaciela. Przynależał, że odprowadzi go do stajni całego i zdrowego. Trzeba po prostu dać mu czas, a może wytrzyma. Gdyby nie dodatkowe pieniądze, na których, czego nie ukrywa, bardzo mu zależy, wcale by nie ryzykował.

Tak więc niecierpliwy podróżny włókł się drogą pełną kurzu, który zupełnie przesłaniał wspaniałość tego wiosennego popołudnia. Podróż zdawała się nie mieć końca. Co kawałek Joe zeskakiwał z kozła i oglądał nogę konia, który korzystając z tej nagłej dbałości, rozglądał się ciekawie na boki, tak jak i pasażer, który dotarł w końcu do Milton w dziesięć minut po odejściu ostatniego pociągu.

Na szczęście telegraf był jeszcze czynny. Podróżny bez targu zapłacił trzydzieści dolarów za najdłuższą przejażdżkę w swoim życiu i zniknął na stacji. Joe zaciął swego ukochanego konia batem, zagwizdał wesoło i z tętentem kopyt, dziwnym jak na kulawego konia, pomknął na skrót do domu. W niecałą godzinę później siedział już przy kolacji, a koń cudownie wyzdrowiał. Joe zastanawiał się, jak jego dziewczyna wyglądałaby w kapeluszu z purpurowymi piórami i zaśmiał się, myśląc o swoich trzydziestu dolarach.

Zadziwiające było, czego ów krępy mężczyzna potrafił dokonać, kiedy już dostał się do telegrafu. W niecałe trzy minuty po swoim przyjeździe wydobył z kasjera informację, że para odpowiadająca podanemu rysopisowi kupiła bilety do Pittsburga i odjechała popołudniowym pociągiem. Kasjer zwrócił na nich uwagę, gdyż wyglądali na miastowych. Szczególnie rzucały mu się w oczy nigdy wcześniej nie widziane purpurowe pióra. Gdy tylko miał wolną chwilę pomiędzy wydawaniem



biletów i nadawaniem telegramów, przyglądał się nieznajomej parze przez swoje brudne okienko. W Milton nie noszą takich kapeluszy.

Za dziesięć minut jedna wiadomość biegła już do Pittsburgha do serdecznego przyjaciela, z którym należało utrzymywać kontakty ze względu na różne nieprzewidziane sytuacje jak ta. Drugi telegram zaznajamiał Holmana z najważniejszymi faktami. Trzeci dotarł do innego znajomego trzydzieści mil na północ od Pittsburgha; nakazywał mu wsiąść do popołudniowego ekspresu, odnaleźć opisaną parę i śledzić ją aż do celu podróży, a jednocześnie próbować skontaktować się w mieście z drugim współnikiem.

Oczekując na odpowiedzi, zjadł kanapkę z szynką, obficie przepłukując gardło „wodą ognistą”, a kiedy był już pewien, że wszystko ruszyło, wynajął samochód i popędził drogą przez pola, aby złapać nocny ekspres do Pittsburgha. Wedle jego zaleceń złodzieja szyfru i jego towarzyszkę miano zatrzymać w mieście do jego przyjazdu. Nie wątpił, że rozkaz zostanie wykonany. Był bowiem absolutnie pewien, że śledzi właściwego człowieka i że jego przyjaciele z ochotą wywiążą się z tego zadania.

Dworzec w Pittsburghu był kompletnie zatłoczony przez jakichś wycieczkowiczów. Zapowiadano kolejne pociągi specjalne i grupy ludzi wybiegały z poczekalni, robiąc miejsce następnym. Wszyscy pchali się na siebie, śmiejąc się i głośno rozmawiając. Widziało się głównie mężczyzn, choć nie brakło także kobiet i dzieci. Hałas i bałagan denerwował wyczerpaną własnymi przeżyciami Celię. Pragnęła położyć się i zasnąć, ale na razie wciąż siedziała na twardej ławce zewsząd otoczona ludźmi. Jakiś nieprzyjemny mężczyzna w zdefasonowanym kapeluszu przysuwał się coraz bliżej. Wyglądał odpychająco.

Gordon musiał długo czekać, zanim udało mu się dostać upragniony przedział. Wracał właśnie do Celi, gdy w tłumie mignęła znajoma twarz prywatnego detektywa, dobrze znanego w Waszyngtonie, choć właściwie pracował w Nowym Jorku.

Do tej chwili nie pomyślał nawet, że mogą na niego czekać aż tak daleko na zachód. Tamtemu narzeczonemu nie przyszło-

by do głowy, żeby szukać ich tutaj, a ludzie Holmana na pewno nie pozwolą nagłośnić zniknięcia Gordona, aby przy okazji nie wyszły na jaw ich powiązania z kradzieżą szyfru wagi państwowej. Muszą go szukać dyskretnie, a chyba bardzo im zależy na jego odnalezieniu, skoro przewidzieli jego powrót do Waszyngtonu przez Pittsburgh. Ten człowiek w tłumie jest najlepszy do takich spraw, niezwykle sprytny i na pewno jakoś powiązany z kliką Holmana. Gordon znał szczegółowo jego metody i nie zamierzał wpaść mu w ręce.

Nie mógł określić, czy już go zauważono, ale z zachowania detektywa, który kręcił się dokoła, udając, że go nie poznaje, wnioskował, że tak. Nie ma ani chwili do stracenia. Przedział odjedzie pusty. Muszą wydostać się na wolność. Wolność! Liberty! Dworzec East Liberty! Jakim dziwnym narzędziem jest ludzki umysł! Gordon znał Pittsburgh bardzo słabo, ale pamiętał, że kiedyś wsiadł do pociągu na dworcu East Liberty, gdyż nie miał dość czasu, żeby dojechać na główną stację. Może i teraz uda mu się złapać tam pociąg. Do odjazdu było jeszcze prawie dwie godziny.

Rzucając się w stronę bagaży, szepnęła Celiu prosto w ucho:

- Czy mogłabyś się pospieszyć? Musimy natychmiast znaleźć wolną taksówkę.

Szedł zgarbiony, jakby wciąż spoglądał na walizki, aby jego wzrost nie przykuł zbyt wielu uwagi. Celia przepychała się przez tłum tuż za nim. Za chwilę wyszli na słabo oświetloną ulicę. Gordon obejrzał się za siebie i dostrzegł, jak jego domniemany wróg szukając kogoś wzrokiem, zmierza do drzwi, którymi właśnie wyszli. Tymczasem wlokący się za nimi jak cień mężczyzna w zdefasowanym kapeluszu ruchem ręki przywołał z ciemności agenta z Pittsburgha. Na drugie skiniecie z mrocznej ulicy wynurzył się powóz. Stanął na krawężniku na wprost drzwi, a woźnica zdawał się czekać na klienta.

Gordon chwycił obie walizki jedną ręką, drugą objął Celię i spiesznie poprowadził ją do powozu. Tego właśnie potrzebował. Pomógł jej wsiąść i kazał woźnicy jechać na dworzec East Liberty. Odetchnął z ulgą, że udało im się bezpiecznie wydostać. Nie widział obdartusa, który wdrapał się na kozioł i teraz szepsem dawał powożącemu wskazówki, nie widział też męż-

czyzny w kapeluszu, obserwującego ich zza drzwi stacji, a potem z samochodu. Czuł jedynie zadowolenie z faktu, że znowu są tylko we dwoje i mogą wreszcie bez przeszkód porozmawiać.

Rozmowa w tych warunkach jednak nie okazała się łatwa. Odgłosy pociągów, samochodów i powozów w pobliżu stacji były tak głośne, że przeszkadzały nawet w myśleniu, a kiedy wreszcie wyjechali stamtąd i słyszać było już tylko stuk kopyt o bruk, woźnica zmusił konie do takiego galopu, że mogli rozmawiać jedynie krzyżąc. Taki pośpiech na ulicach miasta był niezwykle dziwny, ale ponieważ Gordon chciał jak najszybciej znaleźć się z daleka od dworca i szukającego go wzrokiem detektywa, na początku nie zdał sobie z tego sprawy. Po wykrzyczeniu kilku słów zaniechali rozmowy i Gordon nieśmiało wyciągnął rękę, po czym uchwycił leżącą na kolanach dłoń Celi w geście pocieszenia. Nie zamierzał trzymać jej dłużej niż przez sekundę, chciał tylko zapewnić ją, że wszystko będzie dobrze, ale dziewczyna ani nie cofnęła swej ręki, ani się nie sprzeciwiała, więc uległ pokusie i nie zwolnił uścisku.

Powóz mknął po wybojach, kołysząc się przy tym na boki, i Celia, lekko przestraszona, musiała przytulić się do swego opiekuna, żeby przy którymś zakręcie nie upaść na podłogę.

- Czy koń poniósł? - wyszeptała mu do ucha.

- Chyba nie... kochanie - odpowiedział tak cicho, że ostatniego słowa nie dało się usłyszeć. - Woźnica myśli, że nam się spieszy, ale nie musi aż tak pędzić. Zaraz mu to powiem.

Pochylił się i zapukał w szybę, ale woźnica nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, za to jeszcze zaciął konia. Czyżby stracił panowanie nad zwierzęciem i nie mógł go zatrzymać, czy po prostu nie dosłyszał? Spróbował powtórnie, dodając do pukania okrzyk, ale i to nie pomogło. Koła wciąż turkotały po bruku. Dopiero teraz Gordon zauważył, że na koźle siedzi dwóch mężczyzn i zaczął przeczuwać coś złego. A jeżeli dał się zwabić w pułapkę? Jakim głupcem się okazał, wsiadając do powozu i zdając się na łaskę woźnicy. Powinien trzymać się otwartych przestrzeni, aby uniemożliwić porwanie. Teraz, kiedy o tym pomyślał, był przekonany, że tego właśnie spróbują przeciwnicy - porwania. Im bardziej bezowocne były próby

zwrócenia na siebie uwagi woźnicy, tym bardziej się upewniał, że coś jest nie w porządku. Spróbował otworzyć drzwi, ale okazały się zablokowane. Poczul na czole zimny pot, a na ciele ciarki przerażenia. Powodzenie jego misji było poważnie zagrożone i mógł je przypłacić życiem, a co gorsza narażał na potworne niebezpieczeństwo swoją towarzyszkę. Nie wiadomo, przez co będzie musiała przejść, jeżeli jego intelekt i siła nie będą w stanie jej obronić. Instynktownie dotknął kieszeni, w której od wyjazdu z Waszyngtonu nosił odbezpieczony rewolwer. Nie zaskoczą go zupełnie.

Jego obawy mogły też być bezpodstawne. Woźnica mógł jechać na dworzec, a drzwi po prostu się zacięły i nie było czym się martwić. Musi zachować spokój, by dziewczyna nie zauważyła jego zdenerwowania. Jeżeli to możliwe, należało się dowiedzieć, gdzie teraz są, ale nie będzie to łatwe. Ulica była zupełnie ciemna, latarnie pojawiały się z rzadka, a budynki wydawały się zbudowane z czerni. Chyba były to jakieś magazyny. Droga była wąska i zupełnie obca Gordonowi. Nie potrafił powiedzieć, czy jechał nią kiedykolwiek wcześniej. Był pewien, że już dawno minęli East Liberty, a widok ciemnej i pustej dzielnicy znowu go zaalarmował. Wpadło mu do głowy, że można otworzyć okno i w ten sposób porozmawiać z woźnicą, ale próba skończyła się fiaskiem, gdyż całe okno zostało dokładnie uszczelnione papierem, co jeszcze pogłębiło obawy Gordona. Wszystko wskazywało na to, że powóz zamknięto umyślnie. Przechylił się do drzwi po drugiej stronie i stwierdził to samo. To była celowa robota. Starając się nie przestraszyć Celii, usiadł prosto i ostrożnie zaczął wydłubywać papier, aż w końcu udało mu się opuścić szybę w oknie.

Jego wysiłek został nagrodzony strumieniem świeżego powietrza i dziewczyna odetchnęła z ulgą. Gordon nigdy się nie dowiedział, jak bliska była omdlenia. Siedziała wciśnięta w kąt, zupełnie cicho, obserwując go tylko i zachowując swoje obawy dla siebie, choć serce omal nie wyrwało się jej z piersi. Była przekonana, że koń poniósł.

Gordon wysunął głowę przez okno i natychmiast zauważył rewolwer w ręce mężczyzny na koźle. Na szczęście mężczyzna rozmawiał z woźnicą i nie patrzył w jego stronę. Widać nie

usłyszeli odgłosu opuszczanej szyby, ale byli przygotowani na ewentualną próbę ucieczki porwanych.

Gordon wsunął głowę z powrotem, rozważając możliwość odebrania rewolweru. Ze swojego miejsca mógłby spróbować, ale na co by się to zdało? Byli uwięzieni, a woźnica pewnie też jest uzbrojony. Czy będzie jakkolwiek szansa ratunku dla Celi, jeżeli wywiąże się walka? Gdyby był sam, mógłby wytrącić tamtemu rewolwer i wyskoczyć przez okno. Mogłoby się to udać. Ale teraz miał ze sobą dziewczynę i wszystko wyglądało inaczej. Nie zostawiłby jej w takich opałach dla wszystkich rządów świata. Jej życie jest ważniejsze nawet od szyfru.

Zdziwił się własnym spokojem, z jakim z powrotem zasunął okno. Potem położył dłoń na rękę Celi i wyszeptał jej do ucha:

- Boję się, że z naszym woźnicą jest coś nie w porządku. Czy postarasz się być dzielna... kochanie? - tym razem ostatnie słowo zostało wypowiedziane głośno. W sercu dziewczyny rozbrzmiało ono echem zaufania.

- O, tak - wyjąkała. - Chyba nie myślisz, że jest pijany?

- Być może - Gordon odczuł ulgę, słysząc takie wyjaśnienie. - Ale bądź spokojna. Myślę, że wszystko będzie dobrze. Zamierzmy się miejscami, a ja zobaczę, czy można otworzyć drzwi z twojej strony. Może będziemy musieli wyskoczyć, jeżeli gdzieś zwolni.

Celia cicho i sprawnie prześliznęła się na miejsce Gordona, który zaatakował klamkę całą siłą mięśni i umysłu. Potem oparł się ramieniem o drzwi, które ku jego radości w końcu ustąpiły. Musiał być bardzo ostrożny, gdyż ich nagłe otwarcie mogło skończyć się wypadnięciem na ulicę albo zwróceniem uwagi woźnicy. Był już zupełnie przekonany o porwaniu, być może z zamiarem morderstwa, i wszystkie jego zmysły trwały w pogotowiu. Nigdy nie tracił głowy nawet w najgorszych tarapatkach. Szef najbardziej w nim cenił tę właśnie cechę i dlatego wybrał do tak trudnego zadania Gordona, a nie starszego i bardziej doświadczonego agenta, któremu jednakże zdarzały się chwile załamania.

Gdy drzwi były już otwarte, Gordon przyjrzał się wrogowi z tej strony. Nie widać było broni. Woźnica siedział zgarbiony, mamrocząc przekleństwa i okładając batem chudego konia,

który galopował na ośle. Gdzieś z daleka niósł się odgłos nadjeżdżającego pociągu. Ulica wciąż była ciemna i prawie pusta. Nie można było liczyć na żadną pomoc ani okazję do skoku, gdyż wciąż jechali z karkołomną szybkością. Próba pewnie zakończyłaby się połamanymi kończynami i sytuacja tylko by się pogorszyła. Wrócił na swoje miejsce, pozwalając Celi i usiąść przy odblokowanych drzwiach. Kiedy nadarzy się okazja, ona musi wysiąść pierwsza. Trzeba też pamiętać o walizkach z listami i innymi wartościowymi papierami.

Instynktownie sięgnął po rękę Celi, która sama wsunęła się w jego silną dłoń, jak gdyby znajdowała w niej siłę i pocieszenie.

Zanim zdążyli coś powiedzieć, a nawet pomyśleć, usłyszeli prawie nad głową łoskot pociągu i powóz zatrzymał się z nagłym szarpnięciem, a koń niemal przysiadł na zadzie. Celia omal nie upadła na podłogę, ale Gordon ją przytrzymał, gotowy do działania.

Gordon zobaczył przez okno, że stanęli przed przejazdem, przez który z oszałamiającą prędkością pędził pociąg towarowy. Woźnica najwyraźniej miał nadzieję, że zdąży przejechać przed nim, ale się zawiódł. W odgłosie kół brzmiało coś radosnego, jak gdyby pociąg się cieszył, że udało mu się kogoś wystrychnąć na dudka.

Po jednej stronie ulicy ciągnęły się wysokie budynki, po drugiej skład drewna. Pomiędzy nimi stał zaprzęgnięty wóz z plandeką, spod której wystawały końce desek. Wóz stał po stronie Celii, która mogła otworzyć drzwi. Serce Gordona napełniło się nadzieją. Co za cudowna okazja! Do tego woźnica przystanął nieco z tyłu, więc drzwi otworzą się na ulicę pod osłoną plandeki. Dzięki temu mogą wśliznąć się za tamten wóz, trzymając się z daleka od woźnicy. Nikt nie mógłby opracować tego lepiej. Co więcej, łoskot pustych wagonów towarowych głuszył wszystkie inne dźwięki.

Natychmiast Gordon cicho otworzył drzwi i szepnął Celii:

- Ruszaj! Szybko! Skryj się w tym cieniu za płotem. Nie rozglądaj się, proszę, i nic nie mów! Prędej! Zaraz do ciebie przyjdę!

Drżąc na całym ciele, Celia mężnie spojrzała przed siebie i zniknęła jak zjawą. Wkradła się za deski i zgubiła gdzieś w cieniu ogrodzenia składu. Jedyne purpurowe pióra u jej kapelusza wydawały się plamami czerni jeszcze głębszej niż tło z poczerniałych desek. Gordon złapał walizki i wysunął się za nią, zrećźnie i cicho zamykając drzwi i niknąc za wielkim

wozem. Prawie nie mógł uwierzyć, że naprawdę udało im się uciec.

Przy chodniku kilka metrów dalej była brama z wysokimi i grubymi słupami, zamknięta wprawdzie, ale tworząca wyraźne załamanie w linii ogrodzenia. Uciekinierzy przycisnęli się do niej, wstrzymując oddech, a długi pociąg towarowy wciąż łomotał i klekotał jak grupa wesołych praczek, śmiejących się i przytupujących nad robotą. W końcu powóz ruszył w dalszą drogę. Gordon zobaczył, jak woźnica zajrzał do okna, po czym pospiesznie obejrzał się za siebie. Jego towarzysz także się odwrócił, a trzymany przez niego w ręce błyszczący przedmiot odbił światło lamp sygnalizacyjnych. Potem koń ruszył z kopyta i powóz rozpoczął swój szalony rajd przez tory i dalej po brukowanej ulicy. Porywacze nawet nie zadali sobie trudu, żeby zejść i sprawdzić, czy więźniowie siedzą bezpiecznie w środku. Najwyraźniej ufali zamkom u drzwi i nie usłyszeli żadnych niepokojących odgłosów. Było to niewiarygodne, lecz prawdziwe. Gordon odetchnął z ulgą i odprężył się trochę. Teraz należało jak najszybciej wydostać się z tej okolicy, zanim porywacze odkryją, że ich więźniowie umknęli. Natychmiast się zorientują, w którym miejscu uciekli i wróca, aby ich szukać, prawdopodobnie z pomocnikami. Powtórna ucieczka z pewnością by się nie udała.

Gordon chwycił bagaże jedną ręką, a drugą przyciągnął Celię do siebie.

- Teraz musimy wyteżyc wszystkie siły - powiedział łagodnym tonem. - Nic ci nie jest?

- Nie - jej oddech przechodził niemal w łkanie, ale oczy błyszczały odwagą.

- Biedactwo! - rzekł czule. - Bardzo się bałaś?

- Trochę - odparła śmiejąc.

- Z trudem będę mógł sobie to wszystko wybaczyć - ciągnął. - Ale koniec rozmów. Musimy się stąd szybko wydostać, bo tamci mogą po nas wrócić. Oprzyj się na mnie i idź najszybciej, jak potrafisz.

Celia ruszyła długimi, sprężystymi krokami. Przemierzali jedną ulicę po drugiej, skręcając to tu, to tam, ale starając się utrzymać właściwy, zdaniem Gordona, kierunek. Po przejściu



trzeciej przecznicy usłyszeli znajomy odgłos tramwaju i bez tchu zdołali dopaść do wagonu. Nie obchodziło ich, dokąd jada, o ile tylko byli bezpieczni w oświetlonym wagonie pełnym ludzi. Żadne diamentowe spinki do krawata nie lśniły dla Celi równie pięknie, jak mosiężne guziki przy mundurze konduktora, który sprzedał im bilety i objaśnił Gordonowi, jak dojechać do dworca East Liberty. Ten miły błysk i poczucie bezpieczeństwa sprawiły, że do oczu dziewczyny znowu napłynęły łzy.

Gordon przyglądał się jej czule, zadowolony, że nie jest świadoma, jak wielkie zagrażało im niebezpieczeństwo. Serce niemal wyrwało mu się z piersi na wspomnienie cudownej ucieczki i jego odpowiedzialności za Celię. Nie może więcej ryzykować. Muszą się trzymać zatłoczonych tramwajów i otwartych przestrzeni. Najważniejsze było wydostanie się z miasta przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Kiedy dotarli na dworzec, właśnie podstawiono pociąg złożony z prawie samych wagonów sypialnych. Stentorowy głos w megafonach obwieścił:

- Pociąg specjalny do Waszyngtonu przez Harrisburg i Baltimore! Proszę wsiadać!

Na drugim końcu peronu Gordon zauważył chudą sylwetkę detektywa, którego godzinę temu starał się zgubić na głównym dworcu.

Bez zastanowienia przynaglił Celię i oboje, zadyszani, wskoczyli do wagonu. Dopiero kiedy pociąg ruszył, Gordon uświadomił sobie, że jego towarzyszka od południa nie miała nic w ustach. Oby tylko nie zasłabła. Jak mógł o tym nie pomyśleć! Mogli przecież zatrzymać się na chwilę w jakiejś restauracyjce i złapać późniejszy pociąg. Z drugiej jednak strony bezpieczniej było odjechać jak najszybciej. Bez wątpienia na East Liberty także czekali obserwatorzy i całe szczęście, że w ogóle udało im się wsiąść bez kłopotów. Może jest tu wagon barowy. Trzeba to sprawdzić. Jeżeli okaże się, że nie ma, muszą wysiąść na najbliższej stacji; nie pamiętał dokładnie, ale zdawało mu się, że powinien być jakiś przystanek za miastem.

Na konduktora musieli poczekać, gdyż miał problemy z jakimiś niezadowolonymi pasażerami, którzy twierdzili, że mają

bilety na to samo miejsce. W końcu Gordon zdołał mu pokazać swoje bilety na sypialny i zapytał, czy w tym pociągu także są ważne.

- Nie - warknął rozeźlony konduktor. - Pomylił pan pociągi. To pociąg specjalny i wszystkie miejsca są zajęte, prócz jednego górnego łóżka.

- Cóż, zdaje mi się, że będziemy musieli wysiąść na najbliższej stacji i złapać inny pociąg.

- Następny przystanek będzie w środku nocy. Powiedziałem panu, że to pociąg specjalny, który nie zatrzymuje się po drodze.

- Więc co mam zrobić? - zapytał Gordon bezmyślnie.

- Nie mam pojęcia - zbył go konduktor. - I bez naprawiania cudzych pomyłek mam dość roboty. Niech pan zostanie, chyba że chce pan popełnić samobójstwo, wyskakując w biegu.

- Jestem w towarzystwie damy, która źle się czuje - rzekł Gordon z godnością.

- Tym gorzej dla niej - odparł konduktor bez śladu współczucia. - Mówiłem już, że mam jedno górne łóżko.

- Górne łóżko nie jest dla niej odpowiednie - rzekł twardo Gordon. - Powiedziałem panu, że źle się czuje.

- Jak pan chce! - warknął kolejarz. - Wydaje mi się, że lepsze to niż nic. Za chwilę i tego może nie być. Pewnie za pół minuty poprosi o nie ktoś inny.

- Naprawdę? I nie ma absolutnie nic innego?

- Nie będę marnować tu czasu, bo go nie mam. Bierze pan czy nie? Mnie jest wszystko jedno. Może znajdzie się jeszcze jakieś stojące.

- Biorę - zgodził się Gordon potulnie, pragnąc wymazać zdarzenia ostatnich trzydziestu minut. Jak u licha ma powiedzieć Celi, że jest w stanie zaoferować jej tylko górne łóżko?

Siedziała odwrócona do niego plecami. Naprzeciw niej siedzieli dwaj mężczyźni w garniturach w dużą kratę, z brylantowymi szpilkami w krawatach i wielkimi sygnetami. Wiedział, jak ją mierzi takie towarzystwo. Oprócz nich w przedziale zajmowała miejsce trudna do opisanego kobieta w ogromnym kapeluszu, z grubą warstwą pudru na twarzy. Pomyślał, że pociągi specjalne często są pełne niespecjalnych pasażerów.

- Czy nie jest pan w stanie nic zrobić? - zwrócił się do konduktora, odbierając kawałek tekturki dający mu prawo do ostatniego wolnego łóżka. - Może ktoś zgodziłby się zamienić i oddać jej miejsce na dole? Nie przywykła do spania na górze.

Ze smutkiem popatrzył na jej pochyloną głowę. Celia zdjęła kapelusz i światła lamp igrały w jej złotych włosach. Wzrok konduktora złagodniał.

- To ta pani? Zobaczę, co się da zrobić - rzucił krótko i pospieszył do następnego wagonu. Obecność Celi czyniła cuda.

Gordon podszedł do niej i powiedział półgłosem, że już niedługo będzie mogła wygodnie odpocząć. Zdenerwowanie, strach i pośpiech musiały ją bardzo zmęczyć. Dodał, że popełnili straszną pomyłkę, wsiadając do tego pociągu, a teraz przez kilka godzin nie będą mogli wysiąść i prawdopodobnie nie zjedzą kolacji.

- Och, to nieważne - odrzekła Celia słabym głosem. - Wcale nie jestem głodna - usiłowała się uśmiechnąć. Gordon wiedział, że jej jedynym pragnieniem jest dowiedzieć się prawdy o listach, ale sama pewnie rozumie, że nie jest to odpowiednia chwila.

Dziewczynie na widok jego zakłopotania chyba zrobiło się przykro i mimo smutku w oczach spróbowała raz jeszcze odpowiedzieć mu uśmiechem. Widać było, że jest bardzo zmęczona i Gordon czuł się jak niesforny olbrzym opiekujący się delikatnym niemowlęciem. W myślach robił sobie wyrzuty z powodu własnej bezmyślności.

Ruszył na poszukiwanie czegoś do jedzenia, a efekty przerosły jego oczekiwania. Jakiś gazeciarz odstąpił mu dwie kanapki z kurczakiem. Przyniósł je Celi wraz z pomarańczą, pudełkiem czekoladek i szklanką wody, co zostało nagrodzone uśmiechem tak ciepłym, jak te, którymi obdarzała go w najpiękniejszych chwilach wspólnej podróży.

Nie mógł usiąść obok niej, gdyż wszystkie miejsca były zajęte, nie mógł też stać w przejściu, bo przeszkadzał wagonowemu w ścieleniu łóżek. Cały pociąg wydawał się niemiłosiernie zatłoczony, wszystkie miejscówki zostały wykupione, a część pasażerów stała na korytarzach. Dopiero teraz za-

uważył, że wszyscy nosili znaczki jakiegoś bractwa. Pewnie była to delegacja na jakiś wielki zjazd. Byli to hałaśliwi i wese-  
li, ale poczciwi ludzie, mimo to jednak nie było między nimi  
miejsca, w którym Gordon i Celia mogliby dokończyć prze-  
rwaną rozmowę. W końcu odnalazł ich konduktor i oznajmił,  
że jakiś dżentelmen zgodził się oddać pani dolne łóżko w za-  
mian za jej górne. Jest już przygotowane.

Gordon wymienił bilety i natychmiast odprowadził Celię na  
miejsce. Była niezwykle zadowolona, że wreszcie udało jej się  
uciec od światła i hałasu.

Gordon szedł pierwszy, niosąc walizki. Miał nadzieję, że  
może w drugim wagonie znajdzie się jakieś miejsce na kikumi-  
nutową rozmowę, ale czekało go rozczarowanie. Tutaj tłok był  
jeszcze większy.

Zatroszczył się o wszystkie możliwe wygody, odłożył kape-  
lusz Celi i umieścił walizkę tak, żeby mogła ją bez kłopotu  
otworzyć, ale nawet w tym czasie napierający ze wszystkich  
stron ludzie uniemożliwiali im rozmowę. Gdy skończył, cofnął  
się i przytrzymał zasłonkę, żeby dziewczyna mogła usiąść na  
łożku. Potem nachylił się i wyszeptał:

- Zaufaj mi do rana. Rano wszystko ci wyjaśnię, żebyś  
zrozumiała, dlaczego nie mam nic wspólnego z tymi listami.  
Teraz zapomnij o problemach i staraj się odpocząć, dobrze?

Był bardzo przejęty. Niczego dotąd tak w życiu nie pragnął,  
jak nachylić się i pocałować te słodkie usta i śliczne oczy  
wpatrujące się w niego ze smutkiem i tęsknotą. Teraz jeszcze  
bardziej przypominały niebieskie kwiatki u jej sukni. Powstrzy-  
mał się jednak. Nie miał prawa jej całować. Gdyby wiedziała,  
jak ją oszukał, prawdopodobnie nigdy by na to nie pozwoliła.

- Spróbuję - zamruczała w odpowiedzi i dodała: - A gdzie  
ty będziesz spał? Czy masz łóżko w pobliżu?

- Niedaleko... to znaczy w sąsiednim wagonie, bo jest stra-  
szny tłok.

- Och! - zmartwiła się troszeczkę. - Czy na pewno masz  
wygodne miejsce?

- Tak, tak, wszystko w porządku - zapewnił ją wesoło.  
Jakie to cudowne, że Celia przejmuje się jego wygodą.

Wagonowy ścielił właśnie łóżko naprzeciwko i nie było

miejsca dla nich obu, więc Gordon ukłonił się, a Celia podała mu rękę na pożegnanie. Przez moment przytrzymał ją delikatnie, jak gdyby chcąc jej dodać pewności siebie, po czym wrócił do swojego wagonu i wcisnął się w kąt.

Radość, jaką napełniło go dotknięcie jej ręki, przynosiła do jego serca kolejne fale słodyczy. Dusza przepełniona była dotąd nie znanym uniesieniem.

Więc taka jest miłość! Cóż za łotr z niego, że pozwala sobie kochać narzeczoną innego! Ale cóż to za narzeczony! Szubrawiec! Oprawca, który znęcał się nad nią! Czy ktoś taki może mieć do niej prawo? Cała istota Gordona się temu sprzeciwiała.

Na wspomnienie jej spojrzenia, ruchu głową, miękkiego dotyku jej palców, dźwięku jej głosu serce w nim zadrżało. Zapomniał natychmiast o niegodziwcu, który miał być mężem tej niezwyklej dziewczyny.

Stopniowo jego umysł otrząsnął się ze słodkiego odurzenia i Gordon zaczął się zastanawiać, co ma jej powiedzieć rano. Dobrze, że nie było jeszcze okazji do zakończenia tej rozmowy, bo nie mógłby wyznać wszystkiego. Rano będą w Waszyngtonie i może uda mu się to jakoś odciągnąć do chwili dostarczenia wiadomości. Potem wreszcie będzie wolny, opowie jej całą przygodę i pozwoli zadecydować. Może mogłaby mu wybaczyć? W głębi serca liczył na to, chociaż zdawało się to mało prawdopodobne. Czasami posuwał się aż do rozważań, jak cudownie by było, gdyby się zgodziła, aby ich małżeństwo trwało nadal, ale za każdym razem powtarzał sobie, że to niemożliwe. Pewnie w Nowym Jorku znajdzie się ktoś, kto zasłuży na jej serce, kiedy już uwolni się od łotra, który groźbą zmusił ją do małżeństwa. Gordon obiecał jej pomoc i chronić ją przed tym szantażystą, któremu prawdopodobnie chodziło tylko o majątek. Pomoc w rozwiązywaniu jej problemów będzie przynajmniej jakimś pocieszeniem. Ale czy Celia kiedykolwiek zaufa człowiekowi, który pozwolił, żeby związała się świętym węzłem z nieznanym?

Spędził noc, bijąc się z myślami, przerzucając się od obaw do nadziei. Celia w sypialnym również długo nie mogła zasnąć. W środku nocy nagle usiadła, wpatrując się w ciemność, poruszona dziwną myślą, która zrodziła się pod wpływem snu

o brązowych falujących włosach mężczyzny, który spał w jej przedziale minionego ranka. Gdyby były dłuższe i nie takie gęste, układałyby się w loki. Nagle uświadomiła sobie, że włosy małego George'a Hayne'a, który zatruwał jej dzieciństwo, były czarne, rzadkie i tłuste. W ciepłe zlepiały się w strąki i sprawiały, że chłopiec wyglądał jak zmoczony kociak. Jeden lok - pamiętała to doskonale - jeden lok na czubku głowy George'a nigdy nie chciał się ułożyć, niezależnie od włożonego w to wysiłku. Ten sztywny, tłusty lok był jedynym czułym punktem wiecznie zadowolonego z siebie chłopaka. Włosy, którym przyglądała się z podziwem w purpurowych promieniach wschodzącego słońca, były zupełnie inne. Same układały się wokół kształtnej głowy. Były piękne i delikatne, a z każdej fali promieniowała chęć do życia. Czy w ciągu dziesięciu lat włosy mogą się tak zmienić? Czy mogły stać się jaśniejsze? Czy mogły stać się jedwabiste, skoro były tłuste? I falujące, jeżeli dawniej były proste jak druty? Czy mogły tak bardzo zgęstnieć?

Nie była w stanie rozwiązać tego problemu, ale zaświtało jej w głowie kilka możliwości. Stopniowo ciemność uspokajała ją. Dwie rzeczy się nie zgadzały: jego wyznanie, że to nie on był autorem listów i to, że jego włosy są inne. Kimże więc on jest? Teraz jej mężem, ale poza tym? A jeżeli mogą się zmienić uczynki, jeśli mogą się zmienić nawet włosy, to dlaczego nie mógłby się zmienić i charakter? Przynajmniej nie jest taki sam jak kiedyś, czego tak bardzo się bała. Było to wystarczającą pociechą.

W końcu zasnęła.

Pociąg przyjechał do Waszyngtonu z opóźnieniem, gdyż w nocy kilkakrotnie odsyłano go na bocznice, aby umożliwić przejazd ekspresom. Hałaśliwi pasażerowie, którzy zabawiali się rozmowami jeszcze długo w nocy, teraz nadrabiali stracony sen.

Gordon trzykrotnie przemierzał trzy wagony, żeby sprawdzić, czy Celia śpi i czy czegoś jej nie potrzeba, ale za każdym razem znajdował zaciągnięte zasłony, więc powoli wracał na swoje miejsce.

Ponownie poszedł dopiero, kiedy na tle nieba ukazała się jak zjawia biała kopuła Kapitolu i wysoka sylwetka pomnika, przypominając obrazy niebiańskiego miasta z „Wędrowki pielgrzyma” i obiecując nowy, lepszy świat. Celia, zupełnie gotowa, stała już w przejściu, a wagonowy uprzątał jej łóżko. Podniosła na Gordona słodkie oczy spod szerokiego ronda kapelusza, wokół którego w rytm ruchów pociągu drżały purpurowe pióra. Wyglądała zarazem na przestraszoną i zadowoloną z jego widoku. Nagle Gordon znowu pomyślał, jak cudownie byłoby dzielić z nią życie, czuć, że spogląda na niego z czułością i mieć prawo do usuwania wszelkich jej obaw.

Mogli jedynie uśmiechnąć się do siebie na dzień dobry, gdyż dookoła wszyscy wstawali, zajmowali się toaletą, przepychali, szukając walizek i zgubionych parasoli, głośno rozmawiając, śmiejąc się i narzekając na opóźnienie pociągu. W końcu dojechali do dworca, wysiedli i w rozgadany tłumie podążali do wyjścia.

Jakie drobiazgi mogą czasem przesądzić o naszym bezpieczeństwie czy zagładzie i zmienić całe nasze życie! Tego ranka na dworcu w Waszyngtonie trzech detektywów czekało na rządowego agenta, który odebrał im skradziony szyfr. Mieli go dostarczyć do Nowego Jorku żywego lub martwego, bo Holman musiał pozbyć się świadka swojego spisku. Nie przyszło im jednak do głowy sprawdzenie pociągu specjalnego, którym mieli przyjechać jedynie delegaci na jakiś wielki zjazd. Przecież nie mogło go tam być! Wiedzieli, że przyjedzie z Pittsburgha, gdyż jeden z ich współpracowników widział go tam, jak kupował bilet sypialny do Waszyngtonu, i uprzedził ich telegraficznie. Agent nie mógł przyjechać pociągiem specjalnym, bo na stacji powiedziano im, że był w całości zarezerwowany. Sumiennie przygotowali plany osaczenia swej ofiary w każdej sytuacji, ale gdy zapowiedziano przyjazd pociągu specjalnego, uznali, że mogą wyjść na śniadanie do restauracji naprzeciwko dworca. Dwóch wyszło stamtąd na długą chwilę przed przyjazdem kolejnego pociągu z Pittsburgha, dokładnie w czasie, kiedy Gordon wsiadał za Celią do powozu.

Gdyby powóz stał w jakimkolwiek innym miejscu przed stacją, tamci nigdy by go nie zauważyli, ale teraz mieli go jak na dłoni. Ponieważ znali się na swojej robocie, poznali Gordona natychmiast. Wiedzieli, że ich plan zawiódł i że przejęcie wiadomości będzie teraz wymagało wielkiego wysiłku.

Zatrzasnąwszy drzwi powozu, Gordon zauważył dwóch spośród swych wrogów i zrozumiał, że odnaleźli trop.

Jego serce waliło jak szalone. Bał się zarówno o wiadomość, jak i o dziewczynę. Co ma teraz robić? Pojechać natychmiast do domu szefa i przekazać mu szyfr czy odwieźć Celię do swego mieszkania, zadzwonić po szybszy pojazd i mieć nadzieję, że uda mu się wyprzedzić pościg?

„Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało! Nie pozwól, żeby cokolwiek cię zatrzymało! To sprawa życia i śmierci!” - zabrzmiało znowu w jego uszach i pomyślał, że musi najpierw doręczyć wiadomość. „Sprawa życia i śmierci”? Ale nie może, nie wolno mu wystawiać Celi na niebezpieczeństwo. Wystarczy, że jemu grozi śmierć. Nie chce umierać, skazawszy przedtem na to samo niewinną osobę.



Podał już woźnicy swój adres i kazał mu się spieszyć. Nie może teraz go zatrzymać i zmienić polecenia, gdyż wciąż są w zasięgu strzału, a w tłumie nie będzie nawet można znaleźć podejrzanego. Jego wrogowie mieli tu wielu pomocników, a wśród jego przyjaciół nikt na razie nie wiedział o jego przyjeździe. Będzie to więc wyścig ze śmiercią.

Celia z zainteresowaniem rozglądała się po ulicach, rozpoznając niektóre miejsca, i nie zauważyła bladej, ściągniętej twarzy i płonących oczu Gordona, który próbował określić, z jaką prędkością jadą. Och, gdyby tylko woźnica skręcił w którąś przecznicę, nie byłiby tak bardzo na widoku, ale pewnie nie przyjdzie mu to do głowy, jadą przecież najkrótszą drogą. Jednak... tak, skręcił! Wspaniale! Główna ulica była tak zatłoczona, że uznał, iż boczną przejadą szybciej.

Gordonowi zdawało się, że minął wiek, zanim zatrzymali się przed jego mieszkaniem. Dla Celi była to krótka przejażdżka, a znajome widoki sprawiły jej przyjemność. Nie była w obcym Chicago, ale w często odwiedzanym Waszyngtonie i uznała to za dobry znak.

- Och, dlaczego mi nie powiedziałaś? - uśmiechnęła się do Gordona. - To przecież Waszyngton, kochany stary Waszyngton.

Gordon z wysiłkiem opanował wzruszenie i również się uśmiechnął, odpowiadając w miarę naturalnie:

- Cieszę się, że ci się podoba.

Celia zdawała się rozumieć, że nie mogą rozmawiać, póki nie znajdą jakiegoś cichego miejsca i nie zadawała więcej pytań. Zamiast tego wyglądała oknem albo przyglądała się ukradkiem swemu towarzyszowi, porównując go ze wspomnieniem George'a Hayne'a i gubiąc się we własnych myślach. Cieszyła się, że przez chwilę może się oddać rozmyśleniom, gdyż prawie zaczęła się już obawiać wyjaśnienia wszystkich tajemnic i konsekwencji, jakie mogło to przynieść. Przebyli drogę w niemal zupełnej ciszy, lecz żadnemu z nich to nie przeszkadzało.

Gdy powóz stanął, Gordon odezwał się cicho drżącym ze zdenerwowania głosem. Nerwy dziewczyny również były napięte do granic wytrzymałości, przez co nie zwróciła uwagi na ton Gordona.

- Wysiadamy.

Miał już przygotowane pieniądze dla woźnicy i natychmiast kazał Celi schronić się w korytarzu. Winda właśnie zjechała, więc w przeciągu kilku sekund stanęli bezpiecznie przed drzwiami mieszkania.

Gordon wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi na oścież i wprowadził Celię do pokoju. Potem podszedł do ściany, nacisnął guzik dzwonka i przeprosiwszy dziewczynę, podszedł do telefonu. Celia siedziała zaskoczona przytulnością pokoju i swobodnym zachowaniem swego towarzysza. Spodziewała się, że zatrzymają się w hotelu. To było chyba prywatne i to doskonale mu znane mieszkanie. Może należało do jakiegoś przyjaciela? Ale jak po tylu latach za granicą mógł tak dokładnie znać drogę, pamiętać drzwi i windę i z taką łatwością uporać się z zamkiem u drzwi? Potem jej uwagę przykuł głos Gordona.

- Proszę z numerem 254L... Czy to 254L?... Czy zastałem pana Osborne'a?... Jeszcze nie wyszedł do biura?... Czy mogę z nim porozmawiać?... Czy to pan Osborne?... Nie spodziewałem się, że pozna mnie pan po głosie... Tak, właśnie przyjechałem, jak dotąd wszystko w porządku. Czy mam to dostarczyć do domu, czy do biura?... Do domu?... Tak jest. Natychmiast... Przy okazji, jestem pewien, że Hale i Burkę mnie śledzą. Widzieli mnie na dworcu... Do pańskiego domu?... Zaczeka pan do mojego przyjazdu?... Dobrze. Tak, natychmiast... Tak, będę uważał... Do widzenia.

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

- Wejdz, Henry - zawołał i zdziwiona dziewczyna odwróciła się w stronę drzwi. - Henry, zjedź do restauracji na dole i przynieś menu, proszę. Ta pani wybierze coś na śniadanie dla siebie, a ty jak najszybciej je tutaj podasz. Muszę wyjść na jakąś godzinę. W tym czasie będziesz stosował się do życzeń pani.

Nie przedstawił jej jako swojej żony, ale nawet tego nie dostrzegła. Nagle uświadomiła sobie jego dziwny pośpiech, a gdy powiedział, że wychodzi, przestraszyła się nie na żarty, choć sama nie wiedziała czego.

Służący ukłonił się panu z szacunkiem, spojrzął z podziwem i oddaniem na Celię i w końcu powiedział:

- Bardzo się cieszę, że pan bezpiecznie wrócił - po czym pobiegł do swoich obowiązków.

Celia zwróciła się do Gordona po wyjaśnienia, ale on znowu stał przy telefonie.

- Czterdzieści sześć!... Czy to warsztat?... Dzwonię z Harris Apartments... Czy możecie natychmiast przysłać Tomasza z samochodem pod tylne drzwi?... Tak... Nie, chcę Tomasza i szybki samochód... Tak, do tylnych drzwi, *tylnych*. Natychmiast. Słucham?... O co chodzi?... Ale ja *muszę*... To sprawa urzędowa.... Tak myślałem. Niech się pospieszą. Do widzenia.

Gdy się odwrócił, zauważył w oczach Celii rosnący strach.

- O co chodzi? - zapytała z przejęciem. - Czy coś się stało?

Zatrzymał się na chwilę, po czym podszedł bliżej i z czułością wziął ją za rękę.

- Nic się nie stało - zapewnił. - A przynajmniej nic, czym powinnaś się przejmować. To po prostu pilny interes. Przykro mi, że muszę na chwilę zostawić cię samą, ale niestety, to konieczne. Nie mogę ci tego wyjaśnić, dopóki nie wrócę. Zaufasz mi? Nie będziesz się bać?

- Spróbuję!

Jej usta drżały, a oczy były pełne łez. Znowu poczuł nagłe pragnienie pocieszenia jej pocałunkiem, ale odsunął od siebie tę myśl.

- Nie ma powodu do zmartwienia - uśmiechnął się delikatnie. - To nic strasznego, muszę się tylko pospieszyć, bo jeszcze mogę przegrać ten wyścig. To dla mnie coś bardzo ważnego. Wyjaśnię ci wszystko, kiedy wrócę.

- Idź! - powiedziała, opuszczając ręce w geście rezygnacji, jak gdyby chciała go odpędzić. Chociaż płonęła z chęci dowiedzenia się, o co chodzi, coś w jego postawie nakazywało jej zaufać i czekać.

Gordon omal nie stracił panowania nad sobą. Pragnął całować jej rękę, ale się powstrzymał. Zamiast tego szybkim krokiem wszedł do sypialni, wysunął szufladę bielizniarki i wyjął z niej jakiś mały, złowieszczy przedmiot. Dostrzegła błysk polerowanego metalu i wyczuła w cichym szczęku ukrytą groźbę. Wyszedł z pokoju z ręką w kieszeni, jakby coś w niej ukrywał.

Celia nie była przyzwyczajona do broni palnej. Matka bała się jej i brat nigdy nie trzymał niczego takiego w domu. Mimo to dziewczyna instynktownie czuła, że Gordon posiada broń i jej serce zamarło z przerażenia. Choć widać to było w jej oczach, nie odezwała się ani słowem. Gdyby się tak nie spieszył, zobaczyłaby wszystko. Jej przerażenie pewnie jeszcze by wzrosło, gdyby się dowiedziała, że miał już przy sobie jeden załadowany rewolwer, a drugi zabierał na wszelki wypadek.

- Nie martw się - zawołał, biegnąc do drzwi. - Henry przyniesie wszystko, czego ci trzeba, a ja niedługo wrócę.

Drzwi się zamknęły. Słyszała szybkie kroki wzdłuż korytarza i trzaśnięcie drzwi windy. Już zjechał na dół. Doszedł do jej uszu odgłos silnika i przypomniała sobie rozmowę telefoniczną. „Tylnie drzwi.” Dlaczego wychodzi tylnymi drzwiami? Czyżby się ukrywał? Czy ktoś go goni? Co to wszystko znaczy?

Nie mając czasu na przemyślenia, przebiegła przez pokój, otworzyła drzwi do sypialni, z której dopiero co wyszedł, a stamtąd przeszła do łazienki. Tak, było tam okno. Czy stąd uda się jej go zobaczyć? A jeżeli nawet, to co to da?

Przysunęła się do witrażowego okna i przyłożyła oko do czystej żółtej szybki. Tak, właśnie odjeżdżał jakiś samochód. Odjeżdżał. AJe dokąd?

Przez kilka minut czuła w głowie pustkę. Wolno, niemal mechanicznie wróciła do pokoju, nie zauważając niczego po drodze, usiadła na krześle, podniosła ręce do skroni i spróbowała się skupić. Wróciła do momentu, kiedy George pojawił się u jej boku w kościele i uroczystość się rozpoczęła. Już wtedy coś jej mówiło, że jest inny. Ale wciąż istniały tamte listy, a jak to możliwe, że nie on je pisał? Była pewna, że sprawa, którą się zajmuje, nie jest bezpieczna. Mężczyzna, z którym rozmawiał przez telefon, przed czymś ostrzegwał. Obiecał uważać - to oznaczał ten mały, błyszczący, groźny przedmiot w jego kieszeni. Coś mu się może stać, a ona może nigdy się o tym nie dowiedzieć. Wbiła pełne zdumienia oczy w przeciwległą ścianę. A jeśli nawet, to dlaczego tak się tym przejmuje? Czy jeszcze dwa dni temu nie wolała spotkać śmierci niż jego? Dlaczego wszystko się tak zmieniło? Tylko

dlatego, że się do niej uśmiechał i był miły? Dał jej kilka polnych kwiatków i powiedział, że są podobne do jej oczu? Dlatego, że miał falujące włosy, a nie proste strąki? A gdzie lojalność, gdzie pamięć o ukochanym ojcu? Jak może obawiać się o człowieka, który groził oczernieniem jej ojca w oczach tych, którzy go kochali? Czy już zapomniała o listach? Czy miała zamiar mu wszystko wybaczyć tylko dlatego, że stwierdził, iż to nie on je pisał? Co za głupota! Powiedział, że udowodni swoją niewinność, ale przecież to nie ma sensu. Musiał je napisać. Tylko skąd te falujące włosy i dobroć w jego oczach? I wyglądał... och, tak okropnie wyglądał, kiedy czytał tamten list... Miała wrażenie, że chce się zemścić na tym, kto go napisał. Czy można aż tak dobrze udawać?

Wtedy nasunęło się jej inne rozwiązanie. Przypuśćmy, że ten... ktokolwiek to jest... mężczyzna, który się z nią ożenił, pojawił się, żeby odnaleźć i ukarać George'a Hayne'a. Przypuśćmy... Nagle zakryła oczy dłońmi i zadrżała. Dlaczego ma się przejmować? Mimo to wciąż się przejmowała. A co będzie, jeśli go zabiją? Jeżeli to nie George, to kim jest ten człowiek i jak zajął jego miejsce? A może to kolejny potworny kawał George'a?

Wyobraziła sobie, jak go tutaj przywiozą. Może położą go na tej wielkiej, obitej czerwona skórą kanapie, tak jak leżał wtedy o świecie w pociągu, ze zwisającymi luźno rękoma albo zjedną ręką na piersi, jak gdyby strzegł czegoś cennego. Brązowe fale włosów będą mu spadać na czoło - tylko że to czoło będzie białe, białe i zimne, może z małą plamką na skroni.

Kroki służącego przywróciły ją do rzeczywistości. Uśmiechnęła się do Henry'ego i odpowiedziała na wszystkie pytania dotyczące śniadania. Już bezpośrednio po jego wyjściu nie była w stanie sobie przypomnieć, co zamówiła. Nie mogła się pozbyć sprzed oczu obrazu bezwładnego ciała męża na kanapie. Zamknęła oczy i przycisnęła powieki palcami, aby to odpędzić, ale wciąż się jej wydawało, że on leży tam bez ruchu.

Czarnoskóry służący wrócił właśnie z pełną tacą i ustawił ją na małym stolyczku na kółkach, który sprawnie przysunął. Podziękowała, mówiąc, że niczego więcej jej nie potrzeba. Henry zniknął.

Zaczęła od filiżanki aromatycznej kawy. Kilka łyków postawiło ją na nogi. Ułamała kawałek świeżej bułki i zjadła nieco doskonałej pieczeni, ale nieustannie wracała myślami do tego samego obrazu, a jej serce przepełniał trudny do opisanego strach.

Wyszedł bez śniadania, a poprzedniej nocy pewnie też niczego nie jadł. Bez wątpienia oddał jej wszystko, co udało mu się dostać w pociągu. Żałowała, że się z nim nie podzieliła. Wstała i zaczęła chodzić po pokoju, próbując pozbyć się strachu przed tym, co jeszcze miał przynieść ten poranek. Normalnie pomyślałaby o przesłaniu wiadomości matce i bratu, ale teraz nawet nie przyszło jej to do głowy.

Ściany były pomalowane na delikatny szarozielony kolor, a powyżej gzymsu zdobił je leśny krajobraz z wodą, zieloną trawą i niebem przezierającym przez splecione gałęzie. Przypomniało jej to małą wioskę, której się przyglądali o świcie z pociągu. Jaki cudowny dzień spędzili razem i jak całkowicie zmienił się wtedy jej stosunek do mężczyzny, za którego wyszła!

Nieliczne, ale dobre obrazy wisiały w starannie wybranych miejscach. Przyjrzała się im bliżej i uznała, że ten, kto je kupił i powiesił, jest prawdziwym znawcą. Nie zatrzymały jednak jej uwagi, gdyż wciąż nie łączyła tego pokoju z człowiekiem, na którego powrót czekała.

Pod oknem stało ładne mahoniowe biurko. Zainteresował ją miniaturowy portret kobiety. Podniosła go i przyjrzała się twarzy. Była słodka i delikatna, z brązowymi, gładko zaczesanymi włosami i oczami, które przypominały jej oczy męża. Czy w takim razie jest to mieszkanie jakiegoś krewnego, do którego przyjechali w odwiedziny na dzień lub dwa? Ale gdzie jest gospodarz? Kobieta była ubrana w suknię sprzed ćwierćwiecza, ale twarz miała młodą. Ciekawe, czyj to portret. Troskliwie odłożyła go na miejsce. Chciałaby poznać tę kobietę o tak czułych oczach. Szkoda, że nie ma jej tutaj. Mogłaby podzielić się z nią swymi obawami.

Jej wzrok padł na stos listów, w większości urzędowych. Jeden czy dwa miały perfumowane koperty i adres wypisany wysokim, kanciastym pismem. Wszystkie były adresowane do

pana Cyrila Gordona. Jakie to dziwne! Kim jest Cyril Gordon? Co mają... co ma z nim wspólnego? Czy to przyjaciel, do którego George... do którego przyjechali z wizytą? Nie mogła znaleźć odpowiedzi.

Nagle zadzwonił telefon.

Jej serce zabiło gwałtownie. Spojrzała na aparat, jak gdyby przemawiał do niej ludzkim głosem, a ona nie była w stanie odpowiedzieć. Co ma teraz zrobić? Odebrać? A może poczekać na służącego? Czy usłyszała dzwonek? A może spodziewa się, że ona odbierze? A jeżeli pan Cyril Gordon... cóż, ktoś powinien odebrać. Rozległ się kolejny dzwonek, i jeszcze jeden. A jeśli to *on* dzwoni? Może wpadł w kłopoty. Z tą myślą pobiegła do aparatu. Zdjęła słuchawkę i zawołała:

- Halo! - jej własny głos zdawał się dochodzić z daleka.
- Czy to mieszkanie pana Gordona?
- Tak - odrzekła, spoglądając na stos listów.
- Czy pan Gordon jest w domu?
- Nie - odpowiedziała, odzyskując pewność siebie i żałując, że odebrała telefon od kogoś obcego.

- Przed chwilą dzwoniłam do biura i powiedziano mi, że właśnie wrócił - usłyszała władczy głos w słuchawce. - Czy na pewno go nie ma?

- Z całą pewnością.
- Przepraszam, z kim rozmawiam?
- Słucham? - rzuciła Celia, chcąc zyskać na czasie. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie była już panną Hathaway. Ale kim była? Panią Hayne? Na tę myśl skuliła się z przerażenia.

- Z kim rozmawiam? - warknął głos po drugiej stronie.  
- Czy to pokojówka? Jeżeli tak, proszę się upewnić, czy pana Gordona nie ma. Mam do niego bardzo ważną sprawę.

Celia uśmiechnęła się do siebie.

- Nie, nie jestem pokojówką - odrzekła spokojnie - i jestem pewna, że pana Gordona nie ma w domu.

- A kiedy wróci?
- Naprawdę nie wiem, sama przyszłam zaledwie przed chwilą.
- Czy dowiem się więc, z kim rozmawiam?
- Z... przyjaciółką - odpowiedziała, zastanawiając się, czy to najważniejsze słowo.

- Och! - głos umilkł na dłuższą chwilę, jak gdyby coś rozważając. - Czy może pani w takim razie przekazać wiadomość panu Gordonowi, gdy tylko wróci?

- Naturalnie. Kto mówi?

- Julia Bentley. On będzie wiedział - głos znowu zabrzmiał rozkazująco. - Proszę mu powiedzieć, że spodziewam się go dzisiaj na kolacji. Potrzebujemy jego obecności i nie może nas zawieść. Wybaczę mu ten pospieszny wyjazd, jeżeli przyjdzie wystarczająco wcześnie, żeby mi o nim opowiedzieć. Nie zapomni pani, prawda? Pamięta pani nazwisko? Bentley, B,E,N,T,L,E,Y. Przekáže mu pani, gdy tylko przyjdzie?

- Tak.

- Dziękuję. Przepraszam, jak pani nazwisko?

Celia odłożyła słuchawkę. Zdenerwowała ją ta rozmowa, chociaż nie wiedziała dlaczego. Żałowała, że odebrała telefon. Co ma zrobić, jeżeli nagle pojawi się Cyril Gordon, ktokolwiek to jest? Miała nadzieję, że nie będzie musiała przekazywać wiadomości od tej pannicy. Dlaczego nie zapisać jej i nie zostawić na biurku razem z listami? Tak robi. Przynajmniej zajmie jej to kilka minut, które tak wolno się wlokły.

Usiadła i napisała: „Panna Bentley pragnie zaprosić pana Gordona na kolację dzisiejszego wieczora. Wybaczy jego ucieczkę sprzed kilku dni, o ile dzisiaj przyjdzie wcześniej”. Położyła kartkę obok perfumowanych listów z kanciastym piśmem i podeszła do krzesła, zbyt niespokojna, by odpoczywać, ale też zbyt zmęczona, żeby stać.

Wyrzała przez okno wychodzące na tył domu. Nad dachami pobliskich budynków majaczyły jakieś kopuły. To Biblioteka Kongresu, która zawsze zachwycała ją swymi kolorami - bielą, brązem i złotem, teraz jednak nie robiła na niej wrażenia. Za biblioteką widać było dalsze budynki, otoczone zielenią, której było tu dużo więcej niż w jej rodzinnym stanie Nowy Jo.rk. Z innego okna zobaczyła lśniące w porannym słońcu wody Potomaku.

Podeszła do frontowych okien i wyrzała na ruchliwą ulicę. Nie umiała jej rozpoznać. Po przeciwległym chodniku dwaj mężczyźni przechadzali się w tę i z powrotem. Za każdym razem dochodzili tylko do najbliższego rogu. Czasami spoglą-



dali w okna i coś sobie pokazywali, a w pewnej chwili jeden wyjął coś z kieszeni i natychmiast włożył pod płaszcz, jakby chciał mieć to w gotowości. Przypomniała sobie, co jej mąż trzymał w sypialni i zadrżała. Jak zahipnotyzowana obserwowała ich, niezdolna odejść od okna.

Od czasu do czasu wyglądała też przez okno na tył domu, żeby sprawdzić, czy samochód nie wraca, po czym biegła z powrotem zobaczyć, czy mężczyźni wciąż jeszcze tam są. W końcu wróciła na krzesło, oparła się, zamknęła oczy i zaczęła wspominać wszystkie słodkie szczegóły poprzedniego dnia do momentu, kiedy wsiedli do pociągu. Poczowała, że jest niełojalna wobec ojca. Zaczęła uważać, że nastąpiła jakaś okropna pomyłka, a jej mąż był uczciwy. On nie mógł, po prostu nie mógł napisać tych potwornych listów. Przypomniała sobie znowu szaleńczą jazdę przez Pittsburgh i cudowną ucieczkę. Musi wreszcie zrozumieć całą tę dziwną sytuację.

W tym czasie Gordon mknął do innej dzielnicy tak szybko, na ile odważył się doświadczony szofer. Mniej więcej w tej chwili, gdy skręcili za rogiem w szeroką aleję, na placyku przed domem szefa tajnej służby pojawili się dwaj rośli policjanci. Nic w ich zachowaniu nie wskazywało, że zostali tutaj przysłani na specjalny rozkaz. A jednak ten pozornie zwykły patrol zjawił się tu w wyniku pilnego telefonu szefa, który zadzwonił do głównej komendy natychmiast po otrzymaniu wiadomości od Gordona. Na pewno nie mogli o tym wiedzieć trzech mężczyźni, którzy właśnie wpadli do małego parku po drugiej stronie ulicy.

Policjanci wolnym krokiem przeszli obok domu, wymienili pozdrowienia, obeszlili plac i skierowali się do parku. Zauważyli trzech rozpartych na ławce mężczyzn, ale minęli ich bez słowa i zniknęli za rogiem, co przywróciło tamtym poczucie bezpieczeństwa. Nawet nie przypuszczali, że są obserwowani z ukrycia. Kiedy podjechał samochód, cała trójka opuściła ławkę i rozmieściła się w krzakach, ale żaden ich ruch nie pozostał nie zauważony. Zachodzili w głowę, skąd nagle wzięli się ci sami policjanci, w chwili gdy auto zatrzymało się przed domem.

Gordon przeskoczył schody, a drzwi same się otwały, jakby tylko na niego czekali. Dwaj ponurzy, niewzruszeni policjanci stanęli na straży jak kamienne posagi, a na ulicy pojawili się kolejni dwaj, konno, i również zatrzymali się przed tym samym budynkiem. Trzej mężczyźni w krzakach schowali swoje śmiertelne narzędzia i pewnie wzięliby nogi za pas, gdyby

mieli jakąś szansę ucieczki, ale od tyłu zaszło ich trzech innych umundurowanych mężczyzn. Jeden ze złoczyńców z desperacją spróbował wyrwać się na wolność, ale rozległ się strzał z rewolweru i w efekcie śmiałek musiał pospieszyć na spotkanie ze sprawiedliwością z prawą ręką na temblaku.

Gordon położył zaszyfrowaną wiadomość przed szefem i stał bez słowa, kiedy tamten czytając rozważał jej ogromne znaczenie dla kraju. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że szef zapewne zażąda sprawozdania z podróży i podania przyczyn, dla których stracił cały dzień na dotarcie do Waszyngtonu. Jego serce zamarło. Co ma teraz zrobić? Jak wszystko wytłumaczyć? Czy ma prawo opowiedzieć o swoim ślubie z nieznaną kobietą? Ślubie, który właściwie wcale nim nie był. Wciąż nie wiedział, co będzie dalej, póki nie porozmawia z Celią. On sam był pewien, że ta dziewczyna jest największą radością jego życia. Musi myśleć o niej i bronić jej dobrego imienia. Jeżeli zdarzyłoby się, że chciałyby dzielić z nim życie jako żona, nikt nie może się dowiedzieć, że to małżeństwo nie było wcześniej planowane. Ich życie, razem czy osobno, stałoby się nie do zniesienia. Choć mógł w pełni zaufać swojemu szefowi i jego dyskrecji, czuł, że wspomnianie o tej sprawie byłoby nadużyciem zaufania Celii. Nie wolno mu o tym mówić, dopóki z nią nie porozmawia i nie dowie się, jakie są jej życzenia. Westchnął ze znużenia. Przebył długą i ciężką drogę, a jeszcze nie dotarł do celu. Najgorsze będzie uświadomienie Celii, że tak naprawdę nie jest jego żoną.

Szef podniósł oczy.

- Czy jesteś w stanie to odczytać, Gordon? - zapytał, zauważając zmęczenie w oczach agenta i jego napiętą twarz.

- Tak, od razu było to dla mnie jasne. Obawiałem się wręcz, że mój wzrok wyda tajemnicę, zanim zdążę się wymknąć.

- Więc zdajesz sobie sprawę, że uratowałeś kraj i wyświadczyłeś rządowi nieocenioną przysługę.

Na twarz Gordona wystąpił rumieniec zadowolenia.

- Dziękuję - rzekł, spuszczać wzrok. - Wiedziałem, że to ważne i cieszę się, że udało mi się wypełnić zadanie.

- Czy przypuszczasz, że byłeś śledzony już wcześniej, przed przyjazdem do miasta?

- Tak, jestem pewien, że śledzono mnie już od Nowego

Jorku. Zauważyłem na dworcu jednego z ludzi, którzy byli ze mną na kolacji. Moja charakteryzacja i... pewne okoliczności... musiały go zmylić. Nie miał pewności. Potem był jeszcze jeden - zna go pan, Balder - w Pittsburghu...

- W Pittsburghu?!

- Tak. Dziwi pana, że się tam znalazłem. Otóż podejrzewam, iż śledzono mnie od pierwszej chwili, gdyż na stacji w Nowym Jorku rozpoznałem tego mężczyznę, który kilka minut wcześniej siedział naprzeciwko mnie przy stole u Holmana. Myślę, że zmyliła go charakteryzacja, w którą mnie pan przezornie zaopatrzył, bo nie odezwał się ani słowem, choć prawie się o mnie otarł. Musiałem wsiąść do pierwszego lepszego pociągu i może to fakt, że jechał do Chicago, ostatecznie zbił go z tropu. W każdym razie po odjeździe pociągu więcej go nie zobaczyłem. Raczej niespodziewanie udało mi się dostać salonkę i natychmiast poszedłem spać, po czym wysiadłem z pociągu o świcie, kiedy chwilowo został zepchnięty na bocznice. Przeszedłem kawałek piechotą, a potem wynająłem wóz, dotarłem do stacji i złapałem pociąg do Pittsburgha. Nie udało mi się wysiąść z poprzedniego pociągu wcześniej, bo nie stawał na żadnej stacji, a wyjechał z Nowego Jorku późnym wieczorem. Uznałem, że objazd będzie mniej ryzykowny. Nie spodziewałem się, że i w Pittsburghu będą na mnie czekać. Wciąż nie mogę zgadnąć, jak wpadli na mój trop, ale gdy tylko dojechałem, zauważyłem Baldera wyciągającego szyję ponad tłumem. Natychmiast wymknąłem się z dworca i przed samymi drzwiami wyjściowymi znalazłem powóz. Wsiadłem i kazałem się zawieźć na stację East Liberty.

Po tym doświadczeniu zawsze już chyba będę się obawiał zamkniętych powozów. Mam powody. Ledwie zdążyłem zamknąć drzwi, woźnica pognał jak szalony. Nie myślałem o tym, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że jedziemy już dłużej niż się spodziewałem, a koń wciąż pędzi galopem. Potem zauważyłem, że jesteśmy w nie znanej mi, opuszczonej dzielnicy. Zastukałem w szybę i zawołałem woźnicę, ale nie zwrócił na mnie uwagi. Okazało się, że drzwi i okna są zablokowane.

Odkryłem, że woźnica ma uzbrojonego towarzysza. Po usilnych staraniach udało mi się otworzyć jedne drzwi i uciec,

kiedy stanęliśmy przed przejazdem kolejowym. Jestem przekonany, że było to porwanie i że gdyby nie udało mi się uciec w tamtej chwili, już nigdy nie usłyszałby pan ani o mnie, ani o wiadomości. W końcu dotarłem na dworzec East Liberty i wskoczyłem do pierwszego pociągu.

Ogromnie się cieszę, że mogę wreszcie pozbyć się tego papieru. Moja opowieść byłaby jeszcze dłuższa, ale chciałem przedstawić przede wszystkim najistotniejsze zdarzenia.

Pocziwy szef serdecznie uściśnął dłoń Gordona i rzekł:

- Musisz być wyczerpany. Na pewno ostatniej nocy niewiele spałeś.

- Rzeczywiście - przyznał Gordon. - Całą drogę przesiedziałem w zatłoczonym wagonie na twardej ławce. Poza tym byłem raczej przejęty.

- Naturalnie! - wykrztusił szef z atakiem kaszlu, co miało znaczyć, że jest głęboko poruszony. - Nie zapomnimy ci tego, młodzieńcze. Teraz proszę wrócić do domu i dobrze się wyspać. Możesz mieć cały dzień wolny, a jutro rano opowiesz mi resztę. Czy nie ma nic więcej, o czym wymiar sprawiedliwości powinien się dowiedzieć natychmiast?

- Nie sądzę - odrzekł Gordon z ulgą. - Mam listę osób obecnych na kolacji u Holmana. Sporządziłem ją wczoraj, kiedy nie mogłem zasnąć. Zanotowałem też kilka urywków rozmów, które świadczą, jak daleko zaszedł spisek. Gdybym nie znał treści szyfru, nie byłbym w stanie zrozumieć, o czym była mowa.

- Hm... tak. Gdybyśmy przedtem mieli więcej czasu, mógłbym ci wszystko wytłumaczyć. Z drugiej strony lepiej było, żebyś się zachowywał swobodnie. Uznałem, że najlepiej będzie, jeżeli nie będziesz znał treści szyfru.

- Myślę, że tak właśnie było dobrze. Jest pan doskonałym organizatorem, sir! Przewidział pan każdy szczegół... To po prostu niewiarygodne!

- Uff! Wracaj do domu i kładź się do łóżka! - rzucił szef raczej opryskliwie.

Nacisnął guzik dzwonka i pojawił się służący.

- Czy wyjście jest czyste, Jessup?

- Tak, proszę pana - oświadczył służący. - Postrzelali

trochę w parku i wzięli tamtych na posterunek. Eskorta dla pana czeka pod drzwiami.

- Zbieraj się do domu, Gordon, i nie zjawiaj się w biurze wcześniej niż jutro o dziesiątej. Przyjdź prosto do mojego gabinetu.

Gordon podziękował i wyszedł za siwym służącym. Zaskoczyli go czekający na zewnątrz policjanci. Jeszcze bardziej zastanowił go fakt, że jeden wciąż jechał przed nim, a drugi trzymał straż z tyłu. Ulżyło mu, że nie musiał opowiadać wszystkich szczegółów. Teraz pragnął jedynie wrócić do Celi i powiedzieć jej o wszystkim, ale zarazem bał się tego momentu bardziej niż cegokolwiek dotąd. Oparł się wygodnie, ukrył twarz w dłoniach i spróbował wymyślić jakiś początek, ale był w stanie myśleć tylko o jej słodkich, pełnych łez oczach i cudownym poranku, jaki spędzili razem w Milton. Urocze małe Milton. Czy dane mu będzie tam wrócić?

Wolno mijały godziny. Stojąca w oknie Celia denerwowała się coraz bardziej, a on wciąż nie wracał. W końcu pojawił się samochód w eskorcie dwóch konnych policjantów, a w nim ten, na którego czekała.

Na chwilę przestali ją interesować ukryci w krzakach mężczyźni, a kiedy znowu zwróciła na nich uwagę, biegli jak szaleńcy w kierunku przeciwnym do nadjeżdżającego samochodu, usiłując zatrzymać taksówkę.

Zobaczyła, jak Gordon wysiada z samochodu i wchodzi do budynku, jak samochód odjeżdża, a policjanci zatrzymują się na rogu ulicy. Usłyszała odgłos wjeżdżającej windy, trzask drzwi, gdy zatrzymała się na piętrze, a w końcu zbliżające się kroki i chrobot klucza w zamku. Splotła dłonie, odwróciła się i spojrzała na niego zarazem z radością i strachem.

- Och, tak się o ciebie bałam! Jak dobrze, że wreszcie wróciłeś! - zawołała, niemal łkając, i zrobiła krok w jego stronę.

Gordon cisnął kapelusz na podłogę i z płonącymi oczyma i wyciągniętymi ramionami przybliżył się do niej.

- Naprawdę się przejmowałaś? - zapytał z obawą. - Kochanie, martwiłaś się tym, co się ze mną stanie?

- O, tak, martwiłam się! To było silniejsze ode mnie - teraz rzeczywiście się rozpłakała, choć jej oczy iskrzyły się radością.

Otoczył ją ramionami, jak gdyby chciał zatrzymać ją przy sobie, ale zrobił to tak, aby jej nie urazić. Zdawało się, że chce otoczyć jej ciało i duszę błogostawieństwem. Spojrzał jej prosto w oczy i wyszeptał:

- Och, kochanie, chyba będę musiał przytulić cię i pocałować!

Celii zaparło dech w piersiach. Popatrzyła na niego i wydało się jej, że rozumie. Potem z niewymuszoną uległością szepnęła:

- Mogę ci zaufać - i przymknęła oczy.

- Nie, póki nie dowiesz się wszystkiego - odrzekł i delikatnie usadowił ją w wielkim fotelu. Dziewczyna pomyślała, że nigdy nie zapomni jego wzroku, tak pełnego szacunku i samozaparcia.

- Więc opowiedz mi szybko - przez całe jej ciało przebiegł dreszcz wywołany strachem. Położyła rękę na sercu, jakby próbując je uspokoić, i spuściła głowę.

Gordon z oczyma wbitymi w podłogę usiadł na skórzanej kanapie naprzeciwko. Bał się zacząć.

Dziewczyna przypatrując się jego pochylonej głowie, oczekiwała objawienia.

W końcu podniósł oczy i napotkał jej wzrok, pod którym jego twarz się rozpogodziła.

- To dziwna historia - zaczął. - Nie wiem, co będziesz o mnie myśleć, kiedy skończę. Możesz mnie uznać za człowieka zbłąkanego, głupca czy łotra, ale chcę, żebyś wiedziała, że wolałbym w tej chwili umrzeć niż przysporzyć ci cierpienia.

Oczy Celii rozbłysły cudownym światłem, po czym napęłniły się łzami; łzami radości, która rozjaśniała całą jej twarz.

- Mów dalej, proszę - rzekła słodko, po czym dodała: - Wierzę ci.

Mimo to początek nie był łatwy. Gordon wziął głęboki oddech i rozpoczął.

- Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz - spojrzał, żeby sprawdzić, jak ona to przyjmie. - Nie nazywam się George Hayne. Nazywam się Cyril Gordon.

Wyrzucił z siebie tę prawdę i teraz czekał z zapartym tchem,

mając nadzieję, że Celia nie zwróci się przeciw niemu. Przypominało to sytuację, kiedy łucznik strzela do ukochanej osoby, mając nadzieję, że strzała nie trafi do celu.

- Och! - odetchnęła dziewczyna, jak gdyby udało jej się rozwiązać część łamigłówek. - Och! - w tym okrzyku nie było ani wiele zaskoczenia, ani niezadowolenia. Spojrzała na niego, oczekując dalszych wyjaśnień, więc Gordon kontynuował.

- Jestem agentem tajnej służby, z główną kwaterą w Waszyngtonie, i trzy dni temu wysłano mnie z niezwykle ważnym zadaniem do Nowego Jorku. Jednemu z naszych ludzi ukradziono zaszyfowaną wiadomość niezwyklej wagi. Miałem ją odzyskać, zanim tamtym uda się ją rozszyfrować. Jej znaczenie było tak wielkie, że miałem wyjechać pod przybranym nazwiskiem i nie mogłem pozwolić, żeby cokolwiek mnie zatrzymało w drodze powrotnej. Wiedziałem, że może mnie to kosztować życie.

Podniósł wzrok. Dziewczyna siedziała z szeroko otwartymi oczyma i zaciśniętymi dłońmi.

Ciągnął dalej, aby niepotrzebnie nie przedłużać jej męki.

- Nie będę cię zdręczał szczegółami. Po drodze zatrzymało mnie wiele spraw, co bardzo mnie zdenerwowało, ale wykonałem plan mojego szefa, odzyskałem wiadomość i szczęśliwie wydostałem się z domu człowieka odpowiedzialnego za kradzież. Kiedy zatrzasnąłem za sobą drzwi, wiedziałem, że za kilka sekund ruszy pościg - sześciu rozwścieczonych mężczyzn, którzy nie cofną się przed niczym, żeby odebrać mi szyfr. Nagle zobaczyłem powóz stojący niemal naprzeciw drzwi. Stangret wziął mnie za człowieka, na którego czekał, a ja wykorzystałem tę pomyłkę. Wskoczyłem na siedzenie, każąc mu jechać bez ociągania się. Miałem zamiar dać mu dalsze instrukcje, ale najwidoczniej dostał jakieś wcześniej, więc pomyślałem, że zawołam go, kiedy już wyjedziemy z tej niebezpiecznej dzielnicy. W dodatku byłem pewien, że goni nas samochód i motocykl. Jeden z mężczyzn w samochodzie kilka minut wcześniej siedział ze mną przy stole. Stangret jechał jak szalony, a ja pospiesznie starałem się zabezpieczyć wiadomość na wypadek, gdybym został złapany. Poza tym ucharakteryzowałem się trochę - szef dał mi fałszywe brwi



i kilka innych drobiazgów. Zanim zdążyłem przyjrzeć się okolicy, powóz zatrzymał się przed jakimś budynkiem. Samochód i motocykl stanęły tuż za nami i poczułem, że wpadłem w pułapkę.

Celia jęknęła, a Gordon, nie odważywszy się podnieść wzroku, ciągnął:

- Prawie całą resztę znasz. Okazało się, że stanęliśmy przed kościołem. To, co zdarzyło się potem, było, jak mi się zdaje, wynikiem mojego ogromnego zdenerwowania. Nie potrafię inaczej usprawiedliwić mojej głupoty i tchórzostwa. Nie mogłem niczego wyjaśnić podczas całego tego zamieszania ze względu na moją ściśle tajną misję. Nie wolno mi było narażać się na żadne ryzyko. W pierwszym momencie zajmowało mnie jedynie moje zadanie. Może jeżeli chcesz o tym pamiętać, będziesz mogła osądzić mnie trochę mniej surowo. Gdy powóz się zatrzymał, myślałem jedynie o tym, jak się uwolnić od pościgu, dlatego też sprawy, które w innych okolicznościach byłyby dla mnie oczywiste, teraz zupełnie straciły znaczenie. Kiedy powóz stanął, ktoś otworzył drzwi i usłyszałem pytanie: „Gdzie jest świadek?”. Ktoś zawołał: „Tutaj!”. Zrozumiałem, że wzięli mnie za świadka, ale gdy tylko wysiadę, pomyłka wyjdzie na jaw. Nie miałem szans na ucieczkę. Mogłem zresztą spróbować zniknąć w ciemnościach, ale zostałem otoczony przez ludzi, którzy uważali, że wszystko jest w porządku.

Ścigający mnie mężczyźni wciąż deptali mi po piętach. Jestem pewien, że to oni „zorganizowali” nam tę dziką przejażdżkę po Pittsburghu! Z rozmów wynioskowałem, że człowiek, z którym mnie pomyłono, od dziesięciu lat przebywał za granicą, więc chyba nikt nie był pewien jego wyglądu. Dwukrotnie próbowałem wyjaśnić, że zaszła pomyłka, że wsiałem do czyjegoś powozu i że nie jestem tym, na którego czekają, ale nie dano mi czasu ani na wyjaśnienie, ani nawet na zastanowienie się. Zrozumiawszy, że musiałbym wyrwać się siłą i uciec na oczach wszystkich, uznałem, że nie zrobię nikomu krzywdy, grając rolę świadka na spóźnionym ślubie, skoro wszyscy wydają się tego chcieć. Miałem zamiar wymknąć się zaraz po ceremonii. Pomyślałem, że kiedy pojawi się prawdziwy świadek, mogą się głowić nad rozwiązaniem tej łamigłówki, ale ja

już będę daleko. Poza tym kościół był dobrym miejscem do ukrycia się na pół godziny, póki moi prześladowcy nie zgubią zupełnie tropu i nie zaczną szukać mnie gdzie indziej. Teraz wiem, że nawet to było ogromną pomyłką z mojej strony, ale wtedy nie widziałem w tym niczego złego, a goście najwyraźniej chcieli, żeby uroczystość wreszcie się zaczęła. Weź, proszę, pod uwagę, że cały czas myślałem, w jaki sposób ukryć wiadomość, żeby bezpiecznie dostarczyć ją szefowi. Nic więcej się nie liczyło. Skoro prawdziwy świadek się spóźnił i wszyscy chcieli, żebym zajął jego miejsce, co w tym złego? Jeżeli zjawiłby się w trakcie, pomyślałby, że ktoś go zastąpił.

Potem przedstawiono mi twojego brata, Jeffersona. Myślałem, że to on jest narzeczonym i byłem o tym przekonany do momentu, kiedy związano nam ręce!

- Och! -jęknęła Celia i podniosła drugą rękę do twarzy.

- Wiedziałem! - powiedział gorzko. - Wiedziałem, że tak to odczujesz, kiedy się dowiesz. Zasłużyłem sobie na to. Okazałem się głupcem, łotrem, szubrawcem - cokolwiek jeszcze przyjdzie ci na myśl! Nie możesz wiedzieć, jak cierpiałem od tego momentu i jak się obwiniam.

Wstał gwałtownie i podszedł do okna. Na widok zalanej słońcem ulicy ściągnął brwi i pomyślał, że to niemożliwe, że wszyscy spieszą się jak zwykle, kiedy dla niego życie nagle się zatrzymało.

Zapadła grobowa cisza. Celia nawet nie płakała. Po chwili Gordon odwrócił się i podszedł do niej.

- Wiem, że nie możesz mi tego wybaczyć. Nie oczekuję tego! Nie zasłużyłem na twoje przebaczenie! Ale proszę, nie martw się tak bardzo. Wszystkim to dokładnie wyjaśnię. Wezmę całą winę na siebie i znajdę świadków, którzy potwierdzą każde słowo...

Dziewczyna podniosła mokre oczy i spojrzała na niego rozżalona i zaskoczona.

- Wcale cię nie winię - rzekła żałośnie. - Nie widzę tu twojej winy. To po prostu niezwykły wypadek, dziwny zbieg okoliczności. Nie mogę cię winić! Nie ma czego wybaczać, a nawet gdyby było, chętnie bym to zrobiła!

- Więc dlaczego jesteś taka przygnębiona? - zapytał oszłomiony, jak często zdarza się mężczyznom, kiedy kobieta zaczyna płakać, a oni nie potrafią dostrzec powodu.

- Och, czyżbyś nie wiedział?

- Nie, nie wiem. Chyba nie z żalu za tym łotrem, któremu obiecałaś poświęcić życie?

Potrząsnęła głową i powtórnie ukryła twarz w dłoniach. Łzy kapały jej przez palce, a każda z nich wypalała w jego sercu gorące piętno.

- Więc o co chodzi? - niemal zażądał odpowiedzi, ale drobne ramiona Celi zaczęły trząść się od płaczu.

Delikatnie dotknął jej pochylonej główki.

- Nie powiesz mi, kochanie? - zapytał, klękając u jej stóp.

Łkanie ustało i Celia przez chwilę siedziała cicho. Jego dłoń wciąż czule gładziła jej włosy.

- To dlatego... że ożeniłeś się ze mną... nie wiedząc... Och, czy nie rozumiesz, jakie to straszne?

Och, głupia i ślepa miłości! Gordon podniósł się z klęczek jak ugodzony kamieniem.

- Nie musisz się tym dłużej przejmować - rzekł urażony.  
- Czy nie powiedziałem, że natychmiast zwrócę ci wolność? Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie uznałby tego związku za ważny.

Celia przez moment nic nie mówiła, po czym podniosła głowę. W jej słodkich oczach zabłysła urażona duma.

- To ja zwrócę ci wolność! - stwierdziła. - Nie mogłabym dopuścić, żebyś czuł się związany ze mną poprzez nieporozumienie wynikłe z ogromnego napięcia nerwów. Nie można cię winić! To ja zwrócę ci wolność!

- Jak wolisz - odrzekł gorzko, odwracając się do okna.  
- Efekt jest ten sam. Nie masz się czym przejmować.

- Wcale nie - zaprzeczyła z uczuciem, które przeżytyło udawaną wyniosłość. - Zawsze będę miała świadomość, że złamałam ci życie. Przeze mnie doświadczyłeś okropnych rzeczy i pewnie nigdy nie uda ci się tego zapomnieć. Wszystko się zmieni...

Umilkła, a resztę dopowiedziały spływające po jej policzkach łzy.

- Tak - rzucił gorzko Gordon. - Wszystko się zmieni. Zawsze będę cię widział na tym krześle i zawsze będzie mi cię tu brakowało! Ale ciesz się... Naprawdę się cieszę... Gdyby nie to, nigdy nie wiedziałbym, co straciłem - mówił coraz gwałtowniej, wpatrzony w jeden punkt.

Celia przyglądała mu się zdumiona, a jej niebieskie oczy znowu rozbłysły.

- Co masz na myśli? - zapytała cicho.  
- To, że nigdy cię nie zapomnę - ciągnął, podchodząc bliżej - że nie chcę cię zapomnieć. Wolę te dwa dni w twoim towarzystwie niż całe życie z kim innym.  
- Och! Więc dlaczego powiedziałeś... dlaczego powiedziałeś, że zwracasz mi wolność?

- Nie przypominam sobie niczego takiego. To ty to powiedziałaś.

- Powiedziałam, że zwalniam cię z przysięgi, bo nie mogłabym wymagać od ciebie życia w związku, którego nie chciałeś...

- Ale ja nic podobnego nie mówiłem. Powiedziałem tylko, że nie będę zatrzymywał ciebie, jeżeli sama nie zechcesz zostać.

- Czy to znaczy, że gdybyś poznał mnie lepiej - tyle, na ile znasz mnie teraz - i zrozumiał swoją pomyłkę, zanim było za późno, chciałbyś dokończyć ceremonii?

Czekała na odpowiedź z zapartym tchem.

- Gdybyś znając mnie tak dobrze jak teraz, spjrzała i stwierdziła, że to ja, a nie George Hayne, czy zgodziłabyś się zostać moją żoną?

Celia zarumieniła się i spuściła oczy.

- Ja pierwsza zadałam ci pytanie - rzekła z lekkim uśmiechem.

Gordon zauważył światło w głębi jej oczu i wreszcie zaczął rozumieć. Jego twarz także się rozjaśniła.

- Ukochana - zaczął. - Powiem więcej niż chciałaś usłyszeć. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem twoją twarz okrytą białym welonem, całym sercem żałowałem, że nie poznałem cię wcześniej i nie zdobyłem cię, zanim zrobił to ktoś inny. Gdy się odwróciłaś i spjrzałaś na mnie z tak ogromnym żalem, całą moją istotą poprzysiągłem, że będę cię chronić. Od tej chwili należałem do ciebie. A kiedy poczułem twoją dłoń w mojej, zapragnąłem, żeby tak pozostało na zawsze. Teraz wiem, choć wcześniej tego nie rozumiałem, że prawdziwą przyczyną, dla której nie ujawniłem swej tożsamości, nie była obawa przed konsekwencjami ani przed sceną, jaką wywołałbym w kościele, ale pragnienie zatrzymania tego, co tak nagle zostało mi dane. Wedle wszelkich praw ziemskich i niebieskich jesteś moją żoną, jeżeli tylko powiesz „tak”. Kocham cię. Nigdy nie przypuszczałem, że można tak kochać, ale jeżeli nie chcesz zostać ze mną, zwrócę ci wolność. Prawdą jest, że nigdy już nie będę taki jak przedtem, gdyż w sercu jestem tobie poślubiony i na zawsze tak pozostanie. Teraz spójrz na mnie, ukochana, i odpowiedz.

Stał przed nią z wyciągniętymi ramionami. Celia wstała i podeszła do niego z oczyma wbitymi w podłogę.

- Nie chcę być wolna - rzekła.

Wziął ją w ramiona delikatnie i czule, po czym pocałował ją w usta.

W tę błogosławioną chwilę wdarł się natarczywy dzwonek telefonu. Gordon pozwolił mu dzwonić przez jakiś czas, ale aparat był nieubłagany. W końcu, wciąż obejmując Celię, gospodarz podniósł słuchawkę.

Ku jego irytacji kabel przyniósł władczy głos panny Bentley.

- Och, panna Bentley! Dzień dobry! Wiadomość? Nie... Ach, dopiero co wszedłem...

W przerwie zdjęta paniką Celia wręczyła mu kartkę z wiadomością od Julii.

- Ach, tak, dostałem wiadomość. To bardzo miło z pani strony... - ciągnął oficjalnym tonem - ale musi mi pani wybaczyć. Naprawdę. To niemożliwe. Mam już inne zobowiązania...  
- mocniej objął Celię i chwycił jej rękę, ściskając ją znacząco. Uśmiechnął się, po czym wrócił do rozmowy.

- Przepraszam, nie dosłyszałem. Odwołać inne wizyty i przyjść?... Niemożliwe! - jego głos brzmiał zdecydowanie, a dłoń coraz mocniej zaciskała się na miękkich palcach Celi.

- Cóż, przykro mi bardzo. Naprawdę nie robię tego celowo. Nie, jutro też nie będę mógł... Na kilka najbliższych dni nie mogę nic planować... Być może będę znów musiał wyjechać z miasta... Możliwe, że będę musiał wrócić do Nowego Jorku. Tak, mam tam pilne sprawy. Mam nadzieję, że mi pani wybaczy. Przykro mi, że panią rozczarowałem. Nie, naprawdę nie zrobiłem tego celowo. Będę miał dla pani wspaniałą wiadomość, kiedy się znowu zobaczymy... albo - spojrzął na Celię z miłością - może znajdę jakiś sposób, żeby dać pani znać wcześniej.

Celia na przemian rumieniła się i bladła. Zrozumiała, co miał na myśli i przytuliła się mocniej.

- Nie, to nie jest rozmowa na telefon. Nie, może poczekać. Dobre rzeczy zawsze mogą czekać, o ile się o nie dba. Nie, naprawdę nie mogę. Bardzo mi przykro z powodu dzisiejszego wieczoru, ale nie mogę nic na to poradzić... Do widzenia.

Odłożył słuchawkę z westchnieniem ulgi.

- Kim jest ta panna Bentley? - zapytała Celia z wrodzonej ciekawości. Ucieszyło ją, że Gordon nie zwracał się do tamtej po imieniu.

- Cóż... chyba można ją nazwać przyjaciółką. Ostatnio zabierała mi więcej czasu niż naprawdę miałem ochotę jej ofiarować. Mimo to jest sympatyczną dziewczyną. Sądzę, że ją polubisz, ale mam nadzieję, że nigdy nie będziecie ze sobą zbyt blisko. Nie chciałbym, żeby ciągle się tu kręciła. Ona... - urwał na chwilę, po czym zakończył ze śmiechem - ona mnie męczy.

- Jej ton sprawiał wrażenie, że jest bardzo bliską przyjaciółką... kimś, na kim ci zależy. Brzmiało w nim coś jak poczucie własności.

- Tak, rzeczywiście traktowała mnie jak swoją własność - zaśmiał się Gordon. - Nie mogłoby mi na niej zależeć. Nigdy. Ponieważ bez przerwy mi powtarzano, że muszę się ustakować, raz świadomie zacząłem to rozważać, ale myśl o jej ciągłej bliskiej obecności była... po prostu nie do zniesienia. Jesteś królową serca, które nigdy nie kochało innej kobiety. Nie myślałem, że taka miłość w ogóle jest możliwa. Wiedziałem, że czegoś mi brakuje, ale nie wiedziałem czego. W moim życiu nie zdarzyło się nic równie wspaniałego.

Znowu przyciągnął ją do siebie i spojrzał prosto w tę śliczną, tchnącą niewyobrażalną słodczą twarzyczkę.

- I naprawdę chcesz zostać moją żoną! Moją żoną! - wykrzyknął, biorąc ją w ramiona.

Ciche pukanie do drzwi oznajmiło im przybycie służącego, gdyż Gordon uznał, że należy zamówić obiad.

- Już otwieram, Henry. Oto moja żona. Mam nadzieję, że od tej chwili będziesz się starał spełniać wszystkie jej życzenia tak, jak moje.

Służący ukłonił się ślicznej pani z nie ukrywaniem zadowoleniem.

- Bardzo się cieszę, proszę pana, i gratuluję panu i pani też. W całych Stanach nie znalazłaby pani lepszego męża niż pan Gordon. Ogromnie się cieszę, proszę pana, że się pan ożenił i mam nadzieję, że wszystko będzie doskonale.

Henry podał obiad w najlepszym stylu, a jego twarz aż

błyszczała z radości, gdy bezszelestnie nakrywał do stołu, z podziwem przyglądając się pani, która stała obok z miniaturowym portretem w ręce i zadawała mężowi kolejne pytania.

- Powiedziałaś, że to twoja mama? Jaka ona śliczna! I zmarła tak dawno? Nigdy jej nie znałeś? Jakie to dziwne, mieć taką śliczną dziewczynę za matkę!

Ukryci w niszy okiennej podali sobie ręce, nie spodziewając się, że Henry zauważy ich spojrzenia i pielęgnacyjne gesty. Służący dyskretnie odwrócił wzrok i uśmiechnął się życzliwie do solniczki i sałatki z selera, którą właśnie stawiał na stole. Potem pobiegł do kwaciarni obok i wrócił z bukietem dwunastu białych róż, które ustawił w kryształowym dzbanku, jednym z nielicznych drobiazgów, jakie zostały Gordonowi po matce.

Kiedy skończyli wspaniały obiad, a Henry posprzątał i wyszedł z pokoju, Gordon zapytał:

- Ciekawe, co się stało z twoim byłym narzeczonym. Myślisz, że wciąż będzie się starał nam zaszkodzić?

Celia podniosła ręce w geście przerażenia.

- Och! Zupełnie o nim zapomniałam! To straszne! Oczywiście, że da o sobie znać. Pewnie spełni wszystkie swoje pogroźki. Jak mogłam o tym zapomnieć! Może mama przeżywa teraz tragedię. Co możemy przedsięwziąć? Co ja mogę zrobić?

- Nie bój się - starał się ją uspokoić. - Nie może zrobić niczego naprawdę złego, a jeżeli spróbuje, szybko go uciszymy. Jego listy to podły szantaż. George jest wielkim tchórzem, który natychmiast się gdzieś zaszyje, gdy tylko sprawa się wyda. Próbował cię wykorzystać, bo myślał, że nie znasz się na prawie. Jestem pewien, że mogę go rozbroić!

- Naprawdę? Ale mama! Biedna mama! To ją zabije! A wściekłego George'a nic nie jest w stanie powstrzymać. Zbyt długo go znam. Jeżeli spełni swoje groźby, stanie się coś strasznego - jej twarz była pełna bólu, a oczy pełne łez.

- Musimy natychmiast zadzwonić do mamy i uspokoić ją. Potem pomyślimy, co powinniśmy robić dalej. Jak mogłem nie wpaść na to wcześniej?

Na myśl o rozmowie z matką Celia się rozpromieniła.

- Och, cudownie! Czemu ja o tym nie pomyślałam? Jak dobrze, że wynaleziono telefon!



Razem podeszli do stolika z aparatem.

- Ty zadzwonisz, czy może ja powinienem? - zapytał.

- Ty zadzwoń, a ja będę rozmawiać z mamą - odpowiedziała z blaskiem radości w oczach. - Chcę, żeby znowu usłyszeli twój głos. Sam jego dźwięk świadczy, że jesteś dobrym człowiekiem.

Gordon obdarzył ją przepięknym spojrzeniem.

- To jak wytłumaczysz fakt, że wczorajszego popołudnia wcale nie uważałaś mnie za dobrego człowieka? Doskonale to wyczułem. Starłem się jak najlepiej zaprezentować ci mój głos, ale nic to nie dało.

- Sam rozumiesz, że wtedy było inaczej! Musiałam brać pod uwagę tamte listy. Mama i Jeff wcale o nich nie wiedzą.

- A co masz zamiar teraz im powiedzieć?

Ściągnęła brwi w zamyśleniu.

- Spróbuj zorientować się, ile już wiedzą - zasugerował Gordon. - Jeżeli ten George Hayne jeszcze się nie pojawił, może mogłabyś napisać list, a może uda nam się jutro do nich pojechać i osobiście wszystko wyjaśnić.

- Naprawdę? Cudownie!

- Myślę, że tak - potwierdził. - Jestem pewien, że się uda. Jak wiesz, praca w wywiadzie nie obejmuje podróży poślubnej, ale może jakoś przekonam do tego moich szefów. Na pewno byłoby to możliwe za kilka dni, o ile nie wstrzyma mnie sprawa Holmana. Mogą mnie powołać na świadka. Muszę najpierw porozmawiać z szefem.

- W takim razie możesz zadzwonić i powiedzieć coś miłego - cokolwiek, a potem ja porozmawiam z mamą.

Podąła mu numer i za kilka minut usłyszeli „Halo!” z Nowego Jorku.

- Halo! - zawołał Gordon. - Czy to pan Jefferson Hathaway?... Dzwoni twój nowy szwagier. Jak się czujecie?... Czy mama ochłoneła już i odpoczęła?... To dobrze... O co chodzi?... Próbowaleś dzwonić do nas do Chicago?... Ale nas tam nie było. Zmieniliśmy plany i przyjechaliśmy do Waszyngtonu. Tak, jesteśmy w Waszyngtonie, w Harris Apartments. Przepraszamy, że nie skontaktowaliśmy się z wami wcześniej. Jest mi bardzo przykro. Celia właściwie nie mogła nic na to poradzić,

tyle miała zajęć. Tak, czuje się bardzo dobrze i wydaje się szczęśliwa. Zresztą chce sama z tobą porozmawiać. Spróbuję jutro przywieźć ją na krótką wizytę. Ja także pragnę się z wami zobaczyć. Mamy wam mnóstwo do powiedzenia... Daję ci Celię. Chce z tobą mówić.

Celia z błyszczącymi oczyma i ustami drżącymi z tłumionego podniecenia ujęła słuchawkę.

- Och, Jeffie kochany, jak dobrze znowu usłyszeć twój głos. Czy wszystko w porządku? Tak, na razie jest nam wspaniale i mam ci coś ważnego do powiedzenia. Wszystkie te miłe rzeczy, które mi o nim powiedziałaś na stacji, są prawdą. Tak, jest taki dobry, jak mówiłeś, a nawet dużo lepszy. O tak, jestem bardzo szczęśliwa. Czy mama dobrze się czuje? Czy wszystko jest w porządku? Niczego przed tobą nie ukrywa? Obiecałeś wszystko mi mówić! Słucham? Uważała, że byłam smutna? Rzeczywiście byłam, ale to już minęło. Jest wspaniale. Poproś mamę do telefonu, dobrze? Chciałabym, żeby mnie zrozumiała.

- Zamierzam jej wszystko wyjaśnić, kochanie - wyszeptwała, spoglądając na Gordona. - Boję się, że George zjawi się tam przed nami i narobi kłopotów.

W odpowiedzi nachylił się, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Rób, co uważasz za najlepsze, najdroższa.

- Czy to ty, mamusiu? - z uśmiechem wróciła do telefonu.

- Kochana mamusiu! Tak, jestem bezpieczna i szczęśliwa i przykro mi, że się o mnie martwiłaś. Nigdy więcej na to nie pozwolę. Słuchaj, mamo, mam dla ciebie niespodziankę. Wcale nie wysłałam za George'a Hayne'a. Nie, mówię, że *nie wysłałam* za George'a Hayne'a. To niegodziwy człowiek. Nie mogę mówić o tym przez telefon, ale to właśnie dlatego byłam taka smutna. Tak, wysłałam za męża, ale nie za George'a. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak oni się od siebie różnią. Stoi tu obok mnie i jest taki kochany... Byłabyś bardzo szczęśliwa, gdybyś mogła go teraz zobaczyć. Co mówisz? Czy nie zamierzałam wyjść za George'a? Tak naprawdę, mamusiu, nigdy tego nie chciałam. Byłam z tego powodu bardzo nieszczęśliwa i wiem, że ty też to czułaś, chociaż starałam się tego nie okazywać. Ale

zaraz wszystko ci wyjaśnię... Nie, nie musisz się absolutnie niczym martwić. Jak mu na imię? Och... - spojrzała na Gordona z uśmiechem zażenowania. Zapomniała, więc jej podpowiedział.

- Cyril.

- Cyril, mamó! Czy to nie śliczne imię? Słucham? Tak, imię. Nazwisko?

- Gordon - szepnął jej do ucha.

- Cyril Gordon, mamó - powiedziała chichocząc. - Tak, mamusiu. Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa. Nie mogłabym być szczęśliwsza, chyba że z wami i... zawahała się, używając nowego dla niej imienia - i Cyril mówi, że jutro was odwiedzimy. Przyjedziemy i wszystko wam wyjaśnimy. A jeżeli pojawi się George Hayne, niczym się nie przejmuj. Niech Jeff mu powie, że posłaliście po mnie, albo coś takiego, i nie zwracajcie w ogóle na niego uwagi. Co? Powiedziałaś, że przyszedł? Jakie to dziwne... i nie pokazał się więcej? Jak to dobrze. On jest okropny. Nawet sobie nie wyobrażasz, mamusiu, czego uniknęłam! A Cyril jest kochany. Jest taki dobry! Słucham? Chcesz z nim mówić? Dobrze. Stoi obok mnie. Do widzenia, mamusiu, do jutra. I obiecaj mi, że nie będziesz się niczym martwić. Dobrze. Daję ci Cyrila.

Gordon wziął słuchawkę.

- Troszczę się o Celię, jak obiecałem, mamó, i zamierzam jutro przywieźć ją na krótką wizytę. Tak, dbam o nią. Bardzo mi na niej zależy. To najwspanialszy dar w moim życiu.

Po drutach przebiegło matczyne błogosławieństwo i spoczęło na przystojnej twarzy Gordona.

- Dziękuję. Będę się starał, żebyś nigdy nie żałowała tych słów.

Po odłożeniu słuchawki znowu spojrzeli sobie w oczy, jakby od dawna się nie widzieli. Wydawało się im, że ich radość z małżeństwa musi być większa niż innych par, gdyż cały czas narzeczeństwa wciąż jeszcze mieli przed sobą i cieszyli się tą myślą.

Mieli sobie wiele do wyjaśnienia i powtórzenia, bo tyle spraw zostało nie dopowiedzianych. Chcieli się podzielić swymi nadziejami i doświadczeniami, porównać swoje opinie i cie-

zyć się, że w tak wielu rzeczach się zgadzają. Potem musieli obejrzeć mieszkanie, fotografie Gordona i jego ulubione książki oraz omówić plany na przyszłość.

Mieszkanie będzie musiało im wystarczyć, dopóki nie znajdą dla siebie domu. Gordon był dumny, że w końcu będzie miał prawdziwy dom, jak jego żonaci przyjaciele, a w nim prawdziwą królową.

Potem Celia opowiedziała mu o ostatnich trzech przerażających miesiącach i o cieniach, które prześladowały ją w przeszłości. Mówiła o tym wśród zapadającego zmroku, zanim Henry wniósł lampę i zanim oboje zdali sobie sprawę, że zbliża się pora kolacji. Ukryła twarz w koszuli męża i wtuliła się w jego ramiona, co dało jej poczucie bezpieczeństwa.

Następne było sprawozdanie z misji Gordona, od chwili kiedy szef wezwał go do swego gabinetu, aż do momentu gdy stanęli razem przed ołtarzem i zostali sobie poślubieni. Gordon opowiedział wszystko ze szczegółami, nie opuszczając rozczulających, a chwilami komicznych przygód z białym psem i małym gazeciarzem. Najdziwniejsze było, że ani słowem nie wspomniał o Julii Bentley i jej ciągłej obecności w jego myślach tamtego dnia, i nawet sobie nie uświadomił, że opuścił coś istotnego.

Celia uśmieiała się z perypetii Gordona z psem i oświadczyła, że muszą wziąć go do domu. Potem rozplakała się, słysząc historię chłopca, i zapragnęła odwiedzić go w Nowym Jorku, już się ciesząc na myśl o prezentach dla niego i poprawieniu na stałe jego losu. W ten sposób Gordon przypadkiem dowiedział się, że jego żona posiada własny majątek, co wprawilo go w wielkie zakłopotanie, póki Celia go nie uspokoiła, śmiejąc się z jego dziwnych problemów. Gordon miał niezależną naturę i chciał utrzymywać żonę z owoców swojej pracy. Poza tym to wszystko wydawało mu się zbyt wielkim uśmiechem losu.

Dla Celi majątek nie był najważniejszym elementem życia. Z pewnością umożliwiał korzystanie z wygod i przyjemności, ale był tylko tłem, a nigdy powodem do samozadowolenia i dumy.

Gordon bał się wyjaśnień, jakich będzie musiał po przy-

jeździe do Nowego Jorku udzielić matce i bratu żony. Celia je przyjęła, bo jej dusza w tajemniczy sposób spotkała się z jego duszą i zawierzyła jej, zanim jeszcze prawda wyszła na jaw. Czy jednak rodzina dziewczyny będzie równie skłonna mu uwierzyć? Zaczęli oboje planować, w jaki sposób powinien przedstawić całą historię. Gordon wyjął kilka listów i dokumentów, które mogłyby posłużyć jako listy uwierzytelniające i gdy tak krok po kroku schodzili coraz głębiej w jego przeszłość, twarz Celii rozjaśniała się coraz większą radością. Wygrała los na loterii, gdyż ten mężczyzna był szanowany przez ludzi o wysokiej pozycji, a jego wczesna młodość była bez skazy.

Całun samotności, który spowijał dotąd życie Gordona, nagle opadł, ukazując sylwetkę tej wspaniałej, jakby dla niego stworzonej dziewczyny.

Spoglądali sobie w oczy, odczytując w nich dalsze losy i zanurzając się coraz głębiej w cud wspólnego życia.

Wczesnym rankiem telefonicznie wezwano Gordona do biura. Sekretarka szefa powiedziała, że sprawa jest pilna.

Wybiegł, zostawiając Celię w niepewności, czy uda się im pojechać na planowaną wizytę do Nowego Jorku, jednak młoda żona postanowiła się nie skarżyć, nawet jeżeli musieliby odłożyć wyjazd. Pocieszyła się krótką rozmową z matką przez telefon.

Gordon wszedł do gabinetu szefa z odrobiną niepokoju, gdyż czuł, że winien jest żonie wizytę w Nowym Jorku i ułożenie wszystkich spraw. Bał się, że obowiązki zawodowe zatrzymają go tutaj, póki los Holmana nie zostanie przypieczętowany.

Szef powitał go wylewnie i kazał mu usiąść.

- Wybacz, że wezwałem cię tak wcześnie - rzekł - ale jesteś nam potrzebny. Aresztowano Holmana i pięciu współników i chcielibyśmy, żebyś ich zidentyfikował. Czy nie będzie to dla ciebie zbyt wiele, jeżeli poprosimy cię o powrót do Nowego Jorku jeszcze dziś?

Gordon niemal podskoczył z zadowolenia.

- To doskonale odpowiada moim planom, a raczej moim pragnieniom - odrzekł z uśmiechem. - Chciałbym załatwić w Nowym Jorku kilka spraw osobistych, na które wcześniej nie miałem czasu.

Urwał i spojrzał na szefa, dziwiąc się, że oto sama sytuacja przysłała mu z pomocą i że nie musi jeszcze ujawniać faktu zawarcia małżeństwa. Może nigdy nie trzeba będzie ujawniać, że ślub odbył się tego samego wieczora co kolacja u Holmana.

- Dobrze - odrzekł szef z uśmiechem. - Z pewnością zasłużyłeś na prawo zajęcia się własnymi sprawami. W takim razie nie musimy mieć wyrzutów sumienia z powodu wysyłania cię z powrotem. Czy możesz pojechać popołudniowym pociągiem? Świetnie! Więc posłuchajmy teraz twojego sprawozdania. Może znajdzie się coś, co wczoraj przeoczyliśmy. Ale na razie podejdź tutaj, proszę. Mam ci coś do pokazania.

Otworzył drzwi przyległego gabinetu.

- Wiedziałeś, że Ferry złożył rezygnację z powodu złego stanu zdrowia? Pozwoliłem sobie przenieść tutaj twoje rzeczy. Od dzisiaj to twój gabinet. Będziesz moim zastępcą.

Zaskoczony Gordon odwrócił się i spojrział w poczciwą twarz szefa. Miał nadzieję na awans, ale nigdy się nie spodziewał, że zostanie wyniesiony tak wysoko ponad ludzi starszych wiekiem i doświadczeniem, swoich dotychczasowych zwierzchników. O mało nie uściskał przełożonego.

- Uff! Po prostu na to zasłużyłeś! - uciął szef, gdy Gordon próbował wykrztusić jakieś podziękowania. Potem z tajemniczym uśmiechem dodał:

- A tak przy okazji, wiesz, że ktoś musi popłynąć za ocean, żeby zająć się sprawą Stanhope'a. Obawiam się, że wypadnie na ciebie. Przykro mi, że musisz tak ganiać po świecie, ale może uda ci się zrobić z tego rodzaj wakacji. Jeżeli chcesz, wydział da ci więcej czasu. Nie dziękuj! To nagroda za sumienne wypełnianie obowiązków. Po powrocie będziesz miał ich więcej i będą one większe. Dobrze się spisałeś. Mam dla ciebie pełną dokumentację sprawy Stanhope'a i wszystkie polecenia na piśmie. Jeżeli masz już jakieś plany urlopowe, nie musisz wracać, póki sam nie będziesz chciał. W tej chwili znasz sprawę równie dobrze jak ja sam. Teraz weźmy się do roboty i przejrzyjmy te papiery. Muszę ci zwrócić uwagę na jeden czy dwa detale. Wiem, że potrzebujesz czasu, żeby się przygotować do dzisiejszego wyjazdu - w ten sposób opowieść Gordona o jego cudownej ucieczce i pełnej urozmaiceń podróży została skrócona do podania gołych faktów, i to nie wszystkich.

Przy pożegnaniu szef serdecznie uściskał Gordonowi rękę i odprowadził go do holu, zachowując się jednak tak samo

szorstko, jak przy każdej służbowej rozmowie. Gordon przeszedł znajome korytarze niemal oszołomiony szczęściem, z tajemnicą swojego małżeństwa wciąż znaną tylko sobie... *i jej*.

Celia wyglądała przez okno, kiedy najpierw usłyszała zgrzyt klucza w zamku, a potem zobaczyła twarz męża pełną radości ze spotkania, choć jego nieobecność nie była długa. Ona także odczuła niezwykłą radość z jego powrotu.

- Przygotuj się - rzucił wesoło. - Dostałem rozkaz wyjazdu do Nowego Jorku popołudniowym pociągiem, a za jego wykonanie czeka nas podróż poślubna do Europy. Poza tym zostałem awansowany na zastępcę szefa. Czy to nie dobry początek dnia?

- Fantastyczny! Cudowny! - wykrzyknęła zachwycona Celia. - Usiądź na kanapie i wszystko mi opowiedz. Pakowanie pójdzie szybciej, jeśli najpierw mi to wyjaśnisz. Czy szef był bardzo zaskoczony, że ożeniłeś się bez jego przyzwolenia, a nawet wiedzy?

- To jest najlepsze. Wcale nie musiałem się przyznawać. Nie dowie się, póki nie wyruszymy. Nie musi wiedzieć, w jakich okolicznościach się pobraliśmy. To nie jego sprawa, a byłoby trudno wszystko wytłumaczyć. Oprócz twojej mamy i brata nikt nie musi o tym wiedzieć, chyba że tego zapragniesz, kochanie.

- Och, jaka to ulga! - zawołała Celia z zadowoleniem. - Trochę mnie to martwiło, co ludzie o nas pomyślą, bo rzeczywiście trudno to wszystko opowiedzieć. Zawsze mieliby nas na oku, sprawdzając, czy naprawdę się kochamy i z góry przyjmując, że nie. To byłoby okropne. Niech to pozostanie naszą tajemnicą. Nie powiemy nikomu oprócz mamy i Jeffa, zgoda?

- Oczywiście. Wchodząc do gabinetu szefa, też się zastanawiałem, jak wybrnąć z sytuacji, nie wspominając o ślubie. Tymczasem on zaczął od propozycji wyjazdu do Nowego Jorku. Bardzo przeproszał, że tak od razu wysyła mnie z powrotem, ale to konieczne. Powiedziałem, że mi to odpowiada, gdyż chciałbym załatwić kilka osobistych spraw, na które nie miałem czasu przy ostatniej wizycie w Nowym Jorku. To uwolniło mnie od obowiązku opowiadania o ślubie. Powiem mu, kiedy wrócę, a wtedy na pewno nie będzie pytał o datę ceremonii.



- A zawiadomienia? - nagle zapytała Celia ze śmiechem.  
- Wcale o tym nie pomyślałam. Musimy rozesłać jakieś zawiadomienia do znajomych, bo nie będą mogli zrozumieć nagłej zmiany mojego nazwiska. I jemu też trzeba będzie coś wysłać, prawda?

- Czy ja wiem? Nie możemy się obejść bez tych zawiadomień? Najbliższym przyjacielom możesz to sama wyjaśnić, a inni znajomi po krótkim czasie i tak zapomną twoje nazwisko - przez kilka miesięcy raczej nie będziemy się z nimi widywać. Napiszę do szefa osobiście i zawiadomię go, nie podając daty. I tak nie zwróci na to uwagi. Myślę, że uda się to jakoś załatwić. Omówimy to z twoją... - zawahał się, a potem dodał z czułym uśmiechem - omówimy to z mamą. Jak dobrze móc to powiedzieć. Wiesz, wcale nie pamiętam mojej matki.

Celia włożyła swoje dłonie w jego ręce i wyszeptwała:

- Och, jestem taka szczęśliwa... taka szczęśliwa! Nie rozumiem tylko, jak dostałaś pozwolenie na podróż poślubną, nie wspominając o ślubie.

- To proste. Szef zapytał mnie, czy mam coś przeciwko podróży za ocean, żeby zająć się pewną sprawą, i dodał, że mogę dostać więcej czasu i zrobić sobie wakacje. Wcale nie podejrzewa, że wykorzystam ten czas na podróż poślubną. Napiszę do niego albo zadzwonię w dzień wyjazdu z Nowego Jorku. Może będziemy musieli zostać w mieście przez dwa lub trzy dni, żeby zakończyć sprawę Holmana, a potem możemy ruszać. W tym czasie możesz zapoznać mamę z jej nowym synem. Myślisz, że bardzo trudno będzie jej wszystko wytłumaczyć?

- Ani trochę - rzekła Celia wesoło. - Nigdy nie lubiła George'a. Moje małżeństwo z nim było powodem naszej jedynej kłótni. Przez cały czas podejrzewała, że nie jestem szczęśliwa i nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się upieram przy tym ślubie, skoro nie widziałam George'a od dziesięciu lat. Błagała mnie, żebym odłożyła to na rok lub dwa, żeby George miał czas oswoić się z krajem, ale on nie chciał o tym słyszeć i zagroził natychmiastowym spełnieniem wszystkich gróźb.

Gordon skrzywił się z odrazy. Jakim tchórzem był ten człowiek, który posunął się do gnębienia kobiety, i to kobiety

o tak pięknej i delikatnej naturze. Jego dusza naprawdę musi być nic nie warta. Postanowił odszukać go i oddać w ręce sprawiedliwości, gdy tylko znajdzie się w Nowym Jorku. Zastanawiało go jednak, dlaczego tamten tak łatwo się poddał. Może był większym tchórzem niż się spodziewali i nie odważył się pozostać w kraju, kiedy zrozumiał, że Celia jednak mu się przeciwstawiła i wyszła za innego. Trzeba dowiedzieć się wszystkiego tak szybko, jak to możliwe, i uspokoić Celię, eliminując ewentualne kłopoty. Nachylił się i pocałował żonę raz jeszcze, zawierając w tym pocałunku obietnicę naprawienia tego, co było złe w przeszłości.

Nagle oboje uświadomili sobie, że pociągi nie czekają na zapatrzonych w siebie kochanków i zabrali się do pracy. Celia nie miała wiele do spakowania. Jej bagaże były prawdopodobnie w Chicago i trzeba było pośłać po nie. Gordon od razu się tym zajął, sprawdzając numer kwitu i każąc odesłać bagaże z powrotem. Odchodząc od telefonu, zadzwonił po służącego i poprosił Celię, żeby zamówiła obiad, gdyż on musi spakować swoje rzeczy. Kilkutynodniowa podróż będzie wymagała nieco większej walizki niż ta, którą zabrał do Nowego Jorku.

Wszedł do sypialni i zaczął wyciągać ubrania z szuflad, ale kiedy Celia skończyła wydawać polecenia, czekał już na nią na progu pokoju, trzymając w dłoni staromodne aksamitne pudełko, które właśnie wyjął z małego sejfów w gabinecie. Jego twarz jaśniała, jakby dopiero co odkrył coś cennego.

- Może ci się spodobają, kochanie. Należały do mojej matki. Ten pierścionek będzie musiał wystarczyć, zanim kupię ci nowy. Zobacz, czy pasuje. To też po mamie.

Wyjął z pudełka pierścionek z niezwykle pięknym brylantem w staromodnej oprawie.

Celia wyciągnęła dłoń z obrączką, którą założył jej przed ołtarzem, i Gordon wsunął pierścionek na ten sam palec. Pasował idealnie.

- Jest piękny - wyszeptwała, przyglądając się klejnotowi z bliska. - Wolę ten niż nowy. Twoja kochana mama!

- Nie zostało nic więcej prócz sznurka pereł i jednej czy dwu broszek. Zawsze trzymałem je blisko siebie. Wydawało mi się, że w jakiś sposób łączą mnie z mamą. Przechowywałem

je dla... - zawahał się, po czym z dziwnym uśmiechem skończył:

- Przechowywałem je dla ciebie.

Posłała mu wymowne spojrzenie. Nie trzeba było słów, tym bardziej że pojawił się Henry z obiadem i przypomniał im, że ich pociąg odjeżdża za dwie godziny. Nie mieli już czasu na sentymenty.

Mimo to ci dwoje nie potrafili być praktyczni. Zmarnowali mnóstwo czasu, zarówno przy obiedzie, jak i przy pakowaniu, zatrzymując się, żeby obejrzeć jakiś obrazek czy pamiątkę z podróży Gordona. W końcu Henry musiał wziąć sprawy w swoje ręce, zapakować nowożeńców do samochodu i wysłać bagaże za nimi. Służący bardzo się cieszył z uczuć swojego pana i nowej pani, ale był człowiekiem praktycznym i wiedział, gdzie zaczyna się jego rola.

# 18.

Tym dwojgu, których losy zostały tak niespodziewanie połączone, powrotna droga do Nowego Jorku wydawała się o wiele za krótka. Każda mila przynosiła nowe odkrycie. Kiedy już dojechali, rzucili się na panią Hathaway i młodego Jeffa jak dwoje dzieci, które mają mnóstwo do opowiadania, ale nie wiedzą, od czego zacząć.

Pani Hathaway studziła ich zapał, nalegając, żeby najpierw poszli do domu na obiad i zostawili wyjaśnienia na później. W obecności służby nie mogli zbyt wiele mówić o sprawie, ale promienne uśmiechy przesyłane między matką i córką, mężem i żoną, bratem i siostrą nie dawały powodów do obaw.

Kiedy posiłek się skończył, matka zaprowadziła ich do swego saloniku, zamknęła drzwi i spojrzała na stojących przed nią, widocznie przejętych młodych ludzi.

- Moje kochane dzieci! - powiedziała. Oczy Gordona rozbłysły radością, a serce zadrzało na myśl o wszystkich cudach, których dotąd był świadkiem. Potem matka podeszła do niego; położywszy mu rękę na ramieniu, poprowadziła go do kanapy i usiadła obok. Brat i siostra usadowili się w pobliżu.

- A teraz, Cyrilu, mój nowy synu - zaczęła z utkwionymi w niego oczyma - chciałabym usłyszeć twoją historię. Widzę, że moja córka straciła dla ciebie serce i głowę i wątpię, czy będzie w stanie cokolwiek składnie opowiedzieć.

Celia i Jeff roześmiali się, a Gordon rozpoczął swoją opowieść. Pragnął zjednać sobie matkę żony i jej brata, który właściwie był już prawie po jego stronie.

Celia z dumą popatrzyła, jak jej przystojny mąż wyjmuje swoje listy uwierzytelniające i zaczyna wyjaśnienia.

- Po pierwsze muszę się przedstawić, a te dokumenty zrobią to lepiej niż ja sam. Proszę je przejrzeć.

Wręczył jej kilka listów i innych papierów.

- Dokumenty na górze mówią o randze i pozycji, jaką mój ojciec i dziadek zajmowali w rządzie i w armii. To list gratulacyjny od prezydenta do mojego ojca z okazji ślubu z moją mamą. Ten dokument to drzewo genealogiczne rodziny ze strony mamy, a listy pokazują, jakim szacunkiem ich darzono w Waszyngtonie i w Wirginii, gdzie wcześniej mieszkali. Wiem, że te sprawy nie są najważniejsze i nie mówią nic o tym, kim ja jestem, ale dowodzą przynajmniej, że rodzina, z której pochodzę, jest godna szacunku.

Pani Hathaway przejrzała papiery i nagle wykrzyknęła:

- To niezwykle! Mój ojciec znał twojego dziadka. Chyba widziałam go raz w naszym domu w Nowym Jorku. To było wiele lat temu, byłam jeszcze małą dziewczynką, ale pamiętam, że był przystojny, miał przenikliwe ciemne oczy i bardzo gęste szpakowate włosy.

Przyjrzała się badawczo Gordonowi.

- Twoje oczy chyba nawet go przypominają, ale to było tak dawno...

- Ludzie zwykli mówić, że jestem do niego podobny. Ja nie pamiętam dziadka. Zmarł, kiedy byłem małym dzieckiem.

Matka uśmiechnęła się czule.

- A teraz opowiedz o sobie - rzekła, kładąc dłoń na jego rękę. Gordon spuścił oczy i zaczerwienił się z zakłopotania.

- Nie mam wiele do powiedzenia. Zawsze starałem się prowadzić uczciwe życie i nigdy wcześniej nie kochałem żadnej dziewczyny - przesłał Celi ołśniewający uśmiech. - Jeszcze w dzieciństwie zostałem sam na świecie i wychowywałem się w internatach. Skończyłem Harvard i trochę podróżowałem. Po ojcu został mi niewielki majątek. Nie jestem bogaty. Pracuję w tajnej służbie i uwielbiam tę pracę. Dobrze zarabiam, a dziś rano awansowałem na zastępcę szefa, co oznacza podwyżkę. Będę w stanie zapewnić Celi wygodne życie i przynajmniej część luksusu, do jakiego przywykła.

- Mój drogi chłopcze, nie tego jestem ciekawa - przerwała mu matka.

- Wiem - odrzekł Gordon - ale ten szczegół również jest istotny. Wiem, że dużo ważniejsze jest to, kim jestem niż ile zarabiam. Przyrzekam być dla Celi takimi mężem, jakiego byś dla niej pragnęła. Kocham ją bardziej niż własne życie i moim głównym celem jest zapewnić jej szczęście.

Matczyne spojrzenie było bardziej wymowne od słów.

- Nie rozumiem tylko, jak mogłam nigdy o tobie nie słyszeć. Celi rzadko udaje się cokolwiek przede mną ukryć, choć od trzech miesięcy trapiło ją coś, czego nie mogłam zgłębić. Musiałam to przypisać strachowi przed opuszczeniem rodzinnego domu. Tak bardzo nalegała na ten ślub zgodny w każdym szczególe z planami George'a, a ja tak się bałam, że jeszcze pożałuje swego pośpiechu. Jak to możliwe, że znaliście się przez cały ten czas, a ona nigdy o tobie nie wspomniała? Do czego był wam potrzebny George Hayne? I od jak dawna właściwie się znacie? Czy od twojego pobytu w Waszyngtonie ubiegłej wiosny, Celio?

Celia potrzęsła głową, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy.

- Nie, mamo. Gdybym go wtedy poznała, jestem pewna, że George Hayne nie miałby nic do powiedzenia, gdyż Cyril wiedziałby, jak mi pomóc.

- Muszę opowiedzieć wszystko od początku z mojego punktu widzenia - oświadczył Gordon, wiedząc, że nadszedł krytyczny moment i bojąc się ostatecznego osądu. - Chciałem pokazać, kim jestem, żeby zasłużyć na łagodniejsze potraktowanie. Choć zażawiniłem, nie zrobiłem tego umyślnie. Ta historia może się wydać nieprawdopodobna, a jednak jest prawdziwa. Prawdą jest każde moje słowo. Czy mogę mieć nadzieję, że mi uwierzycie?

- Chyba tak - odrzekła matka, przyglądając mu się uważnie. - Nie ma kłamstwa w twoich oczach.

- Dziękuję - odpowiedział i zbierając całą odwagę, rozpoczął swoje opowiadanie.

Pani Hathaway spoglądała na niego z coraz większym zainteresowaniem. Jeff przysunął się bliżej i ledwie mógł powstrzymać podniecenie, a gdy Gordon wspomniał o swojej misji, wypalił:

- Ale wyczyn, chłopie! Chciałbym być tam z tobą! Muszą mieć do ciebie niesamowite zaufanie!

Matka uspokoiła go delikatnie:

- Ucisz się, synu, i pozwól mu skończyć.

Celia siedziała cicho z zaciśniętymi dłońmi i z dumą przypatrywała się mężowi. Jej policzki się zarumieniły. Dopiero teraz usłyszała wiele nowych dla siebie szczegółów. Kiedy Gordon powiedział o kolacji u Holmana, Jeff znowu mu przerwał:

- Holman? Holman! Ależ my go znamy! Wiosną Celia była druhną na ślubie jednej z jego córek! Stary lis! Zawsze uważałem, że coś z nim jest nie w porządku! Ludzie mówią o nim wiele rzeczy...

- Jeff, kochanie, pozwól mu dokończyć - odezwała się matka i opowiadanie potoczyło się dalej.

Gordon mówił z wzrokiem wbitym w ziemię. Bał się spojrzeć w ich twarze. Kiedy jednak skończył, podniósł swoje uczciwe oczy i rzekł błagalnie:

- Naprawdę, naprawdę proszę mi uwierzyć, że dopiero wtedy, kiedy włożyli rękę Celi w moją, zrozumiałem, że to ja mam być narzeczonym. Przez cały czas myślałem, że Celia ma wyjść za Jeffa. Gdybym nie był tak roztrzęsiony i nie myślał tylko o ucieczce, na pewno zauważyłbym, że to ja stoję najbliżej niej i że wszystko to jest jakieś dziwne. Ale stało się. Nagle dotarło do mnie, że to my się pobieramy. Co powinienem był zrobić? Czy miałem przerwać ceremonię i zrobić scenę na oczach wszystkich zebranych? Jakie wyjście było najlepsze? Nawet gdyby nie chodziło o moją misję i obowiązki względem państwa, które nakazywały mi nie rzucać się nikomu w oczy, czy miałem prawo zrobić coś takiego? Co byłoby najlepsze ze względu na Celię? Proszę mi powiedzieć.

Gdy matka wahała się z odpowiedzią, dodał:

- Kiedy zrozumiałem, co się dzieje, zacząłem pospiesznie rozważać wszystkie możliwości i przyznaję uczciwie, że nie wiedziałem, która z nich jest najlepsza. Nie chciałem urządzać przedstawienia ze względu na Celię, gdyż prawdę mówiąc, ubóstwiałem ją od pierwszego wejrzenia. Miała w sobie coś smutnego, jakieś wołanie o pomoc. Gdy na mnie spoglądała, byłem gotów oddać życie, żeby uwolnić ją od kłopotów. Czy

powinienem był przerwać ceremonię od razu, kiedy tylko się zorientowałem, że to ja gram rolę pana młodego?

Matka obserwowała go bacznie i słuchała pełnych miłości słów o córce. Jej twarz złagodniała. Odpowiedziała cicho:

- Nie jestem pewna... może nie? To była naprawdę trudna sytuacja. Nie wiem, czy mogę cię obwiniać za to, że nie zrobiłeś nic. Przerwanie ślubu na oczach wszystkich byłoby okropne dla niej, dla nas i dla gości. Och, myślę, że podjąłeś właściwą decyzję, żeby nie robić niczego publicznie... chyba... ale z drugiej strony... nawet nie chcę myśleć, że zostałeś w taki dziwny sposób zmuszony do poślubienia mojej córki.

- Proszę nie mówić o przymusie - powiedział Gordon, kładąc swoje dłonie na dłoniach matki i patrząc jej prosto w oczy. - Jedyłą rzeczą, która tak naprawdę powstrzymała mnie od działania, było moje pragnienie, żeby to, przez co przechodzę, okazało się prawdziwe i trwałe. Nigdy dotąd nie widziałem dziewczyny podobnej do niej. Wiem, że gdyby pomyłka się wyjaśniła i Celia odeszła z mojego życia, nie byłbym już taki sam. Cieszę się, cieszę się z całego serca, że jest moja i... mamu... myślę, że i ona się cieszy!

Matka odwróciła się w stronę Celii, która z błyszczącymi oczyma uklękła przed obydwójkiem i podała mężowi obie ręce mówiąc:

- Tak, mamusiu, jestem szczęśliwsza niż byłam kiedykolwiek w życiu!

Kłęcząc tak w objęciach męża, z twarzą na jego ramieniu, opowiedziała matce o torturach, jakie kazał jej przechodzić George Hayne. Matka pobladła na myśl, przez co musiało przejść jej ukochane dziecko, a brat zerwał się i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

Potem pani Hathaway pobłogosławiła dwoje młodych. Jeff także wypowiedział słowa błogosławieństwa. Gordon i Celia musieli jeszcze opowiedzieć o swojej pełnej przygód podróży, póki nie zrobiło się naprawdę późno i matka nie wysłała wszystkich do łóżek.

Kilka następnych dni było pełnych nowych zajęć. Młodzi małżonkowie poszli do szpitala, żeby rozweselić życie małego



gazeciarza owocami i zabawkami. Zabrali ze schroniska białego psa, którego Jeff wziął pod swoją opiekę. Gordon spędził trudną godzinę w sądzie, dopełniając formalności w sprawie Holmana. Krępy detektyw przyglądał mu się z okienka swojej celi, gdy Gordon przechodził przez korytarze więzienia w poszukiwaniu George'a Hayne'a.

Szukając zaginionego narzeczonego, którego z wielu przyczyn pragnął jak najszybciej odnaleźć, Gordon zwrócił się o pomoc do jednego z ludzi zajmujących się sprawą Holmana.

- Nie musisz go szukać - oświadczył tamten z uśmiechem.  
- Trzy dni temu bezpiecznie wylądował w więzieniu. Złapał go syn człowieka, którego podpis Hayne sfałszował kilka lat temu. Chodziło o fundusz powierniczy pewnej dużej korporacji i tamten człowiek zmarł w celi, skazany na więzienie zamiast niego. Teraz syn dopilnuje, żeby prawdziwy winowajca został ukarany.

Gordon poszedł więc wraz z prawnikiem Celi do więzienia, aby porozmawiać z oszustem, który nie miał usprawiedliwienia dla żadnego ze swoich przewinień. Gordon nie powiedział mu, kim jest. Dał mu jedynie do zrozumienia, że Celia jest już mężatką i że jeżeli wciąż będzie próbował jej szkodzić, cała sprawa zostanie ujawniona i będzie musiał odpowiedzieć przed sądem za usiłowanie szantażu.

Dni płynęły szybko. Sprawa, która zatrzymywała Gordona w Nowym Jorku, wreszcie została pomyślnie zakończona i mógł on wraz z żoną odpłynąć do Europy. Rankiem w dzień wyjazdu głos Gordona pomknął po drucie do Waszyngtonu i oznajmił szefowi:

- Ożeniłem się i właśnie wyjeżdżam w podróż poślubną. Nie chciałby mi pan pogratulować?

W odpowiedzi usłyszał:

- Dobra robota, stary! Gratulacje dla was obojga. Może ona jest najlepszą dziewczyną na świecie, a może nie. Ale na pewno jest największą szczęściarą, bo wyszła za najlepszego człowieka, jakiego znam. Powiedz jej to ode mnie! Niech was Bóg błogosławi! Cieszę się, że jedziecie razem. Nie będziesz się czuł tam zbyt samotny.

Gordon przekazał żonie te słowa po południu, gdy wypłynęli prosto w słońce, żeby zacząć nowe, piękne życie we dwoje.

- Kochanie - powiedział, otulając ją kocem - jesteś prawdopodobnie jedyną panną młodą, która wyszła za swojego świadka.

Celia uśmiechnęła się i po chwili odrzekła:

- To świadczy tylko o tym, że jesteś najlepszy!